



WENDY WEBB

DUCHY
PRZESZŁOŚCI



Wendy Webb



Duchy przeszłości

Tytuł oryginału: The Tale of Halcyon Crane

*Dla tych, którzy odeszli, zwłaszcza dla mojego brata Randalla
Edwarda Webba i babci Elmy Katherine Herrala Maki, za którymi
codziennie tęsknię. Choć już ich tu nie ma i nie mogą przeczytać tej
dedykacji, wiem, że i tak się z niej cieszą.*

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Byłam jedyną pasażerką promu płynącego na wyspę Grand Manitou. Kiedy stałam na pokładzie, mocno trzymając się relingu, o burty uderzały burzliwe zielone fale. Zrozumiałam wtedy, dlaczego sezon turystyczny kończy się tutaj, gdy zaczyna wiać listopadowy wiatr.

Na tę maleńką wysepkę na środku Wielkich Jezior wezwała mnie zmarła kobieta. Wyruszyłam w podróż pomimo przykrej pory roku, żeby poznać historię jej życia, a co za tym idzie – również swoją. Parę grzywiastych fal nie mogło mnie powstrzymać.

Wezwanie od zmarłej osoby to dziwny początek opowieści, ale jak się wkrótce dowiedziałam, nie dziwniejszy niż losy moich przodków. Pochodzę z rodu, który od dawna balansuje na granicy rzeczywistości. Jego historia to nie tylko kronika narodzin i zgonów, ślubów i sukcesów. Gawędy o moich krewnych brzmią jak baśnie – ale baśnie braci Grimm – pełne czarownic, duchów i złych uroków, którym towarzyszą smutne, a czasem krwawe wydarzenia.

Aż do niedawna nic o tym nie wiedziałam. Dorastając, uważałam się za kogoś całkiem innego. Potem prawda wyszła na jaw, jak to zwykle bywa. Prawda szuka światła dnia, potrzebuje go jak powietrza, dlatego wymyka się z najbardziej pancernych, najsprytniej ukrytych skrzyń – nawet tych pogrzebanych w sercu zmarłego.

Moja prawda złapała pierwszy oddech pewnego mglistego jesiennego ranka, niemal tysiąc mil od tego rzucanego falami promu. Dzień zaczął się

całkiem zwyczajnie. Zawsze tak jest. Chaos spada na człowieka w samym środku codziennych obowiązków. Wypadek w drodze na zakupy odbiera ukochaną osobę, zawał serca przerywa leniwy niedzielny poranek lub – jak w tym przypadku – przełomowa wiadomość nadchodzi w poczcie.

Obudziłam się w moim małym bungalowie z widokiem na cieśninę Puget i przez jakiś czas leżałam w łóżku, słuchając szczekania fok. Potem włożyłam dres i buty i wyruszyłam na codzienny spacer. Już przeszłam przez ulicę i zaczęłam się wspinać na wzgórze, kiedy zauważyłam opadający biały opar, który z wolna zasłonił świat.

Niektórzy uważają ryk syreny przeciwmgielnej za romantyczny dźwięk, przywołujący wizje podróży w dalekie kraje o dziwnych nazwach. Ale ja nigdy nie lubiłam mgły. Przesłania świat rzeczywisty, jakby w jakimś nikczemnym celu. Pochłania wszystko, co znajduje się dalej niż na wyciągnięcie ręki. Nigdy nie wiadomo, co może się kryć w jej gęstej bieli.

Takie myśli są głupie, zdawałam sobie z tego sprawę, więc szłam dalej zwykłą trasą, słuchając brzęku wietrznych dzwoneczków – dzwoneczków rurowych – wiszących za oknami mijanych domów.

Nie potrafię tego wyjaśnić – czy to intuicja podpowiadała mi, co się zbliża? – ale poczułam na karku ukłucia tysięcy igiełek. Wstrzymałam oddech i stanęłam, a strach wsączył się z zimnego chodnika przez podeszwy moich butów aż do serca. Potem coś zmusiło mnie do szybkiego powrotu do domu. Stanęłam przed drzwiami, w chwili gdy z mlecznych oparów wynurzył się listonosz.

– Ale biało – powiedział, kręcąc głową, po czym wręczył mi stosik kopert.

– Lepiej niech pan uważa – odparłam z uśmiechem. – Zobaczyłam pana dopiero przed schodami.

– Proszę się o mnie nie martwić. Jestem z mgłą za pan brat.

Zaczekałam, aż zniknie w gęstych obłokach, i weszłam do domu, gdzie czekała na mnie gorąca kawa. Nalałam jej do kubka i zaczęłam przeglądać korespondencję. Wśród typowej zbieraniny listów, rachunków i katalogów znajdowała się wielka żółta koperta z nadrukiem: „Kancelaria Prawna Archer i Syn”. Zauważyłam stempel na znaczku: „Wyspa Grand Manitou”. To popularne letnisko nad jednym z Wielkich Jezior, na drugim końcu kraju.

Usiadłam przy kuchennym stole. Popijając kawę, obracałam kopertę. Co się dzieje? Czego chce ode mnie ten prawnik? W końcu nabrałam tchu i rozdarłam ją, gotowa stawić czoła temu, co się w niej kryło.

W środku znalazłam dwa listy. Gruba kremowa koperta zapieczętowana szkarłatnym woskiem nosiła moje ręcznie wypisane nazwisko i adres. Była staroświecka i śliczna i przypominała mi zaproszenie z innego miejsca i czasu (jak się okazało, dokładnie tym była). Druga, biała i urzędowa, wyglądała bardzo oficjalnie. Tę otworzyłam najpierw.

Droga pani James,

z wielkim żalem powiadamiam Panią o śmierci Madlyn Crane.

Występuję jako Jej przedstawiciel oraz wykonawca testamentu.

Proszę skontaktować się ze mną w dogodnej dla Pani porze.

*Pozostaję z szacunkiem,
mecenas William Archer*

Madlyn Crane. Nazwisko brzmiało znajomo, choć nie potrafiłam go z nikim skojarzyć. Dlaczego prawnik informuje mnie o śmierci tej kobiety? Biorąc drugi list, poczułam nieokreślony, niewytłumaczalny strach. Dlaczego

serce tak mi waliło? Dlaczego trzęsły mi się ręce? Złamałam pieczęć, rozłożyłam kartki i zaczęłam czytać. List nosił datę sprzed niemal miesiąca.

Kochana Hallie,

trzydzieści lat temu moja córka i mąż utonęli w jeziorze niedaleko naszego domu. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy się przekonałam, że nic im się nie stało. Im, czyli Tobie i Twojemu ojcu.

Nie wiem, co powinnam napisać dalej. Co powiedzieć swojej jedynej córce, którą oplakiwałam przez tyle lat?

Zacznę od tego, że kiedy dowiedziałam się, że żyjesz, osłupiałam – tak jak pewnie Ty teraz. Chciałam chwycić słuchawkę i natychmiast do Ciebie zadzwonić, ale zrozumiałam, że nie mogę. Nie wiedziałam, co Ci powiedziano.

Myślałaś, że umarłam? Myślałaś, że Cię opuściłam? Ojciec mógł Ci wmówić wszystko. Ale teraz stałaś się dorosła. Gdybyś podejrzewała, że żyję, na pewno znalazłabyś sposób, by się ze mną skontaktować. Doszłam do wniosku, że obu nam opowiedziano takie samo kłamstwo, obie wierzyłyśmy, że tej drugiej już nie ma. Obie padłyśmy ofiarą podstępu.

Jak matka może wrócić ze świata zmarłych w życie swojego dziecka? Myślałam o odwiedzeniu Cię, ale nie wydawało mi się to roztropne. List uznałam za najdelikatniejszy sposób wywrócenia Twojego świata do góry nogami.

Wiem, że musisz mieć równie wiele pytań, co ja. Opowiem Ci co nieco o sobie, ale czy można podsumować życie paroma słowami? Nazywam się Madlyn Crane. Nadal mieszkam w domu na wyspie Grand Manitou, w którym się urodziłaś. Może znasz moje nazwisko. Jestem fotografką. Pewnie widziałaś moje prace w gazetach.

Wyobrażam sobie, że dorastałaś z poczuciem, iż mnie straciłaś. Pragnęłaś mieć matkę, która przeprowadzi Cię przez raj dzieciństwa i czyściec dojrzewania. Przepraszam, że mnie przy Tobie nie było. Ale kiedy tęskniłaś za miłością matki – miałaś ją. Kochałam Cię, zanim się urodziłaś. Kochałam Cię przez te puste lata, kiedy sądziłam, że nie żyjesz, i kocham Cię teraz. To się nigdy nie zmieni. Choć o tym nie wiedziałaś, zawsze liczyłaś się dla mnie najbardziej.

Wiem, że pewnie zastanawiasz się, co o tym sądzić – pisze do Ciebie obca kobieta, która podaje się za Twoją matkę. Czy mówi prawdę? Na pewno wszystko, w co wierzyłaś od trzydziestu lat, stanęło na głowie. Przepraszam, że rozpętałam taką burzę. Wierz mi, zastanawiałam się, czy nie pozostać „wśród zmarłych”, by oszczędzić Ci tego zamieszania, ale doszłam do wniosku, że prawdę, choćby najboleśniejszą, trzeba poznać.

Jako uwiarygodnienie załączam zdjęcie. Przedstawia ono Ciebie i Twojego ojca na parę dni przed Twoją „śmiercią”. Sama je zrobiłam. Ofiarowuję Ci coś jeszcze – zaproszenie. Wróć na wyspę Grand Manitou. Zmarnowałyśmy zbyt wiele czasu. Twoja kochająca matka, Madlyn Crane

Upuściłam list na podłogę. Spomiędzy jego kartek wyfrunęło zdjęcie, małe, kwadratowe, czarno-białe z białym marginesem. Widniała na nim dziewczynka o dziwnie lśniących oczach. Czy to ja? Przypominała mnie, ale nie miałam pewności. Może to jakieś inne ciemnowłose dziecko? Ale obok stał z całą pewnością mój ojciec. Młodszy, szczuplejszy, z bujniejszą czupryną, lecz niewątpliwie on. Ten sam mężczyzna, który kładł mnie spać, ocierał moje łzy i zabierał mnie na łyżwy. Bez dwóch zdań.

Podniosłam list Madlyn Crane i przeczytałam go jeszcze raz, a potem znowu, aż słowa zamglily się i zmieniły w niezrozumiale hieroglify. Nie wiem, jak długo siedziałam, patrząc na list od ducha.

TTLR

2

Droga z mojego domu zwykle zajmuje dwanaście minut. Tego dnia pokonałam ją w sześć. W głowie wirowały mi pytania i oskarżenia.

Moja mama nazywała się Annie James i zginęła w pożarze, gdy miałam pięć lat. A przynajmniej tak powiedział mi ojciec. Twierdził, że wyniósł mnie z płonącego domu i chciał wrócić po nią, ale ogień zanadto się rozszalał. Pochłonął cały budynek, zanim przybyli strażacy. Dlatego nie ocalały żadne zdjęcia, filmy, pamiątki naszego wspólnego życia. Ojciec został uznany za bohatera, ale z całą pewnością się nim nie czuł. Annie James nie miała dalszej rodziny, żadnych dziadków, ciotek, wujków ani kuzynów. Rodzice taty także nie żyli, więc zostaliśmy na świecie sami, tylko on i ja.

Już jako dziecko uświadamiałam sobie, że historia o śmierci mojej matki jest schludna i zgrabna, bez żadnych luźnych wątków, których mogłabym się chwycić. Kiedy pytałam tatę, jaka była mama, czy miała takie włosy jak ja, widziałam tylko jego żal, przenikliwy i oślepiający jak śnieżna burza. „Proszę, nie pytaj, Hallie. Zapomnij o niej. Jej już nie ma”.

Przemykałam na żółtych światłach, a w głowie kipiały mi gniewne oskarżenia i usprawiedliwienia. Przez te lata stworzyłam w wyobraźni bardzo szczegółowy obraz matki: brązowe włosy, piwne oczy, średnia budowa ciała. Przypominała Jackie Kennedy. Lubiła kolorowe spodniemy, tak popularne w latach siedemdziesiątych, ale na ważne imprezy ubierałyśmy się podobnie. Była łagodna, lecz zdecydowana, kochająca i skłonna do zabawy. Pełna wdzięku. Elegancka. Jeśli ten list zawierał prawdę – a to przecież niemożliwe – odbierał mi jedyną matkę, jaką znałam. Nie zamierzałam pozwolić, żeby jakaś obca kobieta paroma zdaniem zniszczyła jej obraz.

Nie wspominając już o tym, że jeśli list naprawdę napisała Madlyn Crane, to oskarżała ojca o coś strasznego. Kochałam go tak zapamiętałam, jak dziecko może kochać jedynego rodzica. Jakim prawem ta kobieta, ta przybłęda, wdzierала się do mojego życia i nazywała mojego ojca – mojego tatę – kłamcą? Zarzuciła mu, że zainscenizował naszą śmierć i wywiózł mnie na drugi koniec kraju. Oznajmiła wprost, że zostałam porwana, a moje zdjęcie powinno się znaleźć na plakatach z napisem „ktokolwiek widział...”.

Co ona sobie wyobrażała? Mężczyźni tacy jak mój tata nie porywają dzieci i nie zmieniają tożsamości. Mężczyźni tacy jak mój ojciec matematyk znajdują racjonalne rozwiązania problemu. To wszystko jakaś obraźliwa bzdura. Nie umiałam sobie wyobrazić, co mogło sprowokować tę nieznajomą do takich kłamstw.

Ale czy to jednak nie dziwne, że nie ocalało żadne zdjęcie mojej matki? Że nie mamy krewnych? Żadnych przyjaciół, którzy wiedzieliby coś o naszym życiu? A jeśli w oczach ojca na wzmiankę o żonie pojawiał się nie żal, ale strach? Jeśli przeżył trzydzieści lat, bojąc się, że jego porzucona żona w każdej chwili może stanąć w naszych drzwiach? To by z pewnością tłumaczyło, dlaczego nie chciał o niej rozmawiać.

Zabawne, ale pamiętałam ten pożar. Płomienie i dym, krzyki i ryk wozów strażackich, wodny pył z węży. Czy to tylko cień nieistniejącego obrazu, wspomnienie z premedytacją zaszczipione w mojej głowie przez lata snucia opowieści? Historie mają wielką moc. Jeśli słyszy się je wystarczająco często, mogą stworzyć przeszłość.

Pielęgniarka Janine podniosła głowę, kiedy weszłam. Jej uśmiech zbladł.

– Co się stało? – spytała, ale podniosłam rękę, ucinając jej słowa. Minęłam stanowisko pielęgniarek i poszłam do świetlicy, w której spodziewałam się znaleźć ojca.

Siedział przy oknie, przy którym spędzał większość czasu. Uwielbiał przyglądać się ptakom w karmniku. Ich ruchy go fascynowały. A może po prostu ciekawiły go te dziwne, śmigające w powietrzu strzępki kolorów? Nigdy się tego nie dowiem. Usiadłam obok i wzięłam jego rękę w dłonie.

– Tato – odezwałam się cicho. – Tato, to ja, Hallie.

Ostrożnie odwrócił głowę. Ten ruch, jakby w zwolnionym tempie, nasunął mi myśl o płodzie obracającym się w łonie jak w innym wymiarze, w gęstszej, śluzowatej atmosferze, i oczekującym w zawieszeniu na chwilę, kiedy będzie mógł przedostać się do nowego świata. Spojrzał na mnie niewinnymi, nierozumiejącymi oczami.

– Przyniosłaś mi obiad?

Sprzeczne uczucia, z jakimi tu przyszłam, ustąpiły miejsca smutkowi, który ostatnio zawsze mnie ogarniał, gdy go odwiedzałam. Ten wielki człowiek, wybitny myśliciel, w takim stanie. .. Uśmiechnęłam się blado.

– Janine ci wkrótce przyniesie.

Co ja tu robiłam? Przyszłam po odpowiedź, ale on nie mógł mi jej udzielić. Westchnęłam i uścisnęłam jego dłoń. Miłość i rozpacz chwyciły mnie za gardło. – Hallie – Głos ojca wyrwał mnie z odrętwienia.

A więc to będzie jeden z tych dni. Miałam na to nadzieje nie poznawał, spoglądał martwym, zgasłym wzrokiem. Całkiem jakby jego dusza zanurzyła się w głębinę, badając ukryte światy. Często zastanawiałam się, gdzie się podziała i co robi, kiedy skorupa o wyglądzie mojego ojca siedzi bez ruchu, zapatrzona na ptaki.

Ale od czasu do czasu miewał przebłyski przytomności. Dusza wyłaniała się na powierzchnię, rozświetlając jego oczy i ożywiając martwe rysy. Znowu wiedział, kim jestem. Uśmiechał się i mówił: „Przyszłaś odwiedzić starego ojca?”. Potem ponownie go traciłam. Lekarze twierdzili, że to normalne w przypadku chorych na alzheimera.

– Przyszłam spytać o mamę.

– O twoją matkę? – Spojrzał na mnie, marszcząc brwi. Wiedziałam, że muszę się spieszyć, więc drażyłam dalej.

– Umyślnie mnie z nią rozdzieliłeś? – Nie do wiary, że zdołałam wypowiedzieć te słowa. Brzmiały idiotycznie, nieprawdziwie.

Ojciec pochylił się i przyłożył palec do warg. , – Widziałem twoją matkę wczoraj – wyznał, rozglądając się nerwowo, czy nikt nas nie podsłuchuje. – Wyrząłem przez okno sypialni i zobaczyłem ją na dziedzińcu.

Zamilkłam na chwilę.

– Widziałeś mamę?

Ojciec powoli pokiwał głową.

– Miała na sobie tę długą fioletową suknię, którą tak lubiła – powiedział i nagle się uśmiechnął. – Tym razem chyba po mnie przyszła, Hallie.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Tato... – Wzięłam go za rękę. – Dziś dostałam list od kogoś, kto podaje się za mamę.

– Madlyn do ciebie napisała?

Oddech uwiązał mi w piersi. Madlyn, nie Annie.

– Naprawdę to zrobiłeś? – wykrztusiłam. – Dlaczego? Dlaczego mnie od niej zabrałeś?

Oczy mu się zaszklily. Pogładził mnie po policzku.

– Musiałem ratować moją córeczkę.

– Ratować przed czym?

Po twarzy spłynęły mu łzy.

– Przed tym domem, Hallie. On by cię zniszczył.

I to było wszystko. Moje okienko znikło, przynajmniej na ten dzień. Ojciec skierował wzrok na ptaki. Przytuliłam dłoń do jego policzka, jakbym usiłowała przekazać całą moją miłość.

– A myślałam, że jest w dobrym stanie – odezwała się pielęgniarka, wchodząc z obiadem na tacy.

– Był. Ale... – Westchnęłam przeciągle. Spojrzałam bezradnie na Janine.

–Wiem, kochanie. Wiem. To się nie staje łatwiejsze. Ani dla nas, ani dla nich.

Mocno przytuliłam ojca i wstałam.

– Kocham cię, tato – szepnęłam w nadziei, że te słowa dotrą do niego, ukrytego gdzieś w skorupie ciała.

Następnego ranka zadzwonił telefon.

– Czy coś mówił? – wykrztusiłam z trudem przez zaciśnięte gardło. – Czy mnie wzywał?

– Przez te lata byłam świadkiem wielu zgonów, kochanie –powiedziała łagodnie Janine. – Prawie nigdy nie ma ostatnich słów. Umieranie to zbyt wielki wysiłek.

3

Zanim straciłam ojca, nie rozumiałam tych rytuałów wokół pogrzebu: czuwania, mszy, stypy przygotowanej przez współczujących przyjaciół, nawet zwyczaju robienia tablic ze zdjęciami zmarłych. Teraz wiem, po co to wszystko – żeby się czymś zająć. Miałam tyle na głowie, tyle spraw do załatwienia, tyle osób do powiadomienia, że nie zostało mi dość czasu, by dać się pochłonąć uderzającemu o moje stopy oceanowi rozpaczy. Brodziłam po płyciźnie, wykonując kolejne zadania, wdzięczna, że mam coś do roboty.

Na pogrzebie taty w naszym małym kościele zgromadziło się trzysta, może więcej osób. Jego koledzy, dawni uczniowie, moi znajomi z małżonkami i rodzicami. Dawni kumple, których nie widziałam od liceum – cała sekcja fletów z orkiestry, do której chodziłam w dziesiątej klasie – współpracownicy z gazety, właściciele restauracji i rybacy. Niemal wszystkie sklepy na naszej ulicy zostały zamknięte na całe popołudnie, a w ich drzwiach zawisły kartki: „Nieczynne z powodu pogrzebu Jamesa”. Czegokolwiek się dopuścił, mieszkańcy miasta go kochali. Dowodem byli ci ludzie, tak licznie towarzyszący mi w rozpaczy. Ich obecność świadczyła o tym, jak dobrym był człowiekiem, a ja – znając treść listu matki – rozpaczliwie usiłowałam w to wierzyć.

W połowie nabożeństwa pastor dał mi znak. Wstałam i wyszłam na środek kościoła, żeby odczytać mowę. Poruszałam się boleśnie powoli, jakbym brnęła w grząskim piasku. Droga do kazalnicy trwała wieki, ale kiedy się tam wreszcie znalazłam, nabrałam tchu i spojrzałam na smutne twarze przyjaciół, sąsiadów i kolegów, z których wielu ocierało oczy i nosy.

Widziałam ich emocje. Żal przykrywał pomieszczenie jak czarny całun. Jednak dostrzegłam także ulgę, ulotną i białą, otaczającą tych, których rodzice nadal żyli w dobrym zdrowiu – że jeszcze nie muszą rozstawać się z najważniejszą osobą w swoim życiu. Od niektórych bił strach, niemal bezbarwna, mglista nić, owijająca się wokół ich gardeł, ściągająca ich spojrzenia w dół, krepująca ręce. Ale najbardziej wzruszał mnie intensywny smutek, błękitna mgła, która opadła na zebranych jak łagodny deszcz w Seattle, spływający na głowy, kolana, ławki i podłogę między rzędami. Nie wiem jak, lecz to zobaczyłam – od dawna dostrzegałam pewne niezauważalne dla innych rzeczy – i ogarnęła mnie ulga.

Odkasznęłam i rozłożyłam przed sobą kartki, ale kiedy spojrzałam na nie, przekonałam się, że mój smutek zmienił słowa w drżące, zamglone symbole bez znaczenia. Nie zostało mi nic innego, jak tylko mówić prosto z serca.

– Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem – zaczęłam głosem, który wydał mi się dziwny i obcy. Czy to naprawdę ja? Czy ta mowa pogrzebowa dotyczy mojego ojca? Jak to możliwe?

– Nie znałam matki, miałam tylko ojca. Większość z was pewnie się zgodzi, że wychowanie dziecka nawet w pełnej rodzinie jest trudne. On wspaniale wywiązał się ze swojego zadania. Uczynił z niego życiową misję. Zrobił wszystko, żebym nigdy nie cierpiała z powodu braku jednego rodzica – nawet chodził ze mną na szkolne pikniki dla matek i córek, co niebywale bawiło moich nauczycieli.

W kościele dał się słyszeć cichy śmiech.

– Razem ze mną obserwował wieloryby, choć nie znosił wody, razem ze mną szukał sukienki na bal studniówkowy. A w zimowe noce robił mi gorącą

czekoladę i rozmawialiśmy o wszystkim – od piękna wszechświata przez sprawy małego miasta po najnowsze dramaty mojego życia. Zawsze służył mi swoim ścisłym umysłem, znajdując sens w nonsensie, spokojnie wyjaśniając, że nawet najbardziej absurdalne wydarzenie musi mieć racjonalną przyczynę. W ten sposób – oraz na wiele innych – chronił mnie przed okrucieństwem świata. Podobnie starał się czynić w przypadku swoich uczniów. W jego towarzystwie czułam się bezpieczna. Wiedziałam, że tato osłoni mnie przed każdą burzą.

Znowu uśmiechy i kiwanie głowami.

– A teraz odszedł, żeby przygotować drogę dla mnie i wszystkich tu obecnych. Kiedy nadejdzie nasza pora, będzie czekać z gorącą czekoladą. Pomoże nam zrozumieć niewyobrażalną rzeczywistość śmierci i tego, co następuje po niej.

Spojrzałam na zebranych i choć pewnie załzawione oczy spletały mi figła, mogłabym przysiąc, że w głębi kościoła zobaczyłam uśmiechniętego tatę. „Dobrze się spisałaś, ptysiu. – Usłyszałam jego cichy głos. – Dzięki za dobre słowa. Ja też cię kocham”.

Po nabożeństwie i stypie, gdy znajomi włożyli ostatni talerz do zmywarki, schowali resztę jedzenia do lodówki i wyszli, ktoś zapukał do drzwi. Nie musiałam ich otwierać, żeby domyślić się, kto za nimi stoi.

Wyglądał tak samo jak ostatnio. W czarnym płaszczu, z nieco zmierzwionymi włosami i elektryzująco błękitnymi oczami. Pachniał słonym powietrzem i wspomnieniami, bólem i wybaczeniem. Przez chwilę milczeliśmy, a potem rzuciłam mu się w ramiona.

– Boże, tak ci współczuję – szepnął mój były mąż. – Wiem, jak bardzo go kochałaś. Tak jak ja.

I wreszcie nadeszły łzy. W objęciach Richarda Blake'a opłakiwałam mojego ojca i małą dziewczynkę, która w ciągu paru dni straciła jedyne rodzica, jakiego znała – a także drugiego, nieznanego. Druzgocąca rozpacz po śmierci taty mieszała się z dezorientacją i gniewem. Odkąd pamiętam, tęskniłam za matką, która odeszła wiele lat temu. Tymczasem ona żyła w żałobie po swoim dziecku, nie wiedząc, że ono wcale nie umarło. A wszystko przez mężczyznę, którego śmierć rozdarła mi serce.

Richard zaprowadził mnie na sofę w salonie. Całe moje ciało dygotało pod naporem cierpienia. Nie wiem, jak długo leżałam z głową na kolanach byłego męża, który głaskał mnie po włosach. Gdy w końcu otarłam oczy, wstał i otworzył butelkę wina.

– To ci się przyda – powiedział z bladym uśmiechem, podając mi kieliszek. Jego akcent przypomniawszy mi wspólne lata w Londynie, choć wydawało mi się, jakby przytrafiły się komuś innemu.

Przełknęłam odrobinę zimnego chardonnay. Miało dębowy posmak.

– Nie do wiary, przyjechałeś z tak daleka.

– To zrozumiałe – mruknął. – Co innego mógłbym zrobić? Potrafiłabym wymienić tysiąc innych rzeczy.

– Wysłać kartkę?

Wzięłam go za rękę. Uścisnął moją dłoń. – Nigdy w życiu nie straciłbym okazji przejechania połowy świata, żeby trafić z jednego ponurego miasta do drugiego. Nagle zatęskniłam za jego ironicznym poczuciem humoru. W tej chwili każda strata wydawała mi się bolesna.

– Ethan z tobą przyjechał? – spytałam. Mężczyzna, który kiedyś był miłością mojego życia, zawarł związek ze swoim ukochanym, kiedy tylko prawo im na to zezwoliło. Nie pojechałam na ceremonię – choć dostałam

zaproszenie – ale wysłałam im porcelanową zastawę. Co innego mi pozostało? Przegrałam tę bitwę dawno temu, w chwili gdy zrozumiałam, że nigdy nie mogłam jej wygrać.

Richard skinął głową.

– Ma znajomych w Seattle i zatrzymał się u nich. Wynająłem skandalicznie drogi samochód i przyjechałem tu sam. Myślałem, że tak będzie lepiej... – To prawda, ucieszyłam się, że nie przyjechał z partnerem, ale nie chciałam na razie wdawać się w tę rozmowę.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Prowadzisz samochód? W Ameryce?

– Idzie mi świetnie, tylko wszyscy jadą niewłaściwą stroną szosy – powiedział z lekkim westchnieniem i usiadł na krześle. Oboje sililiśmy się na wesołość, ale kiepsko nam to szło. – Nie zdążyłem na pogrzeb, prawda?

Pokręciłam głową.

– Tym się nie przejmuj. I tak niewiele do mnie docierało. Ostatnie dni zlewają mi się ze sobą. Bardzo się cieszę, że cię widzę. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobię, kiedy to się skończy, ludzie odejdą do swoich domów, a ja zostanę sama.

– Nie jesteś sama – sprzeciwił się łagodnie. – „Dwa serca złączone, klucz rzucony w morze”. Nie tak to brzmi?

Patrzyłam na niego tak długo, aż oboje przypomnieliśmy sobie, jak bardzo się kiedyś kochaliśmy.

– Na co masz ochotę? – spytałam w końcu. – Kolacja? Jeszcze wina?

– To i to, bardzo chętnie. A potem posiedźmy i powspominajmy twojego tatę.

Kiedy oboje wyśmialiśmy się i wypłakaliśmy, pokazałam Richardowi list, który wstrząsnął całym moim życiem.

– Nikomu o tym nie powiedziałam. – Czekałam, nerwowo kręcąc się na krześle, aż skończy czytać.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Dobry Boże! To prawda? Wzruszyłam ramionami i przytaknęłam.

– Spytałam o to tatę w przeddzień jego śmierci. Powiedziałam, że dostałam list od kogoś, kto podaje się za moją matkę. A on na to: „Madlyn do ciebie napisała?”. Wymienił jej imię! To dla mnie najlepszy dowód.

Richard wziął mnie za rękę.

– Ale dlaczego? – spytał, jakby spodziewał się, że znam odpowiedź. – Dlaczego, do cholery, zrobił coś takiego? Przecież go znam. On by nigdy...

– Nie mam pojęcia. Tłumaczył, że mnie ratował. To wszystko, co wiem.

Richard westchnął i osunął się na oparcie krzesła, wpatrzony w list Madlyn, jakby usiłował odkryć tajemnicę zawartą w słowach.

– Nie do wiary. Madlyn Crane jest twoją matką – szepnął. – Akurat ona!

– Mówisz, jakbyś ją znał.

– Nie osobiście, ale o niej słyszałem. Ty też. Mam jeden z jej albumów. Widziałaś go milion razy.

Przed oczami stanął mi obraz: siedzę z Richardem przy stole, pijemy herbatę i przeglądamy książkę ze zdjęciami Londynu.

– Gdzie masz laptopa? – rzucił Richard, a gdy wskazałam schody, pobiegł po komputer i już po chwili wpisywał nazwisko mojej matki w wyszukiwarce.

Na ekranie pojawiły się dziesiątki stron: „Time”, „Travel & Leisure”, „National Geographic”, „Vanity Fair”, „Vogue” i wiele innych. A na każdej z nich zdjęcia Madlyn Crane. Była sławna.

– Zajrzyjmy na jej stronę internetową – zaproponowałam. Czekałam ze wstrzymanym oddechem, aż na ekranie coś się pokaże.

Po lewej stronie wyświetlił się rząd haseł: „woda”, „zwierzęta”, „portrety”. Richard klikał na nie kolejno. Oglądaliśmy zdjęcia gwiazd ubranych w piękne stroje albo nagich, zwykłych ludzi w kafejkach lub na ulicach, bawiących się dzieci w obcych krajach. Nie mogłam oderwać wzroku od tych fotografii, bo dostrzegałam w nich coś więcej. Jakbym widziała utrwalone na kliszy myśli modeli. Brzmi to absurdalnie, ale wydawało mi się, że ci ludzie do mnie szepczą.

W oczach jednej ze sław wyczytać można było zapowiedź rozwodu, w spojrzeniu drugiej – dojmujący lęk przed klęską. Głęboko w krtani trzeciej krył się rak. Nie potrafię wyjaśnić, skąd to wiedziałam, ale byłam pewna, że się nie mylę. Czułam się jak zahipnotyzowana, jakby ten świat, utrwalony przez Madlyn Crane, mógł mnie w każdej chwili wessać.

A potem znaleźliśmy coś, co zapało mi dech w piersiach. Richard kliknął hasło „miłość”. Było tam tylko jedno zdjęcie, czarno-biały portret dziecka. Dziewczynka została uwieczniona w chwili, gdy zeskakiwała z huśtawki zawieszanej na konarze ogromnego dębu. Zastygła w powietrzu, na chwilę przed dotknięciem ziemi. Spoglądała wprost w obiektyw. Pewnie wiedziała, że fotografka robi jej zdjęcie. Uśmiechała się promiennie, przejęta szczęściem lotu. Ale za tymi rozmigotanymi oczami i radością dostrzegłam coś innego. Usłyszałam szept: „Ratuj. Boję się”.

Wtedy zauważyłam podpis pod zdjęciem: „Halcyon Crane, 1974–79”.

– To ty, kochanie – powiedział Richard. Patrzyliśmy na siebie, nie znajdując słów.

Później, gdy z gościnnego pokoju dochodziło już chrapanie Richarda, poszłam na dół i znowu otworzyłam laptop. Jego ekran rozjarzył się w mroku. Nie wiem, czego szukałam. Więcej informacji o matce? Jakiegoś sposobu, żeby ją lepiej poznać? Znalazłam ten artykuł na stronie „Chicago Sun Times”.

ŁOWCZYNI DUSZ UMIERA NA ZAWAŁ

Fotografka Madlyn Crane zmarła w czwartek w swoim domu na wyspie Grand Manitou. Jak dowiadujemy się od jej adwokata, najprawdopodobniej przyczyną śmierci był zawał.

Madlyn Crane, od czterech dekad najwybitniejsza fotografka kraju, robiła zdjęcia podróżnicze, reporterskie, przyrodnicze, ale szczególnie zasłynęła z niezwykłych portretów. Potrafiła uchwycić – czy chodziło o celebrytów, ludzi spotkanych podczas podróży czy zwierzęta – duszę swoich modeli. Dlatego też zyskała przydomek „Łowczyni Dusz”, który stał się także tytułem jednego z jej albumów. Z czasem wiele gwiazd zaczęło odmawiać pozowania artystce z obawy, że jej dziwnie przenikliwe oko dostrzeże ich prywatne problemy czy lęki.

Pani Crane nie miała rodziny.

– Okazuje się, że miała – mruknęłam. Wyjęłam z kuchennej szuflady list od Williama Archera i wybrałam numer widniejący w nagłówku. O tej porze mogłam się jedynie nagrać na sekretarkę, ale chciałam to zrobić natychmiast, dopóki jeszcze czułam w sobie odwagę, której być może zabrakłoby mi za dnia.

– Mówi Hallie James – odezwałam się po sygnale. – Dostałam pański list i chcę pana powiadomić, że w poniedziałek przyjadę na wyspę. Proszę się ze mną jutro skontaktować w celu potwierdzenia terminu.

Odłożyłam słuchawkę i westchnęłam w ciemnościach. Potem wróciłam do pustego łóżka, w którym przez całą noc rzucałam się bezsennie. Następnego dnia o bardzo wczesnej godzinie zadzwonił telefon.

– Czy rozmawiam z panną James?

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio mnie tak nazwano, ale tak – odpowiedziałam z uśmiechem. – Jestem Hallie.

– Nazywam się William Archer. Dzwonię w sprawie pani wizyty na wyspie. Byłem dobrym znajomym Madlyn i chcę panią zapewnić, że wszystko, co od pani usłyszę, zachowam w tajemnicy.

– Dziękuję, ale nie wiem...

– Jeśli mogę... – przerwał mi. – Parę spraw najlepiej byłoby załatwić w cztery oczy. Dość powiedzieć, że jedną z nich stanowi znaczny majątek pani Crane, drugą zaś raczej delikatna kwestia – jeśli wolno mi tak powiedzieć – pani istnienia.

– Nie rozumiem. – Żołądek zaczął mi się ścisnąć. Może jednak nie powinnam była dzwonić.

– Zdaję sobie sprawę, że jest pani córką Madlyn. Ale nikt inny na wyspie o tym nie wie, przynajmniej tak sędzę. A to dlatego, że pani... odejście... nastąpiło w pewnych szczególnych okolicznościach. Ja także byłem wtedy dzieckiem, ale ludzie tutaj pamiętają to wydarzenie.

Pamiętają?

– Mógłby mi pan powiedzieć coś więcej?

– Lepiej porozmawiać o tym osobiście – rzucił szybko. – Poruszyłem ten temat tylko dlatego, że fakt, iż pani i pani ojciec żyjecie...

– Mój ojciec zmarł – przerwałam. Słowa z truciem przechodziły mi przez gardło. – Wczoraj go pochowałam.

– Och... – W słuchawce zapadła cisza. – Bardzo współczuję. .. Cóż, nie mogło się to wydarzyć w gorszym momencie. Kiedy Madlyn odeszła, nie zdążywszy się z panią skontaktować, sądziłem, że to niełatwa sytuacja, ale teraz... Trudność osiągnęła całkiem nowy poziom.

Jego serdeczność mnie wzruszyła.

– Daję sobie radę – wykrztusiłam, walcząc ze łzami. – Co cię nie zabije, to cię wzmocni, jak mówią.

– Zawsze uważałem, że to piramidalna bzdura – powiedział cicho. Uśmiechnęłam się. – Na pewno chce pani przyjechać? Wyspa pani nie ucieknie. Możemy poczekać.

– To mi dobrze robi – oznajmiłam, po raz pierwszy z przekonaniem. – Wyjazd, zmiana otoczenia... Zapomnę na chwilę o pustce, która mnie tu otacza.

– W takim razie dobrze. Ale muszę panią o coś poprosić. Niech pani nikomu nie zdradza przyczyny swojego przyjazdu, dopóki nie porozmawiamy. Proszę mi uwierzyć, to najlepsze wyjście. Nie powinna pani odpowiadać na żadne pytania, zanim nie pozna pani wszystkich faktów. – Następnie podyktował mi spis praktycznych rzeczy, które warto spakować: grube swetry, mocne buty, ciepłą wodoodporną kurtkę. A potem jeszcze zaproponował, że zarezerwuje mi miejsce na promie i w miejscowym zajeździe. – I wyjdę po panią do portu – dodał na koniec.

A więc klamka zapadła. Naprawdę miałam pojechać.

– Dziękuję panu. Doceniam to, co pan dla mnie zrobił.

– Czekam na panią w poniedziałek. Rozłączyłam się.

Przez chwilę trzymałam słuchawkę i zastanawiałam się, w co się wpakowałam. Nie zauważyłam, że Richard stoi za moimi plecami.

– Wybierasz się dokądś? – spytał, unosząc brwi, po czym nalał sobie do kubka parującej kawy.

Otworzyłam lodówkę i podałam mu chude mleko.

– Cukier jest w puszcze na blacie.

– Niezły zwód, ale zadałem ci pytanie. – Uśmiechnął się, mieszając kawę. – Chcesz popłynąć na wyspę Grand Manitou, prawda?

Ja też nalałam sobie kawy i usiadłam przy stole.

– W poniedziałek – przyznałam.

– Czy to rozsądne? Po takich przeżyciach? Jej tam już nie ma, Hallie.

– Wiem. Ale mieszkała tam tyle lat. A ja tutaj, z tatą. Może... – Nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć. Tak naprawdę nie miałam pojęcia, dlaczego wyjeżdżam.

Richard wziął mnie za rękę.

– Jeśli się zdecydowałaś, to z tobą pojedę. Zmienię plany.

– Kuszące. – Uśmiechnęłam się, wiedząc, że nie mogę dostać tego, czego chcę. – Ale muszę to zrobić sama. Nie mam pojęcia, kim jestem. Wszystko, co mi opowiadano, okazało się kłamstwem. Może dzięki tej podróży dowiem się prawdy. Nie zobaczę mojej matki, ale chyba trochę lepiej ją poznam, kiedy ujrzę jej dom, jej miasto, sklep, w którym robiła zakupy. Przejdę ulicami, po których spacerowała, i spotkam jej przyjaciół. To niewiele, ale zawsze coś.

Richard pociągnął łyk kawy, przyglądając mi się z troską.

–Jadę z jeszcze jednego powodu – ciągnęłam. – Dlaczego nasze życie na wyspie wydawało się tacie tak straszne, że mnie stamtąd zabrał? Spróbuję znaleźć osoby, które to wiedzą.

– Uważaj, czego sobie życzysz – mruknął Richard i pogroził mi palcem.
– Może ci się nie spodobać to, co odkryjesz. Cokolwiek skłoniło twojego ojca do takiej decyzji, musiało być nieprzyjemne.

Westchnęłam.

– Może i tak, ale przynajmniej dowiem się prawdy.

Brzmiało to dość wiarygodnie, lecz mój zaciśnięty żołądek świadczył, że powątpiewam w słuszność swojej decyzji. Mieszając kawę, zajrzałam do kubka i wydało mi się, że widzę w nim gęstniejące burzowe chmury.

4

Po męczącym dniu w podróży – dwugodzinnej jeździe z Richardem na lotnisko w Seattle, długim locie z Minneapolis, mrozącej krew w żyłach przeprawie w awionetce do Saint Barnabas, małego miasteczka leżącego po drugiej stronie jeziora naprzeciwko wyspy Grand Manitou, i w końcu drodze w taksówce do portu – zjawiłam się w ostatniej chwili przed odbiciem promu od brzegu. Stałam na pokładzie, żeby odetchnąć powietrzem Wielkich Jezior, ale zaraz tego pożałowałam, bo o moje policzki uderzył lodowaty prysznic ostrych kropelek. Mocno chwyciłam się relingu rozkołysanego promu. Kiedy zaczęłam się wycofywać w stronę kabiny, coś zwróciło moją uwagę.

Przede mną rozciągała się ogromna tafla jeziora, ale kiedy skręciliśmy, w oddali ukazała się wyspa, jakby wyłaniająca się spod powierzchni wody. Przypominała wychylający się z głęбини nos wielkiego żółwia, a za nim – wypukłość skorupy. Gdzieś w mrokach mojego umysłu obudziło się wspomnienie tego od dawna niewidzianego obrazu. Tak, już tu byłam, znałam ten widok, choć nie mogłam go sobie dokładnie przypomnieć. Znajdował się tuż poza zasięgiem mojej pamięci, jak marchewka zwisająca przed pyskiem konia, i wabił mnie do siebie.

–Przepraszam... – Odwróciłam się raptownie. Za mną stał mężczyzna w mundurze. Jego siwe włosy rozwiewał wiatr, a ogorzała twarz świadczyła o latach spędzonych na dworze. Z oczu biła dobroć.

– Może wejdzie pani do sterówki? Pani bagaże będą tam bezpieczne. Roztacza się z niej piękny widok i trochę się pani ogrzeje.

Pomysł mi się spodobał. Poszłam z nim na górę.

– O tej porze roku nie mamy wielu turystów – zaczął, wpuszczając mnie do ciasnej kabiny. Przyglądał mi się długo, przenikliwie. Usiadłam na krześle, położyłam torbę na kolanach i objęłam ją ramionami.

– Nie przyjechałam tu na wakacje. – Mężczyzna czekał, aż powiem coś więcej. – Mam się spotkać z Williamem Archerem w kwestii prawnej. – Właściwie nie skłamałam.

– Ach... To dobry fachowiec.

Kapitan pogładził brodę, nie odrywając ode mnie skupionego spojrzenia. Znowu ogarnęło mnie zażenowanie. Ostatnią rzeczą, której sobie w tej chwili życzyłam – ja, jedyna kobieta na środku wzburzonego jeziora – to stać się obiektem zainteresowania. Ale marynarz wydawał się sympatyczny.

– Wie pani, że prom wraca na wyspę dopiero w piątek? Przytaknęłam.

– Zaczekam.

– Pierwszy raz na wyspie? – Kapitan odwrócił wzrok i spojrzał na wodę.

– Nie – powiedziałam, wierząc się na krześle. – Mieszkałam tu w dzieciństwie, ale niewiele pamiętam. Chętnie poznam ją od nowa.

Mój rozmówca w końcu się uśmiechnął.

– Pięknie tam. Szkoda, że nie zobaczy jej pani w lecie, kiedy wszystko kwitnie. Turyści zjeżdżają na Grand Manitou na wiosnę, ale po Halloween ruch zamiera. Wie pani, skąd wzięła się ta nazwa?

– To słowa z języka rdzennych Amerykanów, prawda?

– Grand Manitou to „wielki duch”. Indianie wierzyli, że mieszka tu sam Stwórca. Że tutaj znajduje się brama do jego świata.

– Nasz miejscowy Olimp?

– Mniej więcej. – Kapitan zachichotał. Potem wskazał coś za oknem. – Proszę spojrzeć, widać już miasto.

Sunęliśmy powoli ku brzegowi. Choć oglądałam zdjęcia tych okolic i czytałam o nich w przewodniku, nie spodziewałam się tego widoku: ogromne wiktoriańskie dwory o wspaniałych gankach i dachach zwieńczonych wieżyczkami, stojące rzędem na wysokim klifie nad kamienistym brzegiem, jeden okazalszy od drugiego, z coraz większymi gankami, coraz bardziej wypieszczonymi trawnikami.

– U schyłku poprzedniego wieku bogacze z Chicago, Detroit i Minneapolis kupowali tutaj letnie domy – opowiadał mój przewodnik. Miałam wrażenie, że nie po raz pierwszy wygłasza ten monolog. – Przyjeżdżali tu z powodu czystego powietrza i niezbyt upalnego lata.

Nie mogłam sobie wyobrazić, że posiadam tyle pieniędzy, by kupić jeden z tych dworów – tym bardziej jako domek wakacyjny.

– Czy teraz urządzono w nich pensjonaty? – William Archer zarezerwował mi pokój. Być może miałam zamieszkać właśnie w którymś z tych budynków.

– W niektórych – przyznał kapitan – ale inne nadal znajdują się w rękach prywatnych.

Ujął ster i wprowadził prom do przystani. Zaczęłam zbierać bagaże, zastanawiając się, co mnie czeka w świecie mojej matki.

– Will wyjdzie po panią czy też trzeba panią podwieźć? – spytał mój towarzysz. – Mogę zamówić taksówkę, zanim odbiję od brzegu.

– Dziękuję za pomoc, ale pan Archer obiecał wysłać po mnie samochód – rzuciłam przez ramię, ciągnąc ciężkie walizki po trapie na stały ląd, wśród marynarzy wynoszących resztę ładunku. Zauważyłam, że kilka osób z konnymi wozami przybyło po towar, pocztę i inne artykuły przywożone dwa razy w tygodniu na promie. Zdziwiło mnie to. Konie? Potem sobie

przypomniałam. Przeczytałam w przewodniku, że na wyspie Grand Manitou, podobnie jak na bliźniaczej Mackinac Island, nie ma pojazdów mechanicznych – z wyjątkiem paru karetok pogotowia i wozów strażackich. Turyści zostawiają samochody w porcie i poruszają się po okolicy pieszo, rowerem albo w dorożkach, które służą tu za taksówki. Podobnie postępują stali mieszkańcy. Nawet policjanci jeżdżą konno.

Szare listopadowe chmury wisiały nisko, wiatr wiał przenikliwie, więc zapięłam kurtkę aż po szyję. Powietrze pachniało samotnością. Poza gwarnym portem nie widziałam nigdzie żywej duszy. Na ulicy panował spokój. Żadnego warkotu samochodów, ryku radia, rozmów, tylko wiatr szeptał mi do ucha. Dla mnie, przyzwyczajonej do miejskich hałasów, było tu cicho jak w grobie.

W tym mieście się urodziłam i spędziłam pięć pierwszych lat mojego życia, a jednak nic tutaj nie wydawało mi się znajome. Po obu stronach ulicy stały budynki, niektóre zaledwie piętrowe. Nieco uniesiony drewniany chodnik znikał w oddali. Kolorowe szyldy kołysały się na wietrze, reklamując sklepy, z których wiele zostało pewnie zamkniętych na zimę: cukiernia, lodziarnia, piekarnia. Miałam wrażenie, że to dekoracje do filmu. Na ulicy nie poniewierały się śmieci, ze ścian domów nie łuszczyła się farba, nie dostrzegłam nic spłowiałego ani brzydkiego – taka doskonałość musiała wyjść spod ręki scenografa. Całkiem jakbym znalazła się na głównej ulicy Disney Worldu – staroświeckiej, idyllicznej, cieplej.

Za moimi plecami rozległ się stukot kopyt. Odwróciłam się i zobaczyłam nadjeżdżającą dorożkę: nie taką z otwartą budą, jak w nowojorskim Central Parku, lecz zadaszoną, jaką zapewne podróżowano u schyłku minionego wieku. Pan Archer obiecał, że zamówi mi taksówkę, i oto

się zjawiała. Choć wiedziałam, że na wyspie nie ma pojazdów mechanicznych, głupio wyobrażałam sobie, że przyjedzie po mnie coś z silnikiem.

Przede mną zatrzymał się kasztanek, a woźnica, starszy pan z białą bujną czupryną, odezwał się:

– Panna James? Przyjechałem zabrać panią do zajazdu Manitou. – Z cichym jękiem zszedł z kozła, żeby wziąć moje bagaże.

– Jestem umówiona z Williamem Archerem w jego kancelarii.

Woźnica wyjął z kieszeni małą kopertę i mi ją podał.

– Mam to pani przekazać tytułem wyjaśnienia. Otworzyłam list i przeczytałam:

Droga Hallie,

proszę mi wybaczyć tę zmianę planu. W chwili gdy wsiadła Pani na prom, dowiedziałem się o pilnej sprawie zawodowej. Polecilem dorożkarzowi Henry'emu, żeby zawiózł Panią do zajazdu, nie do mojej kancelarii.

Pozwoliłem sobie przełożyć nasze spotkanie na jutro na dziewiątą rano. Jeśli to Pani nie odpowiada, proszę do mnie zadzwonić z zajazdu i zaproponować bardziej dogodną porę.

Jeszcze raz przepraszam za kłopot.

Z poważaniem, William Archer

Odręczny liścik? Czemu nie skontaktował się ze mną telefonicznie?

– Tylko zadzwonię – mruknęłam, grzebiąc w torebce. Spojrzałam na ekranik z wiadomością: „brak zasięgu”. To stąd ta staroświecka forma kontaktu.

Henry wzruszył ramionami. Pewnie myślał: „Turyści!”. Wrzuciłam bezużyteczną komórkę do torebki.

– No to w drogę – powiedziałam i uśmiechnęłam się, gdy woźnica podał mi rękę, by pomóc wejść po dwóch schodkach do pojazdu.

–Jeszcze nigdy w czymś takim nie jechałam – wyznałam, ale mnie nie usłyszał. Usiadłam wygodnie i ruszyliśmy z lekkim szarpnięciem. Stukanie kopyt brzmiało hipnotyzująco: klap, klap, klap... Wyrzesałam przez okno na mijane budynki – restaurację, bank, bar, kolejną cukiernię – i odetchnęłam głęboko. Wypełnił mnie spokój. Pewnie dlatego, że znalazłam się z dala od miejskiego zgiełku: samochodów, autobusów, spalin, ryku odbiorników i dzwonek komórek. Nic nie zakłócało bicia mojego serca.

Skręciliśmy z głównej uliczki i zaczęliśmy się wspinać na wzgórze pełne kolejnych wiktoriańskich domów, nie aż tak okazałych jak te, które widziałam z promu, lecz zdecydowanie ładnych, z frontowymi gankami i zadbanymi trawnikami. Czy w jednym z nich mieszkała moja matka? I ja? Usiłowalam zajrzeć w te zamknięte przestrzenie mojego umysłu, szukając w nich jakiegoś skojarzenia, wspomnienia. Po tych ulicach chodziłam w dzieciństwie, tu się bawiłam, tu mieszkalam. Na pewno gdzieś został ślad, jakaś ulotna pamiątka mojego życia. A jednak patrzyłam na wszystko jak obcy przybysz.

Zatrzymaliśmy się przed masywnym żółtym drewnianym domem z gankiem, który otaczał go z każdej strony. Nad drzwiami kołysał się jaskrawy szyld: zajazd Manitou.

Henry przyniósł moje bagaże, a ja zaczęłam wchodzić po schodach budynku, ale widok, który się przede mną roztoczył, kazał mi się zatrzymać w pół kroku. Z ganku zobaczyłam przestwór wody ciągnący się we wszystkich kierunkach, kamienisty brzeg wyspy i nawet brzeg po drugiej stronie jeziora. W oddali dostrzegłam prom sunący do portu, z którego wyruszył. Z tego

miejsca wyglądał jak zabawka. Wstrzymałam oddech. Stało się jasne, dlaczego dawni bogacze budowali tu domy.

– Niezłe, co? – Henry uśmiechał się szeroko.

– O, tak – przyznałam mu rację. – Mogłabym tu spędzić cały dzień.

Drzwi się otworzyły i na progu stanęła kobieta w dżinsach i grubym kremowym swetrze. Na srebrnym łańcuszku na jej szyi wisiały dwuogniskowe okulary w jaskrawoczerwonych oprawkach. Długie siwiejące włosy łagodziły jej ostre rysy. Nie wiedziałam, czy to moja przedwcześnie posiwiata rówieśniczka, czy fenomenalnie „zakonserwowana” sześćdziesiątka. Zapewne miałam przed sobą właścicielkę zajazdu. Wiedziałam, że spodziewa się mojego przybycia – pan Archer wszystko przygotował na mój przyjazd – ale przez chwilę przyglądała mi się z zaskoczeniem i podejrzliwością. Nie rozumiałam, czym sobie zasłużyłam na takie powitanie, więc przerwałam milczenie.

– Dzień dobry! – powiedziałam z najbardziej pogodnym uśmiechem, na jaki mogłam się zdobyć, i wyciągnęłam rękę. – Nazywam się Hallie James. Zdaje się, że mam tu rezerwację?

Kobieta skinęła głową, podała mi rękę i w końcu się uśmiechnęła.

– Oczywiście, Hallie! Witaj, witaj! Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Wejdźże, na litość boską, nie stój na tym wietrze. – Odwróciła się i podziękowała woźnicy, po czym zaprowadziła mnie do wnętrza zajazdu.

Wnętrze domu promieniało przytulnością. Na lśniących drewnianych posadzkach leżały orientalne dywany, ściany ozdobione były olejnymi pejzażami wyspy, na gzymsie kominka w salonie stały zdjęcia. Miękka sofa i berzerka wyglądały na bardzo wygodne, jakby zachęcały, żeby się w nich

rozsiaść z książką. Za drzwiami widziałam gabinet pełen półek sięgających do sufitu.

– Jestem Mira Finch – rzuciła kobieta, prowadząc mnie na piętro. – Twój pokój znajduje się tutaj.

– Bardzo się cieszę, że nie zamknęłaś zajazdu na zimę – trajkotałam nerwowo. – Rozumiem, że większość hoteli zawiesza działalność.

Moja gospodyni otworzyła pierwsze drzwi na piętrze.

– To prawda, pogoda w listopadzie staje się tu bardzo brzydka – potwierdziła, kiwając głową. – Od wielu tygodni nie miałam gości. Ale ja mieszkam tu na stałe, więc z radością udzielę ci gościny. To twój pokój, Apartament Nadmorski.

– Rany – mruknęłam, spoglądając na ogromne wykuszowe okno z tapicerowanym siedziskiem wymoszczonym barwnymi poduszkami. Obok leżało parę koców. Z okna można było podziwiać ten sam widok co z ganku – ogromną połąć burzliwej wody i migoczące światełka na drugim brzegu. Wielkie łoże przykrywała puchowa kołdra, w kominku trzaskał ogień.

– Przepięknie – powiedziałam zachwycona.

– Powiedzmy. – Mira uśmiechnęła się szerzej, nieco cieplej. – Twoje klucze leżą na nocnej szafce. Jeden otwiera drzwi wejściowe – rzadko zamykane – drugi jest do tego pokoju. Kawę i śniadanie – bułeczki, rożki, jajka i tak dalej – zwykle podaję po siódmej, ale na ogół wstaję wcześniej, więc jeśli będziesz miała na coś ochotę, tylko powiedz.

– Nie, nie rób sobie kłopotu. Nie spodziewam się pełnej obsługi, skoro już po sezonie i w ogóle. Nie masz innych gości, a ja naprawdę nie chcę przeszkadzać. – Mira pogłaskała mnie po ramieniu. Poczułam ulgę, że przestała mnie traktować tak lodowato.

– Może umówmy się tak: rano zrobię kawę, a potem masz swobodny wstęp do kuchni. Dysponuję płatkami muesli i owsianymi, bajglami, jajkami. Częstuj się.

– Idealnie – powiedziałam, ciągnąc moje bagaże w kierunku pufa u stóp łoża.

Kobieta najwyraźniej wahała się, czy dodać coś jeszcze. W końcu podjęła decyzję.

– Właśnie siadałam do herbaty. Dołącz do mnie, jeśli masz ochotę.

Sądziłam, że pierwsze godziny na wyspie spędzę, rozmawiając z prawnikiem o testamencie i śmierci mojej matki, ale to zaproszenie odpowiadało mi o wiele bardziej.

– Bardzo chętnie, dziękuję. Czy mogę się najpierw umyć? Jestem w drodze od rana i czuję, że pokrywa mnie kurz kilku stanów.

Mira prychnęła śmiechem.

– Nie musisz się spieszyć. Czekam na dole. – I zostawiła mnie samą, zamknąwszy za sobą drzwi.

Wyjęłam z walizki piżamę, ale reszty ubrań nie rozpakowałam. Potem poszłam z kosmetyczką do łazienki, która – ku mojej radości – okazała się okrągła. Niewątpliwie znajdowała się w jednej z wieżyczek. Był tam ogromny, wykładany kafelkami prysznic, a pod oknem z widokiem na jezioro – jacuzzi. Na blacie w kącie obok świec, mydełek, szamponów i balsamów leżały puszyste białe ręczniki.

Zamiast rozpakować się do końca, wtuliłam się w siedzisko pod oknem, nakryłam nogi kocem i spojrzałam na wodę. W domu pocieszałam się widokiem cieśniny, szczekaniem fok i chlupotem fal, działającym na mnie jak środek uspokajający. Wszelkie problemy – od licealnych smutków po

nerwowość studiów, rozwód i chorobę taty – rozwiązywałam na brzegu morza, a fale zmywały je bez śladu. Patrząc na wielkie jezioro, odniosłam podobne wrażenie. Nie widziałam mew ani wielorybów, ale panował tu podobny spokój.

Odetchnęłam głęboko i nagle do mnie dotarło. Naprawdę znajdowałam się na wyspie mojej matki, spoglądałam na jej jezioro! To stąd przed laty zabrał mnie ojciec.

W głowie zakręciło mi się od myśli. Gdybym znalazła się tu parę tygodni wcześniej, poznałabym ją. Gdyby zadzwoniła, zamiast wysłać mi list. Gdyby do mnie przyleciała.

Łzy zapiekły mnie w oczy. Poszłam do łazienki, zdjęłam ubranie i odkręciłam wodę. Prysznic poprawi mi humor. Usiłowałam panować nad sobą, ale kiedy stanęłam pod strumieniem wody, nie wytrzymałam. Stałam, łkając, a woda zmywała kilometry dzielące mnie od domu, kłamstwa, jakie narosły między mną i ojcem, tęsknotę za matką.

W końcu wytarłam się, uczesałam, włożyłam bluzkę, dzinsy i zesłam na parter. Zastałam Mirę nad talerzem z serem i krakersami, jarzynami, sosami i wędliną. Zobaczywszy mnie na schodach, nalała mi filiżankę herbaty i dopiła swoją.

Zerknęła z niepokojem na moje podpuchnięte oczy i twarz w czerwonych plamach.

– Wszystko w porządku?

– Długi dzień. Długi tydzień. Długi miesiąc.

– Rozumiem cię – powiedziała z uśmiechem. – Pomyślałam, że po tej wyczerpującej podróży pewnie zgłodniałaś, więc wstawiłam do piekarnika kurczaka. Na razie przekaśmy to.

Zrobiła mi kolację? Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że niewiele dziś jadłam. Garść orzeszków w samolocie trudno by nazwać obiadem. I nawet nie pomyślałam o znalezieniu restauracji na wyspie, gdzie pewnie wszystkie lokale zamknięto na zimę.....

– Bardzo dziękuję – powiedziałam, popijając herbatę. – Nie oczekiwałam takiego przyjęcia, ale jestem wdzięczna.

– E tam, w końcu prowadzę zajazd. – Mira uśmiechnęła się i stuknęła filiżanką w moją. – Tym się zajmuję. Powinam ci też wyjaśnić, jak wygląda życie na wyspie poza sezonem turystycznym.

Usiadłam w fotelu koło niej.

– Oto najważniejsza informacja: większość sklepów i restauracji jest nieczynna.

– Tak mi mówiono. – Pociągnęłam kolejny łyk herbaty, kojącej i ciepłej. – Czy gdzieś można zrobić zakupy?

– W sklepie spożywczym. Na Main Street działa winiarnia, restauracja, w której mieszkańcy zbierają się na śniadania i obiady, no i pałacyk myśliwski po drugiej stronie wyspy. I kawiarnia Jonaha, i... zaraz... biblioteka też pracuje. Ale na tym koniec.

– To i tak więcej, niż się spodziewałam. Mira zabrała się do krakersów z serem.

– Co cię sprowadza na naszą wysepkę podczas listopadowych zawieruch?

William Archer zakazał mi o tym rozmawiać. Mira – mimo chłodnego przyjęcia – wydawała się sympatyczna i serdeczna. Jednak prawnik wiedział, że się u niej zatrzymam, sam zarezerwował mi pokój. Gdyby uważał ją za osobę godną zaufania, chyba by o tym wspomniał? Robił aluzje do czasów,

gdy ojciec mnie stąd zabrał, do wydarzeń, o których mieszkańcy wyspy nie zapomnieli. Nie mogłam teraz sprawdzać, czy Mira do nich należy. Tylko ona prowadziła tu otwarty zajazd. Gdyby mnie wyrzuciła za podawanie się za zmarłą córkę Madlyn Crane, nie miałabym się gdzie podziąć.

– Chcę się spotkać z Williamem Archerem. Spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

– Tak? – Najwyraźniej chciała usłyszeć coś więcej. – Ojej, to nie moja sprawa. Klątwa hotelarza. Jesteśmy z natury wścibscy.

– Nie, nie szkodzi – odparłam z wahaniem. – Muszę porozmawiać z panem Archerem o testamencie Madlyn Crane.

Mira patrzyła na mnie przez chwilę nieruchomym wzrokiem, a ja zastanawiałam się gorączkowo, usiłując znaleźć jakieś wiarygodne wytłumaczenie.

– Bardzo mi przykro – powiedziała powoli moja gospodyni. – Nie wiedziałam, że Madlyn miała żyjących krewnych.

A to się wkopałam. Powinnam się przyznać, kim jestem? Milczeć? Chyba i tak zdradziłam za dużo.

– Właściwie nie... – zaczęłam, ale zaraz urwałam i spróbowałam jeszcze raz. Nie chciałam zupełnie mijać się z prawdą. Zbyt długo żyłam kłamstwami.

– W tej chwili niewiele wiem. Dostałam od pana Archera list z prośbą o spotkanie w sprawie testamentu. Nie znam Madlyn Crane. Oczywiście widziałam jej prace, ale poza tym...

Mira przyjrzała mi się podejrzliwie.

– Nie znasz jej?

– Nie pamiętam, żebym się z nią kiedyś spotkała. – W zasadzie mówiłam prawdę.

– Przyjechałaś o tej porze roku, żeby porozmawiać o testamencie zupełnie obcej kobiety? – Zabrzmiało to jak oskarżenie.

Zaczęłam się czuć nieswojo. Dlaczego interesowało ją, po co tu jestem? Dlaczego mnie tak traktowała?

– Jeśli już musisz wiedzieć, moja sytuacja domowa stała się dość trudna i list pana Archera dał mi powód, żeby wyrwać się na parę dni.

Właściwie użyte „jeśli musisz wiedzieć” zawsze odnosi skutek. Podejrzliwość w oczach Miry zmieniła się w troskę i smutek.

– Przepraszam – szepnęła. – Rozumiem. Wszyscy czasem potrzebują ucieczki, nawet w listopadzie.

– W każdym razie więcej dowiem się jutro, po spotkaniu z panem Archerem. Mnie też to intryguje.

Rozmowa zeszła na inne tematy i resztę wieczora spędziłyśmy w dość przyjaznej atmosferze. Moja gospodyni przygotowała kolację i starała się zachowywać tak, żebym poczuła się u niej swobodnie. A jednak nie potrafiłam zapomnieć o dreszczu, który przeszedł mi po plecach na wspomnienie Madlyn Crane. Podejrzliwość Miry zasiała we mnie niepokój, który zapuścił korzenie w moim ciele i przypominał, bym nie traciła czujności.

W końcu wróciłam do pokoju i położyłam się pod grubą puchową kołdrą, ale nie mogłam się pozbyć tego uczucia chłodu.

5

Obudziłam się gwałtownie, z bezgłośnym krzykiem w gardle. Ktoś dotknął mojej twarzy, byłam tego pewna. Usiadłam na posłaniu. Ktoś tu stał, patrzył na mnie? Mira?

Przez wykuszowe okno wpadało światło księżyca i zalewało pokój upiorną bielą. Rozejrzałam się z łomoczącym sercem: moje bagaże, telewizor, komoda, siedzisko pod oknem. Wszystko na swoim miejscu.

Wstałam i poszłam do łazienki. Pusta. Szafa też. Pod łóżkiem również nic nie znalazłam. Sprawdziłam drzwi – zamknięte na zasuwkę i łańcuch. Z ulgą wypuściłam powietrze z płuc. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymywałam oddech.

Więc to tylko sen. Idiotka ze mnie!

Chciałam się znowu położyć, ale w moich żyłach tętniła adrenalina. Rzucalam się na posłaniu przez jakąś godzinę, usiłując zwabić spłoszony sen, lecz w głowie kłębiły mi się myśli o mamie, liście Williama Archera, nieufności w oczach Miry. Na budziku widziałam rozjarzone cyfry – czwarta piętnaście. W końcu skapitulowałam. Zrozumiałam, że nie zasnę. Włożyłam szlafrok, usiadłam w oknie i okryłam nogi kocem.

Tafla jeziora nie przecinała ani jedna fala; jej nieruchoma powierzchnia wyglądała jak skuta lodem. Księżycowy blask kładł się na atramentowej wodzie jak długa ścieżka ciągnąca się w dal. Po drugiej stronie jeziora migotało tylko parę świateł. Najwyraźniej wszyscy mieli dość rozumu, żeby położyć się spać.

Skulona na siedzisku, przyglądałam się temu krajobrazowi, by uciszyć galopujące myśli. Oddychałam głęboko, starając się poczuć spokój, którym tchnęła szklista tafla. Nagle niedaleko od brzegu rozległ się plusk.

Wyteńczyłam wzrok i zobaczyłam – wyraźnie jak w dzień – wynurzającą się powoli rękę. Ludzką rękę. A potem drugą. Znowu plusk. Głowa, otwarte usta łapiące powietrze. Ktoś tonął! Zerwałam się na równe nogi. Ale to przecież niemożliwe. Siedziałam w oknie parę minut i nie zauważyłam nikogo płynącego jeziorem. Powierzchnia wody nadal była nieruchoma jak lód.

Nieważne. Naprawdę widziałam tego człowieka, choćby się to wydawało nieprawdopodobne. Zaczęłam się siłować z zasuwką, wypadłam z pokoju i zbiegłam po schodach.

– Mira! Dzwon na pogotowie! – krzyknęłam, wyskoczyłam na zewnątrz i popędziłam nad jezioro.

Stałam na skraju klifu. Bose stopy drętwiały mi z zimna. Mira niemal natychmiast znalazła się obok mnie.

– Hallie! Co się, do diabła...

Zastygłam ze wzrokiem wbitym w jezioro. Spokojna tafla wody, którą obserwowałam z okna jeszcze parę minut temu, stała się wzburzona i gniewna. Gwałtowny wiatr budził ogromne, biało-grzywe fale, które z impetem uderzały o skaliste wybrzeże. Jak to możliwe?

– Hallie! – Mira potrząsnęła mną, jakby chciała mnie zbudzić. – Co się dzieje?

Nie odpowiedziałam.

– Wróćmy do domu, bo zamarzniesz na śmierć. – Zaprowadziła mnie do środka, zamknęła za sobą drzwi.

– Zobaczyłam...

–Co?

Podeszłam do okna.

– Zobaczyłam człowieka. W jeziorze.

– W łódce?

– Nie, w wodzie. Jakieś sto metrów od brzegu. Może więcej. Mira spojrzała na mnie pytająco, kręcąc głową.

– Wykluczone. Pewnie ci się przyśniło.

– Nie. Na pewno nie – oznajmiłam z uporem. – Nie mogłam zasnąć, więc usiadłam w oknie. I nagle spostrzegłam kogoś w wodzie, kogoś walczącego o haust powietrza. Wydawało mi się, że ta osoba tonie. Chciałam wezwać policję, straż przybrzeżną, kogoś... Ale... – urwałam. Zaczęłam wątpić w świadectwo własnych oczu.

– Ale co?

– Kiedy patrzyłam na jezioro z mojego pokoju, jego powierzchnia wyglądała jak szkło. Była zupełnie nieruchoma. A potem wyszłam na zewnątrz... – Spojrzałam jej w oczy, czekając na jakieś wyjaśnienie tego, co się wydarzyło, potwierdzenie, że wiatr zerwał się w ułamku sekundy. Jednak Mira pokręciła głową.

– Wicher wiał całą noc. Nie słyszałaś? Dom trzęsie się w posadach. Martwiłam się, że nie zaśniesz.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

– Ale ta osoba...

– Hallie... – Mira lekko potrząsnęła moją dłońią. – Tu się nie pływa o tej porze roku. Za zimna woda. Nawet w sierpniu ktoś, kto wypadnie za burte, może doznać szoku termicznego. A teraz? Nikt by nie przeżył.

Nie od razu jej słowa do mnie dotarły. Oczywiście miała rację. Pewnie mi się wszystko przyśniło. Teraz to ja musiałam przeprosić.

– Zachowałam się jak idiotka. Obudziłam cię w środku nocy i wypadłam na zewnątrz jak oszalała.

Moja gospodyni uśmiechnęła się pocieszająco.

– Nic nie szkodzi. Ta wyspa ma w sobie coś, co tak działa na ludzi. Powinam cię uprzedzić. Myślę, że to te konne powozy i falowanie jeziora tak pobudzają wyobraźnię. Wielu pisarzy i malarzy przyjeżdża do nas po natchnienie. A może chodzi nie tylko o to – dodała, prowadząc mnie po schodach. – Pewnie zobaczyłaś ducha.

Zatrzymałam się, zaskoczona jej słowami.

– Żartujesz, prawda?

– Ależ skąd. – Mrugnęła do mnie. – W sezonie oprowadzam turystów szlakiem duchów. W tych okolicach z całą pewnością jest jakaś moc. Starsi ludzie twierdzą, że to ma coś wspólnego z dawnymi legendami o wyspie będącej bramą do innego świata. Tu się roi od duchów. Nie dziwi mnie, że też tego doświadczyłaś.

Wróciwszy do mojego pokoju, ujrzałam na niebie pierwsze oznaki świtu. Było wcześnie, ale poszłam pod prysznic i długo stałam w deszczu gorących kropeł, usiłując splukać z siebie wspomnienie tonącego człowieka.

Wytałam się i uznałam, że właściwie mogę się już ubrać. Co powinnam włożyć na spotkanie z prawnikiem? Wygodne dzinsy i bawełniany sweter? W połączeniu z tweedową marynarką taki zestaw musiał wystarczyć. Odniosłam wrażenie, że ludzie tu nie wysilają się zbytnio, by wyglądać elegancko. Zaczęłam szukać w walizce suszarki do włosów. Para nadal wisiała w łazience niczym mgła. Przypomniała mi o dniu, w którym wszystko się zaczęło.

Stałam przed lustrem, czesząc włosy. Nagle zobaczyłam coś, co zaparło mi dech w piersiach. Na zewnętrznej stronie kabiny prysznic widniał wyraźny ślad dłoni.

Poczułam się dokładnie tak jak tamtego mglistego dnia: strach wsącał się we mnie, jakby unosił się z podłogi. Czy to ja zostawiłam ten odcisk na szkle? Czy ktoś stał w zaparowanym pomieszczeniu, przyglądając mi się? Miałam głęboką nadzieję, że nie, ale jak często zostawiamy pełny ślad dłoni na drzwiach prysznic?

Zajrzałam do łazienki. W tym rozgorączkowaniu pewnie zapomniałam zaryglować drzwi. Ktoś mógł tu wejść i stanąć przed prysznicem. Ale kto, Mira? O ile wiedziałam, w domu nie było nikogo oprócz niej.

6

Zabrałam się z Mirą do miasta jej powozem zaprzężonym w dwa potężne konie. Do spotkania zostało jeszcze sporo czasu, ale doszłam do wniosku, że na tej wyspie lepiej korzystać z nadarzającej się okazji podwiezienia. Od jeziora wiał zimny wiatr, ciemne, groźne chmury wisiały nisko na niebie. Zapięłam kurtkę i z zadowoleniem pomyślałam o ciepłym swetrze, który włożyłam.

Mira wysadziła mnie na Main Street pod kawiarnią U Jonaha i wyjaśniła, jak trafić do kancelarii Williama Archera.

– Do zobaczenia! – zawołała przez ramię, odjeżdżając. – Powodzenia na spotkaniu!

Spojrzałam na zegarek. Została mi jeszcze godzina. Otworzyłam drzwi kawiarni. Przy stoliku obok okna siedziała grupa osób w wieku mojego ojca: kobieta w kamizeli z czerwonego polaru i dżinsach, paru mężczyzn we flanelowych koszulach, kolejna kobieta w grubym swetrze. Najwyraźniej miejscowi.

Na mój widok ich śmiech i rozmowy urwały się jak nożem uciął. Odwrócili się w moją stronę. Mogłabym to znieść, gdyby patrzyli z zaciekawieniem i sympatią. Ale tak? Czułam się, jakbym wtargnęła na zebranie tajnego stowarzyszenia. Byłam intruzem i wyraźnie dano mi to do zrozumienia. Od ich spojrzeń mrowiła mnie skóra. O co im chodziło? Jeszcze parę tygodni temu w mieście roiło się od turystów. A teraz nagle widok obcej osoby wszystkich szokuje?

Odkaszlnęłam, żeby człowiek za ladą mnie zauważył. W końcu podszedł i przerwał niezręczne– milczenie.

– Niech zgadnę. – Mrugnął do mnie i dodał wystarczająco głośno, żeby usłyszała go grupa przy stoliku pod oknem: – Może to nadmierna śmiałość, ale podejrzewam, że interesuje panią kawa latte?

Miejscowi zrozumieli aluzję i wrócili do rozmowy, miłosiernie odrywając ode mnie spojrzenia.

– Zdumiewające – powiedziałam z uśmiechem. – Chyba jest pan jasnowidzem. Rzeczywiście mam ochotę na latte. Z chudym mlekiem. Z syropem migdałowym i czekoladowym. – Dlaczego nie pozwolić sobie na przyjemność w taki dzień?

Mężczyzna zaczął podgrzewać mleko, a ja przypomniałam sobie, co przeczytałam na szyldzie.

– To pan jest Jonah?

– W rzeczy samej. – Podał mi parujący kubek. – A pani?

– Hallie James, przyjezdna.

Właściciel kawiarni roześmiał się tak głośno, że kilka osób znowu się na niego obejrzało.

– Firma stawia. Witaj na wyspie, Hallie James.

– Na pewno? – spytałam, wyjmując z torebki dwadzieścia dolarów.

– Zdecydowanie. Miejscowa tradycja. Pierwszy gość w sezonie dostaje darmową kawę.

Jonah był w moim wieku, może o parę lat młodszy. Miał długie jasne włosy do ramion i równie słoneczne usposobienie. Jego twarz promieniowała ciepłem, co dodało mi otuchy.

– Dzięki – powiedziałam z uśmiechem, wzięłam leżącą na ladzie gazetę i poszłam do stolika jak najdalej od miejscowych.

Okna kawiarni wychodziły na port. Zasłaniając się gazetą, pomyślałam, że w lecie musi się z nich roztaczać niezły widok. Turyści pewnie piją tu kawę z lodem, patrząc na wpływające do portu promy i podziwiając kolorowe żagłówki. Wyobraziłam to sobie tak plastycznie i wyraźnie, jakbym już kiedyś oglądała ten obraz. Zaszło mi w gardle. A jeśli? Zastanawiałam się, od ilu lat istnieje ta kawiarnia.

Spoglądałam na zegarek mniej więcej co dwie minuty. Usiłowałam zainteresować się starymi wiadomościami (gazeta pochodziła sprzed tygodnia), ale nie mogłam uspokoić wzburzonych myśli na tyle, by się skupić. Czego dowiem się od Williama Archera?

Miejscowy komitet powitalny z wolna opuścił lokal. Parę osób zatrzymało się, żeby pożegnać właściciela kawiarni. Jedna z kobiet podeszła do mnie z uśmiechem. Wyglądała, jakby groźnie szczyrzyła zęby.

– Przepraszam, że wszyscy tak na panią spojrzeliśmy. Pewnie się pani spieszyła. Po prostu o tej porze roku nie widzimy tu wielu turystów, a... a pani wygląda tak znajomo, że nas to zaskoczyło.

Skinęłam głową. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Kobieta, nadal uśmiechając się w ten dziwnie agresywny sposób, dodała:

– Zachowaliśmy się okropnie niegrzecznie. – Spojrzała na mnie wyczekująco.

– Nic się nie stało.

Wyciągnęła do mnie rękę.

– Nazywam się Isabel Stroud.

Wymieniłyśmy uścisk.

– Hallie James.

Udało mi się uśmiechnąć.

– Co cię sprowadza na wyspę poza sezonem?

„Dokładnie przed tym ostrzegał mnie pan Archer – pomyślałam. – Właśnie tacy ludzie mogliby mi mieć za złe... no cóż, że jestem sobą”.

– Przyjechałam w sprawie prawnej. Zostanę tu tydzień.

– Cudownie. – Nadal się uśmiechała. – Więc jeszcze nieraz się spotkamy.

Jakoś w to nie wątpiałam. Miałam przeczucie, że Isabel i jej kumple będą mnie uważnie obserwować – i to bez sympatii. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, jakbym odetchnęła świeżym powietrzem.

Jonah zajął się wycieraniem blatu.

– Przepraszam za to – rzucił przez ramię. – To klątwa małych miasteczek.

– Małych wyspiarskich miasteczek. Po sezonie turystycznym.

– Wszyscy wtrącają się w nie swoje sprawy.

Zabawne. Tylko dlatego, że to powiedział, zapragnęłam mu się zwierzyć.

– Przyjechałam na spotkanie z Williamem Archerem. Potem mogę mieć do załatwienia parę innych rzeczy na wyspie.

Jonah znieruchomiał.

– Jak on to robi, że zawsze umawia się z ładnymi kobietami? Nie pojmuję.

Zarumieniłam się lekko. Czy Jonah ze mną flirtował? Dawno mi się to nie zdarzyło. Nalał sobie kawy i podszedł do mojego stolika.

– Mogę się przyłączyć?

Nie wiedziałam, czy chcę. Ale on, nie czekając na odpowiedź, usiadł naprzeciwko.

– No więc... – odezwałam się, szukając jakiegoś tematu. – Rozumiem, że nie masz wiele pracy.

Przytaknęłam.

– Tak będzie teraz i przez całą zimę. Ludzie nie lubią żeglować po jeziorze przy pięciometrowych falach.

– Leszcze. – Pociągnęłam łyk kawy. – Od dawna prowadzisz kawiarnię?

– Otworzyłem ją jakieś dziesięć lat temu. Myślałem o opuszczeniu wyspy, znalezieniu pracy na drugim brzegu. Ale to miejsce ma w sobie coś szczególnego. Chwyta cię i nie puszcza.

W tej chwili po plecach przeszedł mi dreszcz. Ja także poczułam się schwyta. Może sprawiły to błękitne oczy Jonaha, lśniące jak stal. A może jego słoneczny uśmiech, który nagle przygasł. Czy to, co powiedział, było jakąś aluzją?

Nie zdążyłam się tego dowiedzieć, bo nagle uświadomiłam sobie, że dochodzi dziewiąta. Poderwałam się z krzesła.

– Oj, na mnie pora.

– Mam nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczymy. – To, co rzuciło cień na jego twarz, znikło, zastąpione znajomym, miłym uśmiechem.

– Na pewno. – Ja też uśmiechnęłam się do niego.

Wyszłam na Main Street. Przez chwilę szukałam w torebce adresu kancelarii Williama Archera, po czym ruszyłam bezludną ulicą. Po drodze oglądałam wystawy mijanych sklepów, ciemne i opustoszałe. Jakbym się znalazła w mieście duchów.

A potem to usłyszałam: szept niesiony wiatrem. Cichy dziecięcy głos, piosenkę rozbrzmiewającą mi w uszach, a jednocześnie wokół mnie.

„Chodźmy się bawić, wyjdźmy na łąkę”.

Odwrociłam się gwałtownie. Zobaczyłam tylko pustą ulicę.

„Przynieś laleczki. Wejdź na jabłonkę”.

Znałam tę piosenkę. Pamiętałam ją z dzieciństwa. Niemal zobaczyłam siebie, siedzącą z koleżanką na ziemi, śpiewającą i klaszczącą w rytm słów. Ale ta melodia zmieniła ton na minorowy. Śpiew rozbrzmiewał powoli, niespiesznie.

„Wejdź w piwnicy mojej drzwi”.

Zimny wiatr wiał w moim sercu, podchodził do gardła, niemal wyduszając ze mnie słowa. Zaczęłam cicho nucić:

– Zawsze razem, ja i ty.

Raptem piosenka się skończyła. Rozejrzałam się, ale wokół było pusto. Stałam na ulicy samotnie. Zaczęłam iść przed siebie szybkim krokiem. Bardzo chciałam znaleźć się w czyimś towarzystwie.

Za przecznicą ujrzałam kołyszący się na silnym wietrze szyld: „Kancelaria Prawna Archer i Syn”. Jego ciche poskrzypywanie – i wspomnienie tego, co się przed chwilą wydarzyło – nasunęło mi myśl, że jestem jedyną żywą duszą na wyspie. Wszyscy pozostali – ludzie z kawiarni, Jonah, nawet Mira – to duchy z innych czasów. Ale oczywiście wyobraźnia zaczęła mi płatać figle. Odsunęłam od siebie te nieprzyjemne wizje i otworzyłam drzwi.

W kancelarii nie było nikogo. Zobaczyłam biurko recepcjonistki, parę krzeseł, biblioteczkę, ale żadnego pracownika, klientów ani Williama Archera. Ta wszechobecna pustka zaczynała grać mi na nerwach.

– Dzień dobry! – zawołałam. Z pokoju na zapleczu wyszedł mężczyzna, w ręku miał kubek z kawą. Nagle to upiorne uczucie, które mnie przed chwilą męczyło, znikło.

– Hallie James?

Wyciągnęłam rękę.

– Zapewne pan William Archer?

Prawnik uścisnął moją rękę z uśmiechem.

– Przyszła pani punktualnie.

Nie tak go sobie wyobrażałam. Rozmawiając z nim przez telefon, myślałam, że to jakiś konserwatywny, zapięty pod szyję, starszy ode mnie jegomość. Tymczasem miałam przed sobą mężczyznę w dżinsach i kraciastej koszuli narzuconej na podkoszulek. Miał szczupłe ciało sportowca i wyglądał na mojego rówieśnika. Ciemne falujące włosy sięgały mu do ramion, intensywnie niebieskie oczy lśniły i wydawały mi się znajome. William Archer sprawiał wrażenie bardziej malarza lub ekologa niż prawnika.

Staliśmy przez chwilę, przyglądając się sobie i najwyraźniej rewidując nasze wyobrażenia.

– Przepraszam, że wczoraj nie wyszedłem po panią – odezwał się w końcu, popijając kawę.

– Nic nie szkodzi – rzuciłam szybko.

Poczułam, że się rumienię. No co, mam trzynaście lat czy jak? Weź się w garść, Hallie.

– Może wejdziemy? – Wskazał swój gabinet.

Chciałam wypełnić milczenie, które zapadło – irytujący nawyk, którego mam nadzieję się oduczyć – więc zaczęłam paplać.

– Pan jest Archerem czy synem? – spytałam, nawiązując do nazwisk na szyldzie.

– To kancelaria mojego ojca – wyjaśnił. – Pewnego lata, tuż po skończeniu studiów, zacząłem u niego pracować i już tu zostałem. Ojciec po

jakimś czasie odszedł na emeryturę, ale nie zmieniłem szyldu, choć teraz pracuje tu tylko jeden Archer.

Obszedł biurko i usiadł, dając mi znak, żebym także zajęła miejsce na krześle. Zrozumiałam, że przechodzimy do sedna sprawy. Złożyłam ręce na kolanach i odetchnęłam głęboko. Jakbym siedziała po biopsji w gabinecie lekarza, wiedząc, że usłyszę coś, co zmieni moje życie. Udało mi się przywołać drżący uśmiech.

– Bardzo się denerwuję. Pewnie już pan to zauważył.

– Wiem. – Skinął głową z prawdziwym współczuciem. – To trudna sytuacja.

– Od czego zaczniemy?

– Zanim przejdę do testamentu, proszę pozwolić, że najpierw przedstawię ogólne tło sytuacji – zaczął, sięgając do szuflady.

Wyjął z niej fotografię w ramce. – Madlyn Crane woląca stać za aparatem, więc nie wiem, czy zna pani jej zdjęcia z młodych lat. Przyniosłem to z jej domu.

Różniła się od tej matki w stylu Jackie Kennedy, którą sobie wyobraziłam. Nie wyglądała tak samo jak ja, lecz bardzo mnie przypominała: miała długie, kędzierzawe kasztanowe włosy, które na zdjęciu rozwiewał wiatr. Jej orzechowe oczy (takie jak moje) iskrzyły się psotnie. Moja matka trzymała w ręku jeden aparat fotograficzny, drugi wisiał jej na ramieniu. Miała długi kolorowy szal, kremowy sweter i szorty, a w jej uszach wisiały kolczyki sięgające aż za brodę.

– Jest pani do niej bardzo podobna – odezwał się Archer cicho. – Uderzyło mnie to od pierwszej chwili. Teraz już nie wątpię, że mam przed sobą jej córkę, Halcyon Crane.

Usiłowałam coś powiedzieć, ale słowa ugrzęzły mi w gardle. Przynajmniej to wyjaśniało spojrzenia miejscowych, od kapitana promu i Miry po ludzi w kawiarni. I nawet Jonaha. Wyglądałam jak duch zmarłej kobiety. Niełatwo się z czymś takim oswoić.

– Kiedy dostałam list od pana, w pierwszej chwili nie uwierzyłam – przyznałam, odkasznawszy. – To chyba zrozumiałe? Ktoś obcy kazał mi przekreślić wszystko, czego dowiedziałam się od ojca.

– Co panią przekonało?

Opowiedziałam mu o zdjęciu, które Madlyn wysłała wraz z listem, a także o tym, które zobaczyłam na jej stronie internetowej. Potem wspomniałam, jak ojciec przed śmiercią wymienił imię mojej matki. Teraz, patrząc na jej fotografię z młodości, nie mogłam wątpić, że z tą kobietą łączą mnie więzy krwi.

– Może mi pan coś o niej powiedzieć? – zdołałam wykrztusić.

Słuchając go, siedziałam zupełnie nieruchomo, ledwie oddychając, jakby jakikolwiek mój ruch miał sprawić, że czar pryśnie.

– Wszyscy znali Madlyn Crane – zaczął Archer. – To najślawniejsza mieszkanka wyspy. Turyści przyjeżdżali specjalnie po to, żeby się z nią zobaczyć – choć rzadko spotykała się z fanami. I pewnie to jeszcze potęgowało ich zainteresowanie.

Mówił, że moja matka była wielką osobowością, miała ognisty temperament, skłonność do radykalnych opinii i szczodre serce.

– Kiedy nie podróżowała po świecie, fotografując sławy, dzikie zwierzęta czy pejzaże, często można było spotkać Madlyn w jej galerii na wyspie – ciągnął. – Prezentowała w niej własne prace, ale także dzieła innych miejscowych artystów: malarzy, garncarzy, twórców biżuterii. Ku zachwytowi

swoich wielbicieli sama stawiała za kasą. Co jeszcze mógłbym o niej powiedzieć? Kochała pływanie kajakiem, psy i konie. Jej rodzina zamieszkiwała na wyspie od trzech pokoleń, w domu zbudowanym sto lat temu przez jej dziadka. Madlyn szczyła się tym domem, a jeszcze bardziej – historią swojego rodu.

Przez całe życie tęskniłam za takimi wiadomościami, a teraz gdy wreszcie je usłyszałam, nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. Archer czekał cierpliwie, jakby rozumiał.

– Nie umiem się pogodzić z tym, że jej nie poznałam – zaczęłam. – Napisała do mnie i odeszła, nim zdążyłam przeczytać list. Nie potrafię sobie z tym poradzić. Kto by pomyślał, że można znaleźć dziecko, które uważało się za dawno stracone, a potem umrzeć, zanim... – Nie dokończyłam.

– Ironia losu – odezwał się cicho. – Wielka szkoda. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

– Miała zawał? Tak przeczytałam w gazecie. To prawda? – spytałam w końcu.

William skinął głową.

– Nikt się tego nie spodziewał. Ona pewnie najmniej. – Spojrzał na mnie z wahaniem, jakby zastanawiał się, czy powiedzieć więcej.

– I? – zachęciłam go.

– To się stało w stodole. Jej sąsiedzi przyszli, bo psy nie przestawały wyć. Dopiero policjanci je odciągnęli. Psy Madlyn... od jej ciała. Nie chciały jej opuścić.

– Wierni przyjaciele – wykrztusiłam.

– Madlyn je kochała.

– Jak się dowiedziała, że żyję? Chyba nie szukała mnie przez te lata?

William pokręcił głową.

– Wszyscy, także ona, sądzili, że pani utonęła. Aż do niedawna... – Wyjął z szuflady biurka kopertę i podał mi ją. W środku znalazłam wycinek z gazety.

THOMAS JAMES WYRÓŻNIONY JAKO NAUCZYCIEL DZIESIĘCIOLECIA

Była to miejscowa nagroda, którą tata dostał na parę miesięcy przed śmiercią. Krótkiemu artykułowi towarzyszyło zdjęcie. Mój tata szeroko uśmiechał się do obiektywu, trzymając statuetkę. W tamtym czasie choroba już go toczyła, wiedział o tym, ale cieszył się, że został doceniony przez kolegów. Ja stałam obok niego, także rozpromieniona.

Spojrzałam na Williama pytająco.

– W Seattle mieszka znajoma Madlyn – wyjaśnił. – Zobaczyła w gazecie zdjęcie i zdziwiło ją to podobieństwo, rzeczywiście uderzające. Dlatego zadzwoniła do pani matki i powiedziała, że widziała fotografię kobiety wyglądającej jak jej córka. Madlyn natychmiast zrozumiała, co się stało.

– Ale dlaczego nie wsiadła do samolotu? Nie zadzwoniła do mnie? Gdyby tylko...

– Wynajęła prywatnego detektywa, żeby najpierw przeprowadził dochodzenie. Dowiedziała się, że pani ojciec przebywa w domu opieki, i zaniepokoiła się, jakie wrażenie może wywrzeć jej nagły przyjazd. Nie potrafiła się zdecydować, jak postąpić w tej delikatnej sytuacji, i uznała list za najlepsze wyjście.

Westchnęłam i osunęłam się na krzesło.

– Wiem – powiedział ze zrozumieniem.

Zamknęłam oczy i zasłoniłam je rękami, bojąc się, że popłyną z nich łzy.

William odkaszlnął, jakby chcąc odwrócić moją uwagę, i oznajmił:

– Powinniśmy teraz porozmawiać o testamencie. Możemy?

– Oczywiście. Nie mam pojęcia, co mogła mi zostawić mama, ale miło byłoby mieć po niej jakąś pamiątkę.

Prawnik uśmiechnął się smutno, wziął kartkę, która przez cały czas leżała na biurku, czystą stroną do góry – testament, jak założyłam.

– Po prostu przeczytam.

Przygotowałam się na to, co usłyszę.

– Ja, Madlyn Crane, zdrowa na ciele i umyśle, zostawiam niniejszym cały mój ziemski majątek mojej córce, Halcyon Crane, znanej też jako Hallie James...

Jęknęłam.

– Z jednym zastrzeżeniem: domu nie wolno sprzedać. Hallie, jesteś mieszkanką wyspy w czwartym pokoleniu. Urodziłaś się w tym domu. Zbudował go twój pradziadek, a ja chciałabym, żeby dwór pozostał w posiadaniu rodziny. Rób, co chcesz, utrzymuj go za moje pieniądze, ale go nie sprzedawaj. Wychowaj tu swoje dzieci, tak jak ja chciałam wychować moje.

William odłożył kartkę.

– Dalszy tekst dotyczy kwestii prawnych. Zmieniliśmy testament niemal natychmiast, gdy Madlyn dowiedziała się, iż pani żyje. Chciała podzielić swój majątek między kilka fundacji zajmujących się sztuką, ale jak tylko dowiedziała się o pani istnieniu, zrezygnowała z tego pomysłu. Rodzina bardzo się dla niej liczyła.

Przez chwilę milczałam.

– Nie do wiary. Cały majątek zostawiła mnie?

– Nie dziwię się, że to panią szokuje. Wszystko wydarzyło się tak niespodziewanie. Właśnie odziedziczyła pani fortunę po kimś, kogo pani nie znała.

– Jak to fortunę?

– Madlyn była bogata. Jej śmierć całkiem dosłownie zmieniła pani życie.

Podał mi plik raportów inwestycyjnych, wyciągów bankowych i innych dokumentów, których nawet nie potrafiłam nazwać. Przejrzałam je w osłupieniu, właściwie nie wiedząc, na co patrzę. Ale zauważyłam jedno: mnóstwo zer. Madlyn Crane posiadała miliony. A teraz, o dziwo, pieniądze należały do mnie.

W głowie mi się kręciło. Przebiegały mi przez nią najróżniejsze myśli: od pożegnalnego listu, który wręcę mojemu szefowi, po tę, że wreszcie spłacę długi i że jeszcze raz odwiedzę Europę, o czym zawsze marzyłam. Nigdy nie czułam się bezpieczna finansowo, aż tu raptem, w ułamku sekundy, stałam się bogata. Ale po chwili ogarnął mnie wstyd.

– Oddałabym te pieniądze za dzieciństwo, które mogłam tu spędzić.

William spojrział mi w oczy. Uśmiechnął się lekko i wzruszył ramionami.

– Co mam teraz zrobić? – spytałam.

– Czeka na panią dom i dwa psy.

Nie od razu poczułam ciężar tego brzemienia. Dom? Psy? Nie wydawało mi się to realne. Jak wszystko, odkąd przeczytałam list Madlyn.

– Mam tu klucze – dodał prawnik. – Pomyślałem, że zechce pani zobaczyć to, co do pani należy. – Wstał i sięgnął do wieszaka w kącie pokoju po kurtkę z brązowej skóry. – Zawiozę panią.

– Naprawdę? Ma pan czas? A inni klienci? Rozejrzał się po pustym pokoju.

– Wszyscy tu obecni mogą poczekać, aż wrócimy. – Roześmiał się i wyjaśnił, że poza sezonem, gdy tymczasowi mieszkańcy wracają do domu, także jego interesy zwalniają.

– Zawsze chciałem wyjechać na zimę na południe, jak wielu tutejszych, włącznie z moimi rodzicami – oznajmił William, wkładając kurtkę – ale nigdy mi się to nie udało. Ta wyspa w zimie jakoś mnie intryguje. Uwielbiam jej pustkę. Całkiem jakby istniała tylko dla mnie.

– Czuję się tu tak samo. Jakbym poruszała się po planie własnego filmu.

– Więc mnie pani rozumie.

Skinęłam głową. Ale tak naprawdę nie rozumiałam. Ta pustka wytrącała mnie z równowagi, jakbym chodziła samotnie po cmentarzu. Na dworze znowu osaczyła mnie cisza. Wicher przyniósł zapach deszczu.

– Mój pojazd stoi na zapleczu – wyjaśnił prawnik, kiedy obchodziliśmy dom.

Pojazd? Za rogiem przekonałam się, o co mu chodziło. Przy balustradzie stał ogromny biały koń – taki jak te, które kiedyś ciągnęły wozy strażackie – zaprzęgnięty do bryczki: o dwóch kołach, dwuosobowej ławeczce i z budą. Spojrzałam na ciężkie szare chmury i pomyślałam, że wołałabym prawdziwy samochód. Albo przynajmniej zamkniętą dorożkę, taką jak Henry’ego.

– To Arabella – powiedział Archer, głaszcząc konia po chrapach.

Takie subtelne imię dla potężnego zwierzęcia wydało mi się zabawne.

– Miałam kiedyś malutką kotkę o imieniu Arabella – zauważyłam przekornie. – Jej to pasowało.

Archer roześmiał się i podał mi rękę, aby pomóc mi wsiąść. Zerknął na ciężkie chmury.

– Mam nadzieję, że zdążymy przed ulewą.

Dobiegł mnie daleki grzmot. Oby życzenie mojego przewodnika się spełniło.

– Daleko jedziemy?

– Tylko parę mil. – Prawnik odwiązał cugle konia, wskoczył na kozioł i cmoknął. – Wio, Bella!

I ruszyliśmy. W ślimaczym tempie. Arabella nie spieszyła się, by zawieźć mnie na spotkanie z przeszłością, a deszcz jej najwyraźniej nie przeszkadzał. Z kolei ja nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie znajdziemy się na miejscu.

– Potrafiłabym pobiec szybciej – mruknęłam, zerkając na Williama z ukosa.

– Proszę bardzo. Ale radzę nie zbliżać się do konia od tyłu.

– Musicie mieć tłumy pracowników specjalnie do sprzątania po koniach. Bo na razie nie widziałam tu żadnego... konkretnego dowodu ich istnienia.

– Owszem. To najbardziej urocza praca na wyspie. Zwykle zostawiamy ją rozpuszczonym dzieciakom bogatych turystów.

Skinęłam głową, wdzięczna za tę chwilę oddechu. W miarę jak zbliżaliśmy się do domu, myśl o dzieciństwie zaczęła mnie przytłaczać. Niemal odbierała mi dech. Ale stukot kopyt Arabelli na bruku i kołysanie bryczki nieco mnie uspokajały, prawie hipnotyzowały. Całkiem jakbym słyszała bicie serca wyspy.

– Lubię ten dźwięk – szepnęłam. – Jak odgłos przeszłości, prawda? Nasi przodkowie nieustannie go słyszeli, a w dzisiejszym świecie prawie nie istnieje.

– Zabawne, że to pani zauważyła. Zawsze zastanawiałem się, jak wyglądało życie w Nowym Jorku czy Chicago przed wiekiem. Żadnych samochodów, same dorożki i wozy towarowe. Tętent końskich kopyt był codziennością. Ludzie pewnie przestali go zauważać, ponieważ ciągle ich otaczał. My zastąpiliśmy go silnikami.

–I radiem.

– A ostatnio gadaniem przez komórki. Nawiasem mówiąc, tego nie znoszę najbardziej – tego wątpliwego przywileju przysłuchiwania się cudzym rozmowom.

– Rozumiem. Też nie mogę tego znieść.

– Kolejny powód, żeby kochać tę wyspę. Nie ma tu zasięgu.

Zerknęłam na jego palec serdeczny – pusty. Dlaczego? Taki atrakcyjny, prawdopodobnie dobrze sytuowany prawnik... Można by się spodziewać, że kobiety się za nim uganiają. Gdyby mieszkał w Seattle, musiałby się przed nimi opędnąć.

– Czy sądzi pan... – zaczęłam.

– Mów mi po imieniu, Will. Jak wszyscy.

– Dobrze. – Uśmiechnęłam się, zapominając, co zamierzałam powiedzieć. Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Kołysanie bryczki i stukot kopyt mnie odprężyły. Powieki zaczęły mi ciążyć. Po raz pierwszy tego dnia adrenalina zaczęła mi się ulatniać z żył. Zmęczona, niewyspana, pewnie bym się zdrzemnęła, gdyby nie rozległ się pomruk grzmotu.

–Już prawie dojechaliśmy – wyjaśnił Will. – Zdążymy przed deszczem. Madlyn mieszka na wzgórzu na klifie. – I po chwili dodał cicho: – Mieszkała.

Po raz pierwszy dotarło do mnie, że on także ją oplakuje.

– Dobrze ją znałeś?

– Nawet bardzo dobrze. – Westchnął. – Nie była tylko klientką, przyjaźniła się z moją matką. Razem się wychowały.

Nagle do mnie dotarło. Jak mogłam wcześniej na to nie wpaść? Czułam się z nim, moim rówieśnikiem, tak swobodnie, nasze matki utrzymywały ze sobą kontakty...

– Will... – Spojrzałam mu w oczy, usiłując wykrzesać z siebie jakieś wspomnienie. – Czy my się znaliśmy?

Uśmiechnął się szeroko, nie odrywając wzroku od drogi.

– Zastanawiałem się, czy sobie przypomnisz.

– Byliśmy przyjaciółmi?

– Razem się bawiliśmy. Niemal mieszkałem w waszym domu.

Zabrakło mi słów. Ojciec zabrał mnie stąd, kiedy miałam pięć lat. Mało, owszem, ale mogłam przecież zapamiętać przyjaciela, matkę, dom. Jednak tam, gdzie powinny się znajdować te obrazy, nie było nic. Czułam się pusta, całe moje dzieciństwo zasłonił czarny całun. Kto go zawiesił?

– Nic sobie nie przypominam. Ani jednego szczegółu – wyjaśniłam, kręcąc głową. – To wariactwo. We wspomnieniach widzę tylko życie z ojcem w małym miasteczku na północ od Seattle. Dlaczego nie pamiętam wyspy? Matki? Ciebie? Przecież kiedy ojciec mnie... – urwałam.

W chwili gdy skręciliśmy na podjazd domu, w którym się urodziłam, o ziemię uderzyły pierwsze wielkie krople deszczu. Przysięgłabym, że na ganku

zobaczyłam swoją matkę z długimi kasztanowymi włosami, w grubym swetrze i kolorowym szaliku.

TTLR

Z nieba chlusnęła wściekła ulewa. Strugi siekły ziemię z taką zaciekłością, że zasłoniły cały świat wokół bryczki.

– Biegnij do domu, a ja zaprowadzę Bellę do stajni – polecił mi Will.

Posłuchałam. Wyskoczyłam z pojazdu i wbiegłam po schodkach na zadaszony ganek, gdzie zatrzymałam się, żeby złapać oddech i się rozejrzeć. Deszcz szumiał głośno, ale nie sięgał tu, gdzie stałam. Mgła i ulewa zasłaniały okolicę, ale jedno wiedziałam na pewno: dom stał na klifie nad wodą.

Czułam się jak naelektryzowana. Wróciłam do domu! A więc nie spłonął w pożarze, jak wmawiał mi ojciec. Moje jedyne wspomnienie z tamtych czasów – ogień – okazało się zmyślane.

Will wbiegł po schodach, otrząsając krople z wielkiego parasola.

– Miałeś parasol?

– Znalazłem go w stajni. Wybacz – rzucił ze śmiechem. Wskazał strugi deszczu. – Teraz trudno w to uwierzyć, ale z domu roztacza się niewiarygodny widok. Na miasto, port i jezioro.

Zdaje się, że to najlepszy punkt obserwacyjny na całej wyspie, a to już coś znaczy.

Odwróciłam się powoli. Huśtawka na ganku kołysała się lekko na wietrze, jakby ktoś niewidzialny podziwiał z niej to, o czym mówił Will.

– Wejdziemy? – zaproponował.

– Jeszcze nie. – Nie zdawałam sobie sprawy, jak ciężko oddycham, dopóki nie usiadłam na huśtawce. – Za dużo tego. Możemy tu przez chwilę poczekać?

Will poszedł za moim przykładem i przez chwilę kołysaliśmy się w milczeniu. Zauważyłam na ganku donice pełne zwiędłych jesiennych roślin i kwiatów: rudbekii (moich ulubionych), chryzantem i paru innych gatunków, których nie znałam. Na wycieracze widniał jaskrawoczerwony napis: „odejdz”. To mnie rozbawiło.

– Po twojej... no... śmierci – odezwał się William, nie odrywając spojrzenia od ziemi – nie przychodziłem tu przez wiele lat. Nie potrafiłem.

Po raz drugi tego dnia doznałam olśnienia. Mój towarzysz stracił przyjaciółkę, a potem zobaczył ją żywą. Nie tylko ja byłam w szoku. Nie tylko ja musiałam ochłonąć.

– Co wiedzieliście o losie mojego ojca i moim?

– Wypadek na jeziorze – odpowiedział Will natychmiast. – Znaleziono wasz przewrócony kajak. Wszyscy wypłynęli, żeby was szukać, ale... – urwał i westchnął.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Może wejdziemy? – zaproponowałam, usiłując usunąć sprzed oczu wizję dziesiątków kolorowych kajaków, rdzewiejących łodzi rybackich i eleganckich jachtów, które wyruszyły na jezioro, by znaleźć moje ciało.

Will wyjął z kieszeni pęk kluczy, otworzył drzwi i wpuścił mnie pierwszą do środka.

Stałam w wielkim kwadratowym holu, po którego jednej stronie znajdował się salon, po drugiej jadalnia, a na środku wznosiły się drewniane schody.

– A gdzie komitet powitalny? – Will rozejrzał się po pomieszczeniu. – Tundra! Tika!

Usłyszałam chrobot pazurów na drewnianym parkiecie i przez wahadłowe drzwi, oddzielające jadalnię od – jak mi się wydawało – kuchni, wpadły dwa ogromne psy. Wyglądały jak husky, ale były o wiele większe. Ich gęsta białoszara sierść, kudłate ogony, długie nogi i ciemne zabarwienie wokół złotych oczu wskazywały na pokrewieństwo z wilkami. Jeden niósł w pysku zabawkową kość, drugi – pluszowego króliczka. Kręciły się wokół naszych nóg, merdając ogromnymi ogonami i kładąc uszy płasko na głowie. Will głaskał je i drapał.

– Dobrze psinki! – mruczał. – Kochane, dobre psinki. Jeden, większy, skoczył na mnie, położył mi wielką jak talerz łapę na ramieniu, a drugą na głowie. Bałam się poruszyć.

– Nie gryzą, prawda?

– Tundra, leżeć! – rozkazał Will, a bestia posłusznie zostawiła mnie i usiadła. – Uwielbia gości. Bez nich się nudzi. I tak, nie gryzą. Chyba że intruzów.

Ostrożnie podrapałam Tundrę za uchem.

– To psy mojej matki?

Will skinął głową.

– Tundra i Tika. Malamutki. Tę rasę tradycyjnie wykorzystuje się do ciągnięcia sanek, choć te dwie panny na ogół zdobywają się jedynie na wysiłek przejścia od kanapy do miski. Od śmierci Madlyn zajmowałam się nimi w domu, ale przywiozłem je tutaj dzisiaj rano, zanim przyjechałem do kancelarii. Wiedziałem, że zechcesz je chociaż poznać, nawet jeśli ich nie zatrzymasz. Teraz należą do ciebie.

– Wspaniałe – szepnęłam, patrząc w ich płonące złote ślepia.

Po powitaniu Tundra i Tika położyły się na podłodze blisko siebie. Nie spuszczały nas z oczu.

– Nie musimy stać w holu – odezwał się Will, zamykając drzwi.

Kiedy ruszyłam w głąb domu, przed oczami zaczęły mi się przesuwac sceny, jak w przewijanym w przyspieszonym tempie filmie. Wbiegająca po schodach dziewczynka w bieli. Ta sama dziewczynka z piskiem zjeżdżająca po balustradzie. Ponura kobieta w długiej czarnej sukni. Czy to urywki wspomnień z mojego pogrążonego w mroku dzieciństwa, czy tylko wyobrażenia? Nie wiedziałam. Obrazy te wydawały mi się prawdziwe, ale po incydencie z człowiekiem w jeziorze i piosenką, którą usłyszałam przed kancelarią Willa, straciłam wiarę w swój trzeźwy osąd sytuacji.

Weszłam do salonu i delikatnie dotknęłam ręką oparcia sofy, a potem rozejrzałam się po pomieszczeniu. Posadzki – podobnie jak te w zajeździe Manitou – zrobiono ze lśniącego drewna, framugi drzwi i okien wyglądały jak świeżo nawoskowane. Środek pomieszczenia zajmowała bardzo miękka kanapa kryta brązową skórą, a także mała sofa i fotel. Na podłodze leżały wytarte dywany. W jednym kącie stał kamienny kominek, sięgający aż do sklepionego sufitu, w drugim – płaskoekranowy telewizor. Ściany pokrywała boazeria z wiśniowego drewna.

Wszędzie były fotografie – na ścianach, stolikach, gzymsie kominka – oraz oprawione w ramki okładki magazynów: „Time”, „National Geographic”, „Vanity Fair”. Sporo zdjęć Madlyn znałam już z jej strony internetowej, ale kilka zobaczyłam po raz pierwszy.

Dotykałam fotografii, lichtarzy, różnych bibelotów matki, by zostawić na nich swój ślad. W powietrzu wirował kurz. Czułam w tym pokoju naelektryzowaną, gęstą atmosferę, jakby ten dom mnie obserwował.

Will stanął obok.

– Coś się stało?

– Chyba trochę mnie to zaskoczyło – przyznałam. W rzeczywistości czułam się zupełnie przytłoczona. Nie spodziewałam się tak wielkiego i wspaniałego domu i z trudem docierało do mnie, że to wszystko jest moje. I że kiedyś tu mieszkałam.

– Obejrzyj werandę. – William wskazał rozsuwane drzwi na końcu pomieszczenia. – Dziś jest tam mało światła, ale i tak zorientujesz się, o co chodzi.

Weszłam do pokoju z trzema oszklonymi ścianami. Rozciągał się z niego widok na jezioro i ogród. Marznący deszcz siekł o szkło. Cudownie. Znowu zagrzmiało, a potem przez niebo przebiegł piorun.

– Kurczę – mruknęłam, siadając na szezlongu w kącie. – Fajnie się stąd obserwuje burzę.

Oprócz szezlongu na werandzie stała kanapa w pastelowe kwiaty i wielki fotel koło małego szklanego stolika i ogromnego drewnianego bujaka. Można by pomyśleć, że to wystrój w modnym przed paru laty stylu *shabby chic*, gdyby te meble nie były autentycznie stare. Wygodne, lecz stare. Na stojakach leżały gazety, na stolikach – książki. Madlyn musiała tu spędzać sporo czasu. Czułam jej obecność – albo obecność jakiejś innej żywej istoty.

A potem usłyszałam słowa: „Hallie! Halcyon Crane! Zabrałaś aparat mamy?”. Głos – donośny, kobiecy – dochodził zza moich pleców.

Odwróciłam się gwałtownie, uklękłam, żeby zajrzeć za oparcie szezlongu. Pusto.

– Hallie... – William wszedł do pokoju i na widok mojej miny spoważniał. – Co się stało?

Oddychałam ciężko, serce mi łomotało. Wytarłam dłonie o dzinsy.

– Nic, tylko... wydawało mi się, że coś słyszałam. –Psy?

– Nie, głos. Chyba głos mojej matki.

William przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. „Pewnie przestraszył się, że jestem wariatką” – pomyślałam. Ale potem powiedział:

– Wiesz co? Może wracają ci wspomnienia.

Czy to możliwe? Czy zaczęłam sobie przypominać moje życie w tym domu?

– Na pewno często się tutaj bawiłam – zauważyłam z uśmiechem, obracając się wokół własnej osi. – Uwielbiam tę werandę.

– Lubiałaś ją. Ja też.

Wyobraziłam sobie małą dziewczynkę, tę samą, którą zobaczyłam wcześniej, bawiącą się w kącie drewnianymi konikami. I machającą nogami, gdy leżała na brzuchu nad książeczką z obrazkami.

– Co byś powiedziała na to, żeby przejść do kuchni, do Tundry i Tiki, i napić się herbaty... albo czegoś mocniejszego? – zaproponował. – Przy tym deszczu tak szybko stąd nie wyjdziemy.

– Na pewno możemy? – Czułam się jak intruz, jakby prawdziwy właściciel domu mógł wpaść lada chwila i zażądać wyjaśnień, co tu robimy.

–Jeszcze do ciebie nie dotarło, co? To twój dom, Hallie. No tak. Uśmiechnęłam się nieśmiało.

– W takim razie – kurs na kuchnię.

William zaprowadził mnie przez salon, hol i jadalnię do kuchni, na której widok z ust wyrwał mi się pisk zachwytu. Ze wszystkich pomieszczeń, które do tej pory widziałam, to podobało mi się najbardziej.

Ściany miały tu kolor zgaszonej czerwieni, okna – framugi z ciemnego drewna. Nad długim blatem wisiały szafki sięgające aż do sufitu. W zabytkowym kredensie o szklanych drzwiczkach pyszniła się porcelanowa zastawa i kieliszki. Nad zlewem wisiała suszarka z rzędem kolorowych talerzy oraz mała półka z książkami kucharskimi. Błat roboczy na środku pomieszczenia otaczały barowe stołki, a pod wiszącymi pod sufitem miedzianymi patelniami i garnkami stał ogromny piec. Długi stół z surowych desek ciągnął się pod ścianą z oknami. W przeciwległym kącie czekała sofa, idealne miejsce, by przysiąść na niej z książką kucharską i zastanowić się, co zrobić na obiad.

– Madlyn często wydawała przyjęcia – wyjaśnił Will, przewodnik po tajemniczym świecie mojej matki. – Uwielbiała zapraszać gości, poznawać ze sobą profesorów i artystów, bankierów i dozorców, mężczyzn i kobiety z najróżniejszych sfer. Chyba bawiła ją konfrontacja odmiennych poglądów. W tej kuchni często rozbrzmiewały głosy.

Kuchnie w moich mieszkaniach były zawsze zimne i funkcjonalne: długie, wąskie pomieszczenia z metalowymi szafkami po jednej stronie i malutkim stolikiem wciśniętym w kąt. Ta kuchnia tchnęła ciepłem. Była jak żywa istota, kochająca i opiekuńcza, gotowa poczęstować mnie herbatą i świeżo upieczonym ciastem. Po raz pierwszy od przybycia na wyspę poczułam się naprawdę jak w domu.

– Przez całe życie marzyłam o wielkiej, starej kuchni – odezwał się z trudem. Słowa grzęzły mi w gardle. – Dokładnie takiej jak ta. – Spojrzałam na Willa. – Kiedy ją sobie wyobrażałam, po prostu przypominałam sobie sceny z dzieciństwa, prawda?

– Możliwe – odpowiedział, sięgając do szafki. – Niewykluczone, że im dłużej będziesz przebywać w znajomym otoczeniu, tym szybciej twoje wspomnienia odzyskają wyrazistość. – Wyjął dwie torebki herbaty, napełnił czajnik i postawił go na kuchni. – Chcesz zwiedzić resztę domu, zanim woda się zagotuje?

– Zostanę tutaj – oznajmiłam, siadając na wysokim stołku barowym.

W milczeniu piliśmy herbatę i chrupaliśmy ciastka, które Will znalazł w puszcze na blacie. Psy kręciły się wokół nas, węsząc. W końcu znowu się położyły. Potem pogawędziliśmy na obojętne tematy. O jego studiach, o tym, jak mi się żyło w miasteczku pod Seattle. Słuchaliśmy nieustannego bębnienia deszczu o szyby i ostrzegawczego pomruku grzmotów...

Obudziłam się, oszołomiona. Wokół panowały niemal zupełne ciemności. Gdy mój wzrok przyzwyczał się do mroku, zrozumiałam, że leżę na szezlongu na werandzie, przykryta kocem. Któraś z malamutek spała na podłodze nieopodal, opierając głowę tuż obok mojej. Oprzytomniałam. W końcu pamięć wróciła. Przyszłam z Willem na werandę, żeby tu wypić herbatę. Zasnęłam? Idiotka ze mnie.

Deszcz nadal bębnił o szyby, ale przestało grzmieć. Usiadłam. W sąsiednim pokoju paliło się światło. Poczłapałam ciężko do drzwi. Will siedział na kanapie, czytając.

– Jak długo spałam?

– Krótko. Może pół godziny. – Zamknął książkę, położył ją na kolanach i uśmiechnął się do mnie. – Patrzyliśmy na werandzie na deszcz i zanim się zorientowałem... – Zachrapał okropnie.

– Urocze. – Roześmiałam się i usiadłam w fotelu naprzeciwko.

– Założyłem, że nic już dziś nie planowałaś.

Potałam oczy.

– Wczoraj mało spałam. Jadąc tutaj, omal nie zapadłam w drzemkę.

Strugi wody siekły gniewnie o szyby. Temperatura wahała się w okolicach zera. Lada chwila deszcz mógł się zmienić w śnieg. Na myśl o powrocie do miasta w bryczce Williama zrobiło mi się – co tu kryć – zimno.

– Jak sobie radzisz podczas takiej ulewy? Mówię o transporcie?

– Jeśli nie jest zbyt nieprzyjemnie, jadę. Ale w takie dni czekam, aż burza przeminie. Albo dzwonię do Henry'ego i wracam do domu jego powozem, z Bellą przywiązaną z tyłu. Jednak przy takiej pogodzie Henry przyjeżdża tylko do nagłych wypadków.

– To co robimy?

– Popcorn i film? – zaproponował Will z uśmiechem. – Zauważyłem tu DVD i mnóstwo płyt. Może zanim film się skończy, rozpogodzi się na tyle, że zdołam cię odtransportować do zajazdu.

Nie ucieszyła mnie perspektywa tkwienia w domu zmarłej kobiety z ledwie znanym mężczyzną, ale gdy umościłam się w fotelu, Will rozpalił ogień w kominku, a psy położyły się przede mną, znów poczułam się spokojnie i wygodnie... jak w domu.

8

Jazda, bryczką w deszczowy wieczór nie miała w sobie nic ze staroświeckiego czaru. Była zimna listopadowa noc i z moich ust ulatywały obłoczki pary. Wlekliśmy się przez błotniste ulice.

Obejrzeliliśmy jeden film i kawałek drugiego, zanim deszcz trochę stracił na sile i Will zaproponował, żebyśmy ruszali.

Zastanawialiśmy się nawet, czy nie zostać tam na noc. Zaczęłam się już przyzwyczajać do myśli, że dom należy do mnie, a znajdowało się w nim dość sypialni i łazienek, żebyśmy mogli się czuć swobodnie. Ale wtargnięcie na górę i zajęcie pokoju pełnego rzeczy innej kobiety wydawało mi się nie na miejscu. Nie wspominając już o tym, że nie zamierzałam spędzać nocy z Willem, choćby nawet w osobnych sypialniach. Dlatego daliśmy psom jedzenie i wodę – Will wyjaśnił, że poprosił sąsiada o zabranie ich rano na spacer – zamknęliśmy dom i pobiegliśmy do stajni, by wyprowadzić Bellę. Po pięciu minutach jazdy w chłodzie i wilgoci pożałowałam swojej decyzji, ale nie przyznałam tego.

– Hej! – odezwałam się nagle. – Mama wspomniała w testamencie, że ma też konie. Gdzie one są?

– Niedaleko, u Wilsonów – odpowiedział, wskazując ręką właśnie mijaną alejkę. – Charlie i Alice chętnie zaopiekują się nimi, dopóki nie zdecydujesz, co z nimi zrobisz.

Nie wiedziałam, co postanowić, zwłaszcza w sprawie zwierząt. Tundra i Tika od razu mi się spodobały, ale nie mogłam ich zabrać ze sobą samolotem.

– A to prowokuje kolejne pytanie: co zamierzasz? – spytał Will.

–Jeszcze nie wiem. Z całą pewnością nie sprzedam domu, życzenie mojej matki nie pozostawia żadnych wątpliwości. A poza tym? Trudno powiedzieć.

Przynajmniej raz w życiu miałam nieograniczony wybór. Przede wszystkim zamierzałam rzucić pracę. Zadzwonię do szefa. A może tylko wyślę mu maila. Tak, tak będzie lepiej. Zrobiło mi się trochę żal na myśl, że to moja pierwsza decyzja po odziedziczeniu domu i majątku. Poświęciłam ponad dziesięć lat robocie, którą chciałam zostawić bez chwili wahania. Zastanawiałam się, co bym ze sobą zrobiła, gdzie zaprowadziłyby mnie moje namiętności, gdybym nie skupiła się na zwykłym zarabianiu pieniędzy.

Potem przyszła mi do głowy dość nieprzyjemna myśl. Zamierzałam złożyć na wyspie krótką wizytę – najwyżej tygodniową – ale teraz dotarło do mnie, że nie ma powodu, by spieszyć się do domu. Mój ojciec zmarł. Oczywiście miałam znajomych, ale odkąd wróciłam do Stanów po rozwodzie, nie zdołałam odnowić kontaktów z dawnymi kolegami. Zniknęłam na niemal dziesięć lat i w tym czasie większość z nich założyła własne rodziny. Teraz zajmowało ich wożenie dzieci na lekcje muzyki i mecze, a ja czułam się w porównaniu z nimi bez przydziału. Nasze życie potoczyło się innymi torami.

Richard, który pod wieloma względami pozostał moim najlepszym przyjacielem, wrócił już do Anglii, więc nikt nie czekał na mój powrót. Siedziałam w bryczce Willa i zrobiło mi się smutno – w tym wieku nie zdołałam jeszcze uwić gniazda.

Wtedy podjęłam decyzję.

– Zostanę, przynajmniej na jakiś czas, parę tygodni. – Dom Madlyn... mój dom... był przecież jakimś gniazdem. Czułam się z nim związana, jeśli

nie przez żywą osobę, to przez jej wspomnienie, a także wspomnienia wszystkich ludzi, którzy tu kiedyś mieszkali. Włącznie ze mną.

– Świetnie. – Will uśmiechnął się lekko. – Miło było znowu cię poznać. Cieszę się, że nie chcesz od razu wyjeżdżać.

Raptem zrozumiałam, że ja też jestem z tego zadowolona.

– Ponieważ nie spieszysz się z odjazdem, powinniśmy poruszyć temat ujawnienia twojej tożsamości.

No tak. Zapomniałam na chwilę, że Will ostrzegł mnie, bym nikomu nie zdradzała, kim jestem. Co powiedział podczas tej pierwszej rozmowy? Że istnieje pewien problem dotyczący mojego zniknięcia, coś, o czym mieszkańcy wyspy nadal pamiętają.

– Dziś spotkałam w kawiarni grupę miejscowych, którzy powitali mnie raczej mało serdecznie – przyznałam. – Trochę się przestraszyłam. Patrzyli na mnie jak na ducha.

Will skinął głową.

– Chyba się nie dziwisz. Jesteś tak podobna do matki... Ale chodzi o coś jeszcze. Przez cały dzień zastanawiałem się, jak ci o tym powiedzieć. Powinienem to zrobić wcześniej, w domu, ale nie znalazłem sposobu.

Atmosfera zgęstniała.

– Ludzie nie witają mnie z otwartymi ramionami. To już wiem.

Will pokręcił głową.

– Nie, nie o to chodzi. Nie budzisz wrogości. Ale... Nie potrafię znaleźć właściwych słów.

– Trochę mnie przerażasz. O co chodzi?

Will spojrzął przed siebie.

– Mieszkańcy wyspy z trudem przyjmą do wiadomości nie to, że żyjesz, lecz że twój ojciec nie umarł.

–Jak to? To dlatego, że... – Słowa utknęły mi w gardle, zanim zdołałam je wypowiedzieć. Spróbowałam jeszcze raz: –To dlatego, że odebrał mnie matce? Wiem, że ją tu kochano. Czy wszyscy... jak to powiedzieć... oburzają się ze względu na nią? Jeśli tak, to chyba potrafię to zrozumieć. Nawet się z tym zgadzam.

– Nie, to nie to – odparł Will, kręcąc głową. – Nie tylko to. Oczywiście ludzie tak myślą, ale chodzi o coś zupełnie innego.

Zapadła cisza. Przeszył mnie spazm tak bolesny, że miałam ochotę wyskoczyć z bryczki i uciec. Zrobiłabym to, ale musiałam zostać i wysłuchać tej okropności, którą chciał mi przekazać Will.

– Jak traktował cię ojciec? – spytał w końcu.

– Najlepiej na świecie – rzuciłam niemal agresywnie. – Dobra, jasne, wiem, że mnie porwał. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobił, ale na pewno nie bez powodu. I powiem ci jedno: stworzył mi idylliczne warunki. Robił wszystko, żeby stać się dla mnie matką i ojcem. Kochałam go bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić – podobnie jak inni mieszkańcy naszego miasteczka. Ojciec uczył w liceum. Na jego pogrzeb przyszło trzysta osób. Przynieśli na stypę tyle zapiekaneq i placków, że wystarczyłoby mi na rok.

Na wspomnienie o tacie w oczach stanęły mi piekące łzy. Nagle strasznie za nim zatęskniłam. Przez cały czas pobytu na wyspie skupiałam się na matce i zapominałam, jak samotna poczułam się po jego śmierci – a nawet w trakcie choroby. Odwróciłam twarz.

– Przepraszam, Hallie – odezwał się Will. – Miło mi słyszeć, że miałaś wspaniałego ojca, naprawdę. I – tak dla jasności – nigdy nie wierzyłem w to, co ludzie o nim opowiadali. Jakoś mnie to nie przekonywało.

– A co opowiadali? Od tego czasu minęło trzydzieści lat. Jak to możliwe, że ta sprawa jeszcze kogoś obchodzi? Zlituj się, po tylu latach chyba można wybaczyć?

– Nie morderstwo dziecka.

– Przecież żyję. Wszyscy zobaczą...

– Nie ciebie – przerwał łagodnie. – Dziewczynki, która zginęła tuż przed waszym zniknięciem. Umarła w twoim domu. Najwyraźniej tego nie pamiętasz.

Fizyczny wstrząs, który odczułam po tych słowach, zapamiętam do końca życia. Moje zmysły – się wyostrzyły. Nagle dostrzegłam otaczający nas gęsty mrok, który wciągnął mnie w siebie. Usłyszałam barytonowe rechotanie żab w mijanych trzęsawiskach. Poczułam duszący zapach końskiego potu i leśną, wilgotną woń powietrza. Przeszedł mnie dreszcz zgrozy.

– Co powiedziałaś? – wykrztusiłam.

Will nadal patrzył przed siebie, trzymając cugle. Kręcił głową.

– To bardzo trudne. Nawet dla prawnika.

Straciłam mowę. Miałam nadzieję, że Will zacznie opowiadać nieponaglany. Na szczęście tak się stało.

– Lepiej, żebyś usłyszała to ode mnie, prawda? Powinnaś wiedzieć, co się wydarzyło.

Skinęłam głową, patrząc na niego jak zahipnotyzowana. Will nabrał tchu i odkaszlnął.

– No dobrze, więc to powiem. W twoim domu zginęła dziewczynka... została zamordowana... i dowody wskazywały na to, że sprawcą był twój ojciec.

Niemożliwe! To kłamstwo. Mój tata nie potrafił zabić nawet pająka, na miłość boską, nigdy by nie odebrał życia człowiekowi, a zwłaszcza dziecku!

– Wypadła z okna na drugim piętrze – ciągnął Will.

Przed moimi oczami zaczął się tworzyć obraz. Dziewczynka o długich warkoczach. Biała sukienka. Otwarte okno. Wychyłam się z niego i patrzę w dół. Na ziemi leży ciało. Nie powiedziałam Willowi o tych wizjach czy wspomnieniach.

– Wypadła? – udało mi się odezwać. – To oczywiście wypadek. Dlaczego ktoś miałby pomyśleć inaczej?

– Policja znalazła w pokoju ślady walki: przewrócone lampy, odsuniętą komodę, nieporządek. Dziewczynka miała rozdartą sukienkę. Odciski palców twojego taty znajdowały się na szybie i framudze, a wokół ciała – ślady jego butów. I... – urwał gwałtownie.

–Co?

– Na szyi miała ślady duszenia.

W milczeniu przetrawiałam tę wiadomość. Wszystko to wydawało mi się nieprawdopodobne. Ojciec mógł zainscenizować naszą śmierć, mógł mnie porwać i wywieźć na drugi koniec kraju, ale nie zabiłby dziecka.

– Ludzie uważają mojego tatę za mordercę? – Nie do wiary, że zdołałam wypowiedzieć te słowa. – To absurd. – Mówiłam niepotrzebnie głośno. – Ta dziewczynka zginęła z powodu uduszenia? Czy w wyniku upadku? Bo mój ojciec na pewno nie podniósł na nią ręki. To musiał być wypadek.

– Zginęła w wyniku upadku.

Patrzyłam na niego w milczeniu.

– Policja postanowiła aresztować twojego ojca, ale właśnie wtedy... zaginęliście.

Jego mina wskazywała, że to nie cała historia. Nie wiedziałam, czy chcę ją poznać.

– Większość mieszkańców wyspy uważała, że twój ojciec zabił ciebie i siebie – powiedział w końcu Will. – Według nich to samobójstwo oznaczało jego przyznanie się do winy.

– Co to za dziewczynka? – zdołałam wykrztusić.

– Nazywała się Julie Sutton – szepnął Will. – Tego dnia bawiła się z tobą w domu.

Chciałam odetchnąć, ale nie mogłam. Julie Sutton. To nazwisko z niczym mi się nie kojarzyło. Wiedziałam, że powinnam ją znać, pamiętać, lecz moje wspomnienia ginęły w mroku.

– Przyjaźniłam się z nią? – spytałam cicho.

Will przytaknął.

–Ja też.

– Także to widziałeś?

Pokręcił głową.

– Tego dnia pojechałem z rodzicami na drugi brzeg jeziora. Gdyby nie to, z pewnością bawiłbym się tu z wami.

– Ale... – Nie mogłam znaleźć słów na to, co czułam. W moim domu zginęło dziecko? Moja koleżanka? Byłam przy tym? W końcu zdołałam wykrztusić: – Widziałam to?

– Nie wiem. Nikt nie wie, co dokładnie się stało, gdzie znajdowałaś się ty, a gdzie twój ojciec. Ale wszyscy zakładają, że rozegrało się to w twojej obecności.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem. To niemożliwe. Niemożliwe! Nie mój tata!

– Jej rodzice pozostali na wyspie – ciągnął Will. – Jak większość mieszkańców, uważają, że to twój ojciec zabił ich córkę. Teraz rozumiesz, dlaczego ludzie się nie ucieszą, że uciekł przed odpowiedzialnością i spędził życie w miasteczku na północ od Seattle zamiast w więzieniu.

Parę minut jechaliśmy w milczeniu. Myślałam o pewnym Halloween, kiedy tata przebrał się za kowboja, żeby wyruszyć ze mną, w roli Annie Oakley, po cukierki. Myślałam o trosce w jego oczach, gdy innej parnej nocy, po odejściu od Richarda, stałam na jego progu z walizkami w rękach. Myślałam o jego pustym spojrzeniu podczas ostatniego spotkania. A potem o matce, która przez wszystkie te lata mieszkała na wyspie, otoczona ludźmi, którzy uważali jej męża za mordercę.

– Jak ją tu traktowano? Moją matkę. Po naszym zniknięciu.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Byłem tylko dzieckiem. Ale została, prawda? Pewnie ze względu na długą historię jej rodziny. Pochodziła stąd. Gdybym miał zgadywać, co zaszło, powiedziałbym, że ludzie zaczęli ją uważać za taką samą ofiarę jak ciebie.

Żołądek nagle mi się skręcił.

– Stój! – krzyknęłam. – Muszę wysiąść. Zaraz zwymiotuję.

Will ściągnął wodze, wyskoczyłam z tej idiotycznej bryczki na błotnistą drogę i pobiegłam na oślep w mrok. Po paru krokach zgięłam się wpół i zwymiotowałam tak gwałtownie, że całe moje ciało zadygotało.

Will stanął obok, podał mi chusteczkę. Mówił coś, pewnie miłe słowa, choć do mnie nie docierały. Osunęłam się na mokrą trawę. Moje ciało nie potrafiło znieść myśli, że ojciec mógł zabić tę dziewczynkę i uciec przed sprawiedliwością. Miałam wrażenie, że pierś mi pęknie, że się rozpadnę na kawałki. „Więc tak się umiera pod wpływem wstrząsu – powiedziałam sobie. – Zaraz dostanę zawału”.

Ale oczywiście nie dostałam. Will zaprowadził mnie do bryczki i pomógł mi do niej wsiąść.

– Odwiozę cię do gospody – powiedział.

Nie chciałam znosić ciekawskich pytań Miry. Wiedziałam, że moje spotkanie z Willem ją intryguje. Nie zamierzałam też wracać do domu Madlyn. Wolałabym znaleźć się jak najdalej od tej wyspy. Może nie powinnam tu przyjeżdżać? Zapragnęłam znowu stać się taka, jak wcześniej, zanim to się zaczęło. Znowu być Hallie James, córką Thomasa Jamesa, najlepszego ojca na świecie.

9

Oczywiście pojechałam do zajazdu Miry. Nie miałam gdzie się podziąć.

– Bardzo mi przykro – odezwał się Will, zatrzymując się przed drzwiami.

Skinęłam głową. Milczałam przez całą drogę.

– Nigdy nie wierzyłem, że twój ojciec zabił tę dziewczynkę. Znałem go. Nie wyobrażałem sobie, żeby mógł to zrobić.

Sama nie wiedziałam, co o tym myśleć. Szukałam powodu, dla którego ojciec mnie stąd zabrał, a teraz go znalazłam – ale jaki! Wydawał się sensowny, w jakiś pokrętny sposób, a jednak nie potrafiłam go powiązać z człowiekiem, którego znałam.

Wysiadłam z bryczki i nogi się pode mną ugięły. Will w jednej chwili znalazł się u mojego boku.

– Pomogę ci przynajmniej wejść – powiedział, obejmując mnie w pasie silną ręką.

Oparłam się o niego, położyłam mu głowę na ramieniu i pozwoliłam się zaprowadzić do drzwi.

– Zjesz ze mną jutro obiad? – spytał. – Zadzwońisz rano? Albo zajrzyj do kancelarii. Chcę wiedzieć, jak ci minęła noc.

– Dobrze – szepnęłam i spróbowałam się uśmiechnąć. Nie wyszło mi za dobrze.

Will objął mnie, a ja westchnęłam, otoczona jego ramionami. Zamknęłam oczy i wtuliłam twarz w jego pierś. Pachniał deszczem i dobrocią.

– Poradzisz sobie – mruknął. – Znalazłaś się w cholernie przykrym położeniu. Ludzie będą wstrząśnięci, oczywiście, ale obronię cię przed wszystkimi, którzy spróbują powiedzieć złe słowo o twoim ojcu.

Znowu westchnęłam. Czy kiedykolwiek miałam przyjaciela tak dobrego jak ten ledwie mi znany mężczyzna?

– Mówię serio, Hallie. Chcę z tobą rano porozmawiać. – Po tych słowach wrócił do bryczki, ale wcześniej sprawdził, czy bezpiecznie wejdę do domu.

Chyba za sprawą boskiego zrządzenia Miry nie było, nie musiałam więc znosić jej pytań. Znalazłam wiadomość, że nie wróci przez cały wieczór. W domu panowała kojąca cisza. Co lepsze, w ciepłym piekarniku czekała pieczeń. „Częstuj się! Do zobaczenia na śniadaniu!”. Niech Bóg ją błogosławi, umierałam z głodu. Dopiero minęła szósta, ale wydawało mi się, że to już noc. Uświadomiłam sobie, że od śniadania prawie nic nie jadłam, tylko ciastka i popcorn w domu Madlyn, z którymi zresztą rozstałam się w gwałtowny sposób. Nadal czułam w ustach metaliczny smak. Teraz jednak myśl o kolacji wydała mi się bardzo pociągająca.

Poszłam do kuchni, zrobiłam sobie kanapkę z pieczenią i wyjęłam z lodówki torbę z sałatą. Do tego sos z niebieskim serem, idealnie. Znalazłam tacę. Wyglądało na to, że dziś już nie spotkam się z moją gospodynią, więc postanowiłam zjeść w pokoju. Powlokłam się na piętro, starając się niczego nie upuścić.

Postawiłam tacę na łóżku i włączyłam telewizor. Szukałam jakiegoś niewymagającego tła dźwiękowego. Zjadłam, napełniłam wannę i zanurzyłam się w parującej wodzie. Akurat dziś bardzo tego potrzebowałam. Długie

gorące kąpiele zawsze stanowiły mój lek na całe zło – a przynajmniej łagodziły stres.

Ale wkrótce potem znowu zaczęłam płakać. Czy te łzy kiedyś ustaną? Czułam, jakby każda komórka mojego ciała krzyczała: „Mój tata? Mój kochany tata?”.

Płakałam nad łagodnym, rozsądnym, zrównoważonym mężczyzną, którego stała miłość i wsparcie uczyniły mnie tym, kim byłam. Płakałam nad nocami, kiedy całował mnie w czoło na dobranoc i życzył mi słodkich snów. Płakałam nad mężczyzną, który nie ukrywał łez i tulił mnie w ramionach, gdy musieliśmy uśpić naszego psa. Płakałam nad pustą skorupą, którą uczyniła z niego choroba, nad strzępem człowieka, którego jedyną radość stanowiły ptaki za oknem.

Czy ktoś taki mógł odebrać życie drugiej osobie? Czy mógł zamordować dziewczynkę, którą tamtego dnia znaleziono leżącą na ziemi? Dlaczego miałby zabić dziecko? Czemu ktokolwiek miałby to uczynić? Poczulałam się, jakbym go zdradziła. Trzydzieści lat temu zabrał mnie z tej wyspy, a ja wróciłam, ożywiając to, co usiłował uśpić. Może nie powinnam.

Wiedziałam jedno: miałam wielki dług wdzięczności wobec Willa, który ostrzegł mnie, żebym nie zdemaskowała się jako od dawna nieżyjąca Halcyon Crane. Bóg jeden wie, jak kapitan promu zareagowałby na tę wiadomość. Z całą pewnością tu przebywał, kiedy doszło do tego wypadku. A Mira? Podejrzewałam, że była ode mnie o dziesięć lat starsza. Sama przyznała, że od dawna mieszka na wyspie. Musiała pamiętać sprawę morderstwa albo przynajmniej o niej słyszeć. Co zrobią ludzie, kiedy dowiedzą się prawdy? Co o mnie pomyślą?

Zastanawiałam się, czy nie opuścić wyspy najbliższym promem. Wróć do mojego bezpiecznego ciepłego domu nad cieśniną Puget, nie stawiając czoła tutejszym. Ale potem sobie przypomniałam: to niemożliwe, choćbym bardzo chciała uciec. Musiałam wytrzymać jeszcze dwa dni, zanim przybędzie prom.

Zanurzyłam się z głową pod wodę i przez jakiś czas leżałam nieruchomo, wstrzymując oddech. Nieważkość i szum w uszach sprawiły mi przyjemność.

A potem coś usłyszałam: śmiech. Otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą twarz patrzącej na mnie dziewczynki. Dziewczynki w białej sukience. Dziewczynki z długimi warkoczami. Tej samej, którą wcześniej wyobraziłam sobie w domu Madlyn. Stała nad wanną, obserwując mnie. Nie poruszała ustami, ale słyszałam jej śpiew:

„Chodźmy się bawić, wyjdźmy na łąkę...”.

Usiadłam gwałtownie, plując wodą, i spojrzałam na... pustą łazienkę. Wyszłam pospiesznie z wanny, owinęłam się ręcznikiem i zajrzałam do pokoju. Nikogo. Pusto.

Cała drżałam. Czy ta dziewczynka to wytwór mojej wyobraźni? Czy to Julie Sutton? Czy taką ją zapamiętałam?

Włożyłam piżamę i położyłam się, ale nie mogłam przestać dygotać. Ponownie włączyłam telewizor, żeby wypełnić ciszę głosami, śmiechem i idiotycznymi wygłupami.

Nie pamiętam, kiedy go wyłączyłam, ale musiałam to zrobić, bo zasnęłam. Śniło mi się, że płynę promem, tak jak poprzedniego dnia. Ale tym razem na pokładzie ktoś mi towarzyszył. Kiedy patrzyłam na wyłaniającą się wyspę, ojciec stanął za mną i zamknął mnie w objęciach.

– Cześć, ptysiu – odezwał się cicho.

– Tata! – zawołałam, obejmując go. Dopiero wtedy zauważyłam, że znów jestem małą dziewczynką. Ojciec podniósł mnie, a ja oplótłam go w pasie nogami, tak jak to robią dzieci.

– Nie chcę, żebyś tam wracała – powiedział. – To niebezpieczne.

– Ale ja już wróciłam.

– Spójrz. – Wskazał w stronę wyspy, która zbliżała się coraz bardziej. Ujrzałam przerażający widok: setki, może tysiące wijących się istot, w wodzie i na lądzie. Wydawało mi się, że to jakieś duchy lub upiory, poruszające się w zwolnionym tempie, wpatrzone we mnie pustymi oczami. Usiłowały coś powiedzieć, ale w ich ustach ziała czarna pustka.

– Teraz rozumiesz – szepnął ojciec. – Dlatego cię zabrałem.

Obudziłam się roztrzęsiona, zapłątana w wilgotną od potu pościel. Zegarek wskazywał pierwszą. Do świtu zostało jeszcze jakieś sześć godzin.

10

Otworzyłam oczy i zobaczyłam wpadające przez okno strumienie światła. Zerknęłam na zegarek i poderwałam się z łóżka. Wpół do jedenastej! Jak mogłam tak zaspać?

Wzięłam prysznic i zeszłam na parter. Zastanawiałam się nad dalszym postępowaniem. Widziałam przed sobą tylko dwie możliwości. Mogłam się tu ukryć do przybycia promu, a potem sprzedać dom i nigdy więcej nie wracać na wyspę, albo zrobić to, przed czym uciekł mój ojciec: zostać i walczyć.

Znalazłam Mirę w jej gabinecie, malutkim pokoiku przy kuchni. Zajrzałam do środka i się przywitałam.

– Cześć, śpiąca królowno!

– No tak – westchnęłam. – Miałam ciężki dzień. I noc. Moja gospodyni podniosła głowę znad dokumentów i odłożyła długopis.

– Hallie, wszystko gra? – Spojrzała na mnie serdecznie.

Zastanawiałam się, jak zmienia się jej oczy, kiedy pozna prawdę.

– Wczoraj – zaczęłam – usłyszałam dziwne i niepokojące wiadomości.

Mira wstała.

– Może opowiesz mi o tym przy kawie i babeczkach?

Serce podeszło mi do gardła. Czułam je tak wyraźnie, jakby utworzyło na mojej szyi wypukłość wielkości jabłka Adama. Żołądek mi się ścisnął. Miałam nadzieję, że nie powtórzę wczorajszego występu.

Mira zrobiła dzbanek kawy i postawiła go na tacy wraz z miecznikiem, babeczkami i dwiema filiżankami.

– Chodźmy na werandę – zaproponowała. Usiadła w wiklinowym fotelu. Ja zajęłam miejsce w bujaku naprzeciwko.

Kiedy napełniła filiżanki i dodała do mojej mleka, odezwałam się, bo nie mogłam już dłużej wytrzymać:

– Madlyn Crane zostawiła mi cały swój majątek.

Mira zakrztusiła się łykiem kawy.

– Przecież jej nie znałaś.

– Nie znałam – oznajmiłam twardo. – Ale ona знаła mnie. – Moja gospodyni dalej wpatrywała się we mnie bezradnie, więc dodałam: – Właśnie się dowiedziałam, że jestem jej córką.

Mira otworzyła szeroko oczy. Widziałam, że niedowierzenie walczy w niej ze świadomością mojego niezwykłego podobieństwa do matki.

– Madlyn miała dwie córki? Nie wiedziałam. Chyba nikt nie wiedział.

Dwie córki? Widać Mira nie należała do najbystrzejszych umysłów w okolicy. Co ona sobie wyobrażała, że moja matka urodziła dwie dziewczynki i obu dała na imię Hallie?

– Nic nie wiem o drugiej córce – zaczęłam powoli. – Nazywam się Hallie James. Ale wy pamiętacie mnie jako Halcyon Crane. – Moje dawne imię zabrzmiało jak echo zaklęcia: Halcyon Crane. Ja.

Mira spurpurowiała. – Przecież Halcyon zginęła trzydzieści lat temu! – A jednak to ja. Wierz mi, to dla mnie takie samo zaskoczenie jak dla ciebie.

– Ale... – moja gospodyni rozpaczliwie szukała właściwych słów – wypadek... Halcyon przeżyła...? – Najwyraźniej nie mogła pozbierać myśli. – Jak? Przecież byłam na jej pogrzebie!

Pokręciłam głową.

– Wygląda na to, że ten wypadek został zainscenizowany. Dorastałam w Bellingham, małym miasteczku na północ od Seattle. Mieszkałam tam z tatą.

Sądziłam, że moja matka nie żyje, nawet przez myśli mi nie przeszło, że może mieszkać na tej wyspie.

– Bellingham – powtórzyła Mira, powoli oswajając się z tą wiadomością. Prawie widziałam gonitwę myśli w jej głowie. – Jesteś Halcyon. Córka Madlyn i Noaha.

Noah. To słowo poraziło mnie jak wstrząs elektryczny. Aż do tej chwili nie docierało do mnie, że mój ojciec nie nazywał się Thomas James. Oczywiście!

Skinęłam głową.

– Tak. – I opowiedziałam Mirze o liście od Madlyn, który przewrócił całe moje życie do góry nogami. – Sama w to nie wierzyłam, ale mama przysłała zdjęcie. Najwyraźniej to prawda.

Obie zamilkłyśmy.

– Nic mi nie powiedziała – odezwała się w końcu Mira, popijając kawę. – Zupełnie nic. Zastanawiam się, jakim cudem cię znalazła. Przecież przez te lata cię nie szukała. Wszyscy uwierzyli w twoją śmierć.

– Jej przyjaciółka z Seattle zobaczyła w miejscowej gazecie moje zdjęcie z ojcem – wyjaśniłam. – Byłam tak uderzająco podobna do Madlyn, że ją o tym powiadomiła.

Mira pokiwała głową, przyglądając mi się uważnie.

– Najbardziej dziwi mnie synchronizacja tych zdarzeń – dodałam. – Przez całe życie opłakiwałam matkę, a ona tu sobie spokojnie mieszkała. Aż nagle mnie znalazła i zaraz potem umarła. Tak mało brakowało, żebyśmy się znowu spotkały. Już nigdy jej nie poznam... Mira wzięła mnie za rękę.

– Oczywiście dostrzegłam wasze podobieństwo od pierwszej chwili. Myślałam, że jesteś jej kuzynką... – Pokręciła głową. – Noah uciekł.

Sądziłam, że zginął. Suttonowie... Ile musiałaś wycierpieć z rąk tego potwora! Bardzo mi cię żal.

Kusiło mnie, żeby udawać skrzywdzone dziecko. Mogłam wykorzystać współczucie Miry, ale nie potrafiłam zdradzić taty.

– Nie nazywaj go potworem. Kochałam go nad życie. Był idealnym ojcem.

Oczy Miry zlodowaciały.

– Idealnym ojcem? Ciekawe określenie, zwłaszcza że chodzi o mordercę, który cię porwał i zainscenizował twoją śmierć.

– Przestań. Nic nie wiesz o naszym życiu. Mój ojciec był dobrym człowiekiem. Wiem o tym. Bardzo się kochaliśmy.

– Hallie, nie masz pojęcia, co on zrobił.

– Wiem to doskonale. Wiem też, czego nie zrobił. Wczoraj dowiedziałam się o śmierci tej dziewczynki. Mój ojciec jej nie zabił.

– Tego nie wiesz. Policja...

Czy przeżyję to z każdym mieszkańcem wyspy? Czy na każdym kroku przyjdzie mi bronić dobrego imienia ojca?

– Nie obchodzi mnie zdanie policji. Człowiek, który mnie wychował, nikogo nie zabił.

Mira prychnęła ironicznie.

– Powiedz to Suttonom.

– Powiem! – krzyknęłam. – Powiem! Sprowadź ich! Przykro mi, że ich córka nie żyje, ale to nie mój ojciec wypchnął ją z okna. Ja też znajdowałam się wtedy w domu. To był wypadek!

Mira drgnęła.

– Widziałaś to? Wszyscy tak sądziliśmy. Dlatego cię zabił... a raczej usunął z wyspy.

– Nie pamiętam. – Spuściłam wzrok, żeby odzyskać panowanie nad sobą. – Żałuję. Nie pamiętam mojego życia tutaj. Tak, źle to wygląda. Ojciec mnie stąd porwał. Zmienił nasze nazwisko. Teraz to już wiem. Mogę się trzymać tylko jednego: każda dziewczyna chciałaby mieć takiego tatę.

– Może i tak, ale to niczego nie zmienia. To sprawa policji. Morderstwo jest morderstwem. Kiedy się okaże, że przez te lata miał się dobrze...

Zrozumiałam. Mira nie wiedziała o śmierci mojego ojca.

– Nikt nie wznowi śledztwa – szepnęłam. – Mój ojciec nie żyje. Pamiętasz, jak powiedziałam, że chciałam uciec od mojego życia? To dlatego, że umarł – dzień po przyjsciu listu od Madlyn.

– Noah nie żyje? – Mira rozejrzała się, jakby czegoś szukając. – To... to dla mnie za dużo. Noah nie zginął w wypadku, a teraz mówisz, że umarł? Myślałaś, że nie masz matki, ona tu mieszkała – a teraz też nie żyje? Przez co musiałaś przejść...

– Tak... Było ciężko. Nie potrafię tego opisać.

– Hallie, bardzo ci współczuję. Nie chciałam obrażać pamięci twojego ojca. Nie życzę nikomu tego, co przeżyłaś. Po prostu sądziliśmy...

Serce mi załomotało. Przesunęłam ręką po włosach.

– Dziękuję, że to powiedziałaś. Ale znam wasze zdanie na ten temat i nie zgadzam się z nim. Jesteście w błędzie.

– Dobrze – ustąpiła Mira. – Skoro to nieprawda, skoro to nie on zabił to biedne dziecko, to dlaczego postanowił odejść? Jaki miał powód?

– Tego właśnie muszę się dowiedzieć. Może uciekł, bo dowody wskazywały, że popełnił morderstwo, choć tego nie zrobił. A może wydarzyło się coś innego.

– Inna kobieta?

– Nie sędzę. W życiu taty nie było innej kobiety. Przez ten cały czas żył samotnie. W liceum zachęcałam go, żeby spotkał się z którąś z samotnych matek moich koleżanek, ale nigdy tego nie zrobił. Mawiał, że miał w życiu jedną prawdziwą miłość i nie potrzebuje niczego więcej.

– Skoro tak, dlaczego zabrał twojej matce dziecko? – spytała Mira zimno.

Właśnie, dlaczego? Nagle zrozumiałam, co powinnam zrobić.

– Mam czas i środki, żeby się tego dowiedzieć – oznajmiłam zdecydowanie, wstając. – Dziękuję ci za gościnność. Zechciej wystawić mi rachunek. Dom Madlyn należy do mnie i zamierzam się do niego wprowadzić. Już dziś.

Mira skinęła głową.

– W razie potrzeby chętnie ci pomogę. Chcę się dowiedzieć prawdy tak samo jak ty.

Uścisnęłam ją mocno.

– Dziękuję. Tak zrobię.

Mira chwyciła mnie za rękę.

– Posłuchaj, ktoś musi powiedzieć o tym Suttonom. To nimi wstrząśnie.

Na myśl o rozmowie z rodzicami zabitej dziewczynki zrobiło mi się niedobrze.

– Mogłabyś? Ja nawet ich nie znam. Lepiej, żeby usłyszeli tę wiadomość od osoby, którą znają i lubią.

Moja gospodyni pokiwała głową.

– Zrobię to dziś.

Zapłaciłam rachunek i uzgodniłam z Henrym, że przewiezie moje bagaże do nowego domu, po czym zbiegłam po skłonie pagórka do miasta. Od czasu przybycia na wyspę nie zdobyłam się na prawdziwy wysiłek fizyczny. Po wczorajszej burzy zrobiło się pogodnie, lecz zimno – ale mnie chłód nie przeszkadzał. Odczuwałam go jak zimny kompres na rozognionej po płaczu twarzy. Usiłowałam zająć się rozmyślaniami, jak port musi wyglądać w lecie, gdy roi się w nim od promów, łódek i jachtów, ale przed oczami ciągle stał mi obraz ojca i córki uciekających w nowe życie, podczas gdy inni rodzice opłakiwali niewyobrażalną stratę.

W mieście jak zawsze panowała cisza. Czy mam iść do Willa? Do kawiarni? Do przystani? Will wybawił mnie od rozterek, wyglądając zza drzwi kancelarii.

– Hej! – zawołał. – Zobaczyłem, jak schodzisz ze wzgórza. Napijesz się kawy?

– Pewnie! – odkrzyknęłam, a on wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Jak ci się spało? – spytał.

– Niezbyt dobrze. – Zdjęłam ciemne okulary i pokazałam podpuchnięte, podkrążone oczy. – Ranek też nie był lepszy. Wyznałam Mirze prawdę i nieźle się nasłuchałam.

– No myślę. – Will uśmiechnął się, otworzył drzwi kawiarni i weszliśmy do ciepłego wnętrza. – Opowiedz mi wszystko. Jaką kawę pijesz?

– Latte na chudym mleku, z syropem czekoladowym i migdałowym – odezwał się Jonah zza lady.

– Lubię mężczyzn, którzy pamiętają moją ulubioną kawę. Will powiódł wzrokiem ode mnie do niego.

– O czymś nie wiem? Znacie się?

– Byłam tu wczoraj – wyjaśniłam szybko.

– Jak ci poszło spotkanie z tym błaznem? – spytał Jonah, podając mi kawę.

– Dobrze. Na tyle, na ile może pójść spotkanie z prawnikiem.

Zachichotał.

– Jedna z dziewczyn, które tu wczoraj siedziały, widziała was, jak jechaliście do domu Madlyn Crane. – Puścił do mnie oko.

– Tak. – Odetchnęłam głęboko i zaczęłam: – Mogę to już powiedzieć. Dom należy teraz do mnie. Madlyn zostawiła mi go w spadku, wraz z innymi rzeczami.

Jonah przyglądał mi się przez chwilę.

– Wiedziałem! – zawołał, uderzając ręką w ladę. – Już wczoraj dostrzegłem podobieństwo, tak jak inni. Ale nie spodziewałem się...

– Ej, daj już spokój – przerwał Will. – Ta pani miała dość przeżyć. Niepotrzebne jej drugie przesłuchanie tego ranka.

Jonah zerknął na niego z ukosa. – Jak to „drugie”?

– Mieszka w zajeździe Manitou – odparł Will z uśmiechem, jakby to wszystko wyjaśniało. Najwyraźniej Mira słynęła w mieście z długiego języka.

– Jasne – ustąpił Jonah. – Nie będę cię dłużej męczyć. Siadajcie i pijcie kawę w spokoju.

Znaleźliśmy dwa fotele przy kominku. Opowiedziałam Willowi przyciszonym głosem o mojej rozmowie z Mirą, postanowieniu przeprowadzki do domu i potrzebie odkrycia tego, co stało się tu przed laty.

– Tajemnica dotyczy morderstwa. Nie mogę tego tak zostawić. Muszę oczyścić dobre imię taty. – Zamilkłam na chwilę. – Ale chcę też dowiedzieć się czegoś jeszcze. Czegoś, co łączy te wydarzenia.

– A mianowicie?

– Nie znam historii mojej rodziny. Dom, który odziedziczyłam, zbudował mój dziadek, a ja nic o nim nie wiem. Nikt mi nie opowiadał o krewnych, którzy tu od dawna mieszkali. Chcę ich poznać od podszewki, ze wszystkimi wadami, zaletami, z całym pięknem i brzydotą.

Will roześmiał się cicho.

– Wady, zalety, proszę bardzo. Ale brzydota? Nigdy. Poczułam na policzkach rumieniec.

– Will, mówię poważnie.

– Tak poważnie, to pewnie znajdziesz tu i piękne, i brzydkie rzeczy. – Usiadł wygodniej i pociągnął łyk kawy. – Jak zawsze w historiach rodzinnych. Gdzieś tu muszą być pudła starych zdjęć i innych pamiątek.

Skinęłam głową.

– Henry już zawiózł tam moje rzeczy. Kiedy się rozgoszczę, zajmę się tajemnicą śmierci Julie Sutton. Myślisz, że na miejscowym posterunku nadal znajdują się akta jej sprawy? – Nie wiedziałam, co miałabym z nimi zrobić, nawet jeśli zostaną mi udostępnione. Szanse, że po trzydziestu latach odkryję jakieś nowe okoliczności zdarzenia, przedstawiały się marnie. Ale musiałam od czegoś zacząć.

– Na pewno gdzieś zbierają kurz. – Will dopił kawę z siorbnięciem. – Słuchaj, muszę wracać do kancelarii. Co powiesz na kolację?

Myśl o samotnym wieczorze w domu Madlyn wydawała mi się mało pociągająca. Ale z drugiej strony – nie chciałam mu robić nadziei.

Zauważył moje wahanie i dodał:

– Znam świetną knajpkę po drugiej stronie wyspy. Musisz coś jeść.

Skapitulowałam. W końcu co mi szkodzi?

– Zgoda.

Sięgnęłam po torebkę.

– Dobrze usłyszałem? – odezwał się Jonah zza lady. – Zostaniesz tu jakiś czas?

– W rzeczy samej – odpowiedziałam z szerokim uśmiechem. – Dziś się wprowadzam.

Rzucił mi paczkę kawy.

– Madlyn wolała herbatę. Podziękowałam za prezent uśmiechem.

– Może wstąpisz do mnie wkrótce na filiżankę?

– Chętnie.

Will rzucił mu ciężkie spojrzenie i wyszliśmy na ulicę.

– Sam bym cię zawiózł, ale za parę minut muszę odbyć parę rozmów telefonicznych, a to może potrwać. – Zerknął na zegarek. – Zadzwonię do Henry'ego, żeby po ciebie przyjechał. O tej porze i tak na ogół jedzie do miasta.

Wróciłam z nim do kancelarii i już miałam spytać, o której wpadnie po mnie wieczorem, kiedy za nami rozległ się znajomy stukot kopyt.

– Henry! Jak na zawołanie. – Will machnął na niego. Zauważyłam moje walizki przytroczone do dachu powozu. – Ta pani chce się dostać do domu Crane'ów.

Henry zatrzymał konia. Will pomógł mi wsiąść do pojazdu.

– Mogę przyjść o szóstej?

– Oczywiście – zgodziłam się z uśmiechem.

Henry ruszył z miejsca, ale po paru przecznicach stanął. Zeskoczył z kozła i zajrzał przez okno.

– Pewnie zechcesz zrobić zakupy. Zaczekam tu na ciebie. Nie przyszło mi to do głowy.

– Dziękuję! Zaraz wracam. – Ruszyłam szybkim krokiem do sklepu. Nie wiedziałam, czego właściwie potrzebuję. Jogurt, jajka, owoce, masło orzechowe, bułeczki, mleko... Przebiegłam przez delikatesy, wybierając po drodze plastry piezonego indyka, ser i tortille. Dorzuciłam do wózka torbę sałaty, a także kotlety i bułki do przyrządzania hamburgerów i parę dietetycznych pizz. Do tego jeszcze chipsy ziemniaczane, sos cebulowy, cztery butelki wina – a co tam, przeżywam ciężkie chwile – i mogłam ruszać. Po resztę produktów przyjdę później.

Ktoś pociągnął mnie za rękaw. Odwróciłam się zaskoczona. Za moimi plecami stała kobieta pod siedemdziesiątkę, z kędzierzawymi siwymi włosami i brązowymi oczami, pełnymi ciepła i dobroci.

– Czy to prawda? – spytała.

– Chyba nie rozumiem – powiedziałam cicho. – Jeśli mnie pani pyta, czy jestem córką Noaha i Madlyn Crane'ów, to odpowiedź brzmi – tak. Nazywam się Hallie James.

Gwałtownie potrząsnęła głową, a w jej dobrych oczach błysnęła furia.

– Powiedz, Halcyon, jak ci się żyło przez te trzydzieści lat? Mężczyzna za ladą delikatesów podniósł głowę.

– Wszystko w porządku, pani Sutton?

Pani Sutton! Zagryzłam wargę i przygotowałam się na najgorsze.

– Bardzo pani współczuję straty – wyjąkałam – ale...

– Ale co? – przerwała mi. – Co też takiego chciałaś mi powiedzieć?

Chyba to, że mój ojciec nie zabił jej córki, jednak kiedy patrzyłam na tę smutną starą kobietę o oczach pełnych łez, gniewu i rozpaczki za od dawna nieżyjącym dzieckiem, zabrakło mi słów.

– Czy moja córka się bała, kiedy twój ojciec ją dusił? Czy wołała mnie, gdy wypchnął ją z okna? – Pani Sutton wpiła mi w ramię kościste palce. Rozejrzałam się, szukając pomocy, ale sprzedawca gdzieś zniknął.

– Przykro mi, ale nie pamiętam, co się wtedy wydarzyło – rzuciłam pospiesznie, na próżno starając się jej wyrwać. – O śmierci pani córki dowiedziałam się wczoraj. I dopiero tydzień temu po raz pierwszy usłyszałam o tej wyspie oraz o tym, że kiedyś na niej mieszkałam. Przez całe życie sądziłam, że moja matka zginęła w pożarze w Seattle, kiedy miałam pięć lat – wypowiedziałam to na jednym oddechu. Miałam nadzieję, że pani Sutton zrozumie, iż nie może mnie obwiniać za swoją stratę.

– A ja wiem co innego – rzuciła głośnie. – Wiem, że moja córka nigdy nie poszła na tańce. Nigdy nie miała chłopca. Nie bawiła się na balu maturalnym. Nie zakochała się, nie wyszła za mąż i nie urodziła dzieci. A ty przez cały ten czas żyłaś i robiłaś, co chciałaś, wychowywana przez mordercę mojego dziecka.

Mocniej ścisnęła moje ramię. Oczy jej płonęły. Musiałam się natychmiast uwolnić. Nie mogłam znieść jej bólu. Co więcej, sądziłam, że ta kobieta naprawdę może mnie skrzywdzić. Szalała z wściekłości, nie panowała nad sobą. W końcu wyszarpnęłam się jej i uciekłam ze sklepu, porzuciwszy wózek z zakupami.

–Jak śmiałaś wrócić na wyspę?! Jak śmiałaś?! – wołała za mną.

– Dziękuję, że zaczekałeś – wykrztusiłam, wskoczywszy do powozu. Cała dygotałam.

– Oczywiście. – Henry pokiwał głową i delikatnie strzepnął cugłami. Nie skomentował tego, że nie miałam przy sobie zakupów. Na szczęście nie odzywał się przez całą drogę.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, zdjął moje walizki i zaniósł je pod drzwi.

– Dobra z niej była dziewczyna. Z Madlyn. Przyjaźniłem się z jej ojcem. Pracował u nas jako weterynarz.

Uśmiechnęłam się, patrząc na dobrą twarz Henry'ego.

– Tego nie wiedziałam. Niestety nie znam historii mojej rodziny.

– Coś mi mówi, że to się zmieni. To cud, że tu wróciłaś. Opłakiwała cię każdego dnia swojego życia. Szkoda, że nie zobaczyła, na jaką piękną kobietę wyrosłaś.

W oczach stanęły mi łzy. Odwróciłam głowę, mrugając z zawstydeniem. W końcu ktoś ucieszył się z mojego przyjazdu.

– Dziękuję. – Skinęłam głową, szukając kluczy.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebować, daj znać – dodał, klepiąc mnie po ramieniu. – Wystarczy zadzwonić.

– Pożalujesz, że to powiedziałaś.

– O, nie. Dzwon, kiedy chcesz.

Pomachałam mu z ganku i weszłam do środka, popychając przed sobą walizki. Do diabła z Suttonami. W końcu wróciłam do domu.

11

Tundra i Tika powitały mnie jak bohaterkę – merdając ogonami, kładąc uszy na głowie, ganiając w kółko – ale ich entuzjazm nie zdołał zagłuszyć niepokoju, z jakim spojrzałam na wspaniałe schody mojego domu rodzinnego. Zastanawiałam się, w jaki sposób zdołam wejść po nich w nieznane. Wczoraj nie zajrzałam na pierwsze ani drugie piętro. Dlaczego tego nie zrobiłam, dopóki towarzyszył mi Will?

Wciąż miałam uczucie, że jestem intruzem, jak nastolatka, która zakradła się do cudzego mieszkania i którą lada chwila może przyłapać wściekły gospodarz. „Ten dom należy teraz do mnie” – przypominałam sobie. Madlyn chciała, żebym stała się jego właścicielką. Chodziłam z pokoju do pokoju na parterze, powtarzając głośno: „To teraz mój dom, to teraz mój dom”. Jakbym chciała usprawiedliwić się przed tymi, którzy mogliby mnie słyszeć.

Przez jakiś czas stałam u stóp schodów, patrząc na ich lśniące drewno i łagodną ciemną czerwień chodnika. Zrób to i już. Nabrałam tchu i weszłam na piętro, nadal powtarzając: „To mój dom”. W końcu zobaczyłam długi korytarz i kilkoro drzwi.

Pierwsze otworzyłam ostrożnie. Potem zajrzałam do każdego pokoju po kolei. Przeważnie gościnne sypialnie. Na końcu korytarza – łazienka dla gości. Panowała tu taka sama atmosfera jak na parterze: ciepło, przytulnie, po domowemu. Łóżka przykryte ręcznie robionymi narzutami, na ścianach zdjęcia (założyłam, że zrobione przez Madlyn). Dlaczego czułam się tu tak skrepowana?

Ciągle miałam nadzieję, że nagle wrócą mi wspomnienia, że otwierając drzwi, zdołam się dostać do zapomnianego dzieciństwa. Chyba rozpoznam swój dawny pokój? Ale nic nie wydawało mi się znajome. Patrzyłam na wszystko oczami dorosłej osoby.

Dotarłam do dwóch ostatnich pomieszczeń. Zajrzałam do tego bliższego i zobaczyłam coś, czego zupełnie się nie spodziewałam. Przy łóżku stała jakaś kobieta. Widziałam ją tylko parę sekund, bo krzyknęłam i trzasnęłam drzwiami.

W filmach bohaterki zawsze drą się na całe gardło, ale ja nigdy nie sądziłam, że w chwili przerażenia zdołała wydobyć z siebie taki głos. Niesłusznie. Zawylałam jak dusza potępiona i odskoczyłam tak gwałtownie, że wpadłam na przeciwległą ścianę.

Stałam, drżąc, nie mogąc złapać oddechu. Sądziłam, że jedynymi moimi towarzyszami w tym domu są psy, więc to odkrycie kompletnie mną wstrząsnęło. Poza tym kobieta wyglądała naprawdę niepokojąco. Błada jak alabaster, miała na sobie długą czarną suknię i trzewiki na płaskim obcasie, a rzadkie siwe włosy ściągnęła w surowy kok na czubku głowy.

Otworzyła drzwi i zmierzyła mnie groźnym spojrzeniem.

– W czym mogę pomóc? – Ja... ja...

– Jestem Iris Malone, gospodyni pani Crane. Przyszłam uporządkować jej rzeczy.

Oczywiście! Zaczęłam odzyskiwać przytomność umysłu.

– A panienka jest... ? – spytała surowo kobieta.

Zachowywała się wyniośle, jakbym to ja wtargnęła tu nieproszona, a nie ona. W zasadzie chyba miała prawo. Jako gospodyni mogła czuć się do

pewnego stopnia posiadaczką tego domu. Nie знаła mnie. Mogłam być wielbicielką Madlyn, włamywaczką albo jeszcze kimś gorszym.

Mimo to, „rzeczy”, które przyszła uporządkować, należały do mojej matki, a teraz do mnie. W parę sekund zmieniłam się z przerażonej idiotki w oburzoną dziedziczkę. Wyprostowałam się zdecydowanie.

– Zatem nie słyszała pani? Gospodyni łypnęła na mnie nieufnie.

– Nie ma potrzeby porządkować rzeczy pani Crane – oznajmiłam. – Jestem jej córką, Halcyon Crane. To moje zadanie.

Iris zbladła – okazało się, że jej alabastrowa skóra może przybrać jeszcze jaśniejszy odcień – podeszła, uniosła palec jak szpon i przez chwilę wydawało się, że mnie uderzy, skaleczy lub zrobi Bóg wie co jeszcze. Ale nie. Położyła mi dłoń na policzku z największą serdecznością, na jaką było ją stać – czyli dość chłodno – i powiedziała z trudem:

– To prawda?

Skinęłam głową, również po to, żeby uwolnić się od jej dłoni.

– Zaskoczyło mnie to tak samo jak panią.

Nie wiem, czy mnie usłyszała. Wpatrywała się w moje oczy i głaskała mnie po głowie, ale spojrzenie miała zamglone i rozkojarzone, jakby znalazła się gdzie indziej, w innym miejscu i czasie.

– Więc to ty, Hallie – wymamrotała. – Myśleliśmy, że nie żyjesz.

Objęła mnie, przyciągnęła do siebie. Jej ciało tchnęło chłodem. Pachniała gnijącymi różami i ziemią. Po chwili się cofnęłam – może zbyt gwałtownie. To ją otrzeźwiło. Potrząsnęła głową i spojrzała na mnie przejrzystymi, bladobłękitnymi oczami.

– Tak, to naprawdę ja, Hallie. Z całą pewnością żyję. Spotkałam się z prawnikiem Madlyn, który odczytał mi jej testament. Dom i wszystko, co się w nim znajduje, zostawiła mnie. Wolałabym sama przejrzeć jej rzeczy.

– Oczywiście. – Iris skinęła głową w ten oszczędny, lecz pełen szacunku sposób, który w wyobraźni zawsze przypisywałam służącym z domów bogaczy. Przez chwilę stałyśmy, patrząc na siebie, jak w pewnego rodzaju pojedynku. Nie wiedziałam, co zrobić.

– Czy to, co mówią, jest prawdą? – odezwała się w końcu Iris.

– Jeśli chodzi ci o mojego ojca, to nie zginął w wypadku. Mieszkaliśmy w stanie Washington, gdzie pracowałam jako korektorka w miejscowej gazecie, a mój tata – jako nauczyciel matematyki w liceum. Umarł parę tygodni temu. – I z rozpędu dodałam: – Aż do niedawna nie miałam pojęcia, że moja matka żyje. Sądziłam, że zginęła w pożarze, kiedy byłam dzieckiem.

Iris cmoknęła z naganą.

– I uwierzyłaś?

– Oczywiście, że tak. – Jakim prawem mnie krytykuje?! – A teraz, jeśli pozwolisz...

– Twoja matka była wspaniałą kobietą – rzuciła gospodyni z płonącym spojrzeniem, jakby sądziła, że trzeba mnie do tego przekonywać. Zaczęła poprawiać fartuch, a ja dostrzegłam łzy, które tak rozpaczliwie starała się ukryć. Wyjęła z rękawa zwiniętą w kulkę chusteczkę i otarła oczy. Ten gest miał w sobie taką bezbronność, że mój gniew przycichł.

– Od dawna tu pracujesz? – spytałam.

– Byłam tutaj, zanim twoja matka się urodziła, i byłam, kiedy umarła – oznajmiła. – Zajmowałam się panią Crane przez całe jej życie, a tym domem – jeszcze dłużej.

Serce mi załomotało.

– Znałaś mnie?

Iris skinęła głową, a na jej ustach z wolna pojawił się lekki uśmiech.

– Pamiętam, jak się urodziłaś i jak Madlyn dowiedziała się, że zginęłaś wraz z ojcem. Siedziałam obok niej na pogrzebie.

Powiedziała to prawie radośnie. Nagle poczułam dojmujące pragnienie ucieczki.

– Może zejdziemy na dół i zrobimy herbaty, a ty opowiesz mi coś więcej? – rzuciłam, ruszając szybkim krokiem w stronę schodów.

– O, nie, nie mogłabym. Muszę się już zbierać. – Iris ruszyła ciężko, z wysiłkiem stawiając nogę za nogą.

Ogarnęło mnie poczucie winy. Ta starowina zajmowała się moją matką przez całe życie. Najwyraźniej opłakiwała jej stratę. Spojrzałam na nią, ubraną w skromną czarną sukienkę, z chusteczką ukrytą w rękawie – jak to robią chyba wszystkie stare kobiety. Tak naprawdę wolałabym, żeby wsiadła na miotłę i odleciała stąd, zostawiając ten dom wraz z jego tajemnicami. Ale moja matka zatrudniała ją przez lata. (Mimo to, co dziwne, nie zapisała jej nic w testamencie. Nie wiedziałam, jak to rozumieć). Zastanawiałam się, czy Iris ma dość oszczędności, czy też śmierć mojej matki drastycznie zmieniła jej sytuację finansową.

U stóp schodów stały moje bagaże. Iris spojrzała na nie znacząco.

– Zostaniesz tu?

– Nie wiem. Na razie tak, może na miesiąc. Nie zdecydowałam, co potem. Nie mam konkretnych planów na przyszłość.

– W takim razie przyjdę parę razy w tygodniu, żeby ci pomóc. – Nie zabrzmiało to jak prośba, raczej jak stwierdzenie. – Zajmę się praniem i sprzątaniami, a także gotowaniem.

– Naprawdę nie trze....

– To żaden problem – rzuciła szybko. Może naprawdę potrzebowała pieniędzy. A przynajmniej jakiegoś powodu, by wstać rano z łóżka.

Skapitulowałam.

– Świetnie. Twoja pomoc mi się przyda. Będę ci płacić tyle, ile moja matka. Na pewno znajdę tu gdzieś księgi rachunkowe?

Iris powoli pokiwała głową, idąc do kuchni.

– Jak rozumiem, biorąc pod uwagę szczególne okoliczności, w jakich dorastałaś, zapewne nie wiesz zbyt wiele o matce i jej... swojej... rodzinie. Jeśli zechcesz, mogę cię wprowadzić w ten temat. Byłam tu przez cały czas.

Uważnie przyjrzałam się kobiecie. Jej przejrzyste niebieskie oczy wypełniał spokój.

– Masz rację! Bardzo chciałabym dowiedzieć się czegoś o życiu mojej matki i o naszych przodkach. Tak naprawdę słyszałam o Madlyn tylko tyle, ile mówiono o jej pracy.

Iris uśmiechnęła się w końcu.

– Chętnie opowiem to, co pamiętam, panienko.

Do tej pory nie zastanawiałam się, jak poznam historię rodziny. Oczywiście istniały gdzieś zdjęcia i kroniki, nazwiska i ważne daty. Ale oto spotkałam kogoś, kto mógł mi opisać ludzi – z krwi i kości.

– To dla mnie wiele znaczy.

Iris uśmiechnęła się z zadowoleniem, znowu czuła się ważna i doceniana.

– Teraz się oddalę, byś mogła się rozgościć – oznajmiła tonem wykluczającym dyskusję. Ale przy drzwiach jeszcze się obejrzała. – Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

Spojrzała na mnie dziwnie wyczekująco, niemal jak dziecko.

– Nie, nic mi nie przychodzi do głowy.

– W takim razie spodziewaj się mnie w poniedziałek rano.

– I po tych słowach Iris wyszła przez drzwi kuchenne.

Poczułam, jakby wraz z nią dom opuścił ponury nastrój, a na jego miejsce pojawiło się świeże powietrze. Nagle zachciało mi się pić. Zajrzałam do lodówki, w której znalazłam butelkę wody. W połowie łyku uświadomiłam sobie, że pewnie kupiła ją moja matka.

Odstawiłam butelkę, chwyciłam bagaże i poszłam na górę do pokoju, w którym znalazłam Iris. Był wielki, z przycupniętym w kącie kominkiem z drewnianym gzymsem. Na ścianie, przed wielkim łóżem z wezgłowiem z drewna wiśniowego (pewnie antykiem), wisiał płaskoekranowy telewizor. Miła mieszanka starego i nowego. Wnętrze wyglądało pięknie, a nie mam zwyczaju nadużywać tego słowa. Krótko mówiąc – wymarzone miejsce. Po prostu raj. Nie potrzebowałam dalszych części domu, mogłabym zostać tu. Zajmowałam już mieszkania mniejsze od tego apartamentu, a żadne nie dorównywało mu urodą. Na nocnym stoliku leżała sterta książek, parę ostatnich bestsellerów, praca naukowa o zaginionej księdze Biblii i słownik krzyżówkowy. Oglądałam je z uśmiechem. Te lektury powiedziały mi o matce więcej niż ktokolwiek dotąd.

Z okazałego wykuszowego okna, większego od tego w zajeździe, rozciągał się widok na jezioro. Najwyraźniej takie okna często spotyka się w tutejszych domach. Mieszkańcy wyspy lubią podziwiać pejzaże. Potem

zajrzałam do łazienki. Ukazał mi się cudowny widok: stojąca pod oknem wanna na lwich łapach

– kąpiel połączona z atrakcjami wizualnymi – oraz wykładany kafelkami prysznic w kącie. Dom miał swoje lata, ale Madlyn go wyremontowała. Mogłabym się przyzwyczaić do takich luksusów.

Z sypialni przechodziło się do następnego pokoju – gabinetu. Pod ścianami były biblioteczki, w kącie znajdował się kolejny kominek, przed którym stały dwa miękkie fotele ze skórzaną tapicerką oraz otomana, a pod przeciwległą ścianą – wygodna kanapa. Wszędzie widniały zdjęcia w ramkach.

W sypialni znalazłam wielką garderobę z mnóstwem ubrań. Ubrań mojej matki. Przytuliłam się do naręcza bluzek i zanurzyłam w nich twarz. Pachniały bzem, ziołami i lawendą. Przed oczami stanęła mi uśmiechnięta twarz mamy. „Kocham cię, maleńka Hallie”. W końcu jakieś wspomnienie. Ta świadomość sprawiła, że osunęłam się na podłogę. Tak strasznie za nią za tęskniłam, otoczona jej rzeczami.

– Dlaczego nie zaczekałaś, aż przyjadę? – spytałam głośno.

Siedziałam jeszcze przez chwilę w garderobie mojej matki, w końcu zmobilizowałam się do wstania i zaczęłam rozpakowywać bagaże.

Odsunęłam kilka wieszaków, żeby zrobić miejsce na ubrania. Na widok moich bluzek wiszących tuż obok rzeczy mamy zrozumiałam, że wreszcie gdzieś przynależę. Oto my, moja matka i ja, obok siebie. Jej dom był teraz moim i w końcu to poczułam.

Spojrzałam z zaskoczeniem na zegar w sypialni. Prawie piąta. Will przyjedzie za niespełna godzinę. Musiałam wziąć prysznic i się ubrać, więc rozejrzałam się za ręcznikiem. Nie musiałam długo szukać. W łazience stała

szafka, w której znalazłam wszystko, czego mogłam potrzebować: puszyste białe ręczniki, szampon (mój ulubiony), żel pod prysznic i nawet parę paczek wacików. Uśmiechnęłam się. Mama miała takie same upodobania jak ja.

Rozebrałam się, położyłam łańcuszek i kolczyki na toalecie i wskoczyłam pod prysznic. Gorąca woda niosła odświeżenie i optymizm. Potem otuliłam się miękkim białym szlafrokiem, który wisiał na drzwiach. Korzystanie z tego, co należało do mojej matki, sprawiało, że czułam się jej bliska jak nigdy. Może znajdę jakieś jej ubrania, które włożę na kolację z Willem?

Nie wiedziałam, czy wybieramy się do lokalu, w którym obowiązują eleganckie stroje, ale co do jednego miałam pewność: dotrzemy tam otwartą bryczką. A zatem krótkie spódnice i szpilki – wykluczone.

Stałam przez chwilę, przyglądając się ubraniom w garderobie. Nie chciałam, żeby Will wyrobił sobie niewłaściwe zdanie: to nie była randka, tylko przyjacielska kolacja. Jak mu to zasugerować? Znalazłam długą czarną sukienkę z dzianiny z okrągłym dekoltem. Na tyle skromną, żebym nie wyglądała na wystrojoną jak na bal, jeśli Will pojawi się w dżinsach, ale jednocześnie dość elegancką, by nie raziała, gdyby przyszedł w garniturze. W walizce miałam idealnie pasujące czarne buty na płaskich obcasach.

Włożyłam sukienkę i przejrzałam się w lustrze. Podkreślała właściwe miejsca i kamuflowała kłopotliwe. Kiedy tak spoglądałam na siebie, za plecami dostrzegłam moje drugie odbicie. Lustro drżało i falowało jak staw, do którego ktoś wrzucił kamień. Zobaczyłam drugą siebie, w tej samej czarnej sukience, czeszącą włosy. Ja, ale nie ja. Starsza. Drgnęłam. Czy to odbicie mojej matki?

Przez chwilę bałam się oddychać i ruszać, żeby nie spłoszyć widziadła. Patrzyłam, jak matka powoli unosi ręce i mnie obejmuje. Widziałam, jak delikatnie głaszcząc mnie po głowie. W końcu się doczekałam. Znalazłam się w ramionach matki. Chcąc poczuć to, co pokazywało lustro, zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, odbijało tylko mnie. Odwróciłam się, nie wierząc własnym oczom. Jak to możliwe? „Nie – pomyślałam rozsądnie – wszystko to sobie wyobraziłam, to dlatego, że znalazłam się w domu matki, mam na sobie jej sukienkę i stoję przed jej lustrem”.

Potrząsnęłam głową, żeby oprzytomnieć. Will wkrótce przyjedzie, musiałam się przygotować. Teraz biżuteria. Łańcuszek znajdował się na toalecie, gdzie go zostawiłam, ale kiedy sięgnęłam po kolczyki, nie znalazłam ich.

Dziwne. Spojrzałam na podłogę – może spadły? – ale niczego nie zauważyłam. Włożyłam je do torebki? Nie, tam także nie. Zaczęłam podejrzewać, że upuściłam je do umywalki, ale w jej odpływie tkwił korek. To mi przypomniało, że muszę umyć zęby. Wyjęłam z walizki szczoteczkę, wróciłam do łazienki i właśnie sięgałam po pastę, kiedy zobaczyłam kolczyki. Leżały na toalecie. Tam, gdzie je zostawiłam.

Co się działo? Jeszcze przed chwilą ich tam nie było. A może się myliłam?

Nie miałam czasu zastanawiać się nad tą zagadką, bo rozległ się dzwonek i szczekanie psów. Przybył Will! Włożyłam kolczyki, chwyciłam torebkę i zbiegłam po schodach.

– Cześć – powiedział na mój widok. – Świetnie wyglądasz! On też wyglądał świetnie – w dżinsach (dobrze, że się nie wystroiłam), koszuli w

paski i kurtce z miękkiej brązowej skóry. Na widok bukietu rudbekii w jego dłoni ścisnął mi się żołądek.

Uśmiechnęłam się żartobliwie.

– Zerwałeś z donic na ganku?

– Nie, wstąpiłem na cmentarz i rąbnąłem wiązanekę z grobu.

Mimo woli parsknęłam śmiechem.

– No cóż, dziękuję. Rudbekie to moje ulubione kwiaty. Wtuliłam twarz w intensywnie żółte płatki.

Po chwili siedzieliśmy już w bryczce, zmierzając w stronę restauracji. Will skręcił z głównej drogi na ścieżkę prowadzącą do lasu. Wyjaśnił, że wiezie mnie na drugą stronę wyspy, gdzie jeszcze nie byłam.

– Zaraz miniemy kępę bardzo starych drzew – powiedział. – Rdzenni mieszkańcy tej wyspy uważali je za zaczarowane. Wierzyli, że mogą ożyć, chwycić człowieka i... – Wyciągnął do mnie zakrzywione palce i zachichotał.

Choć niebo usiały gwiazdy, otaczał nas gęsty, atramentowy mrok. Wszystkie te legendy nie powstały bez powodu. Usiłowałam rozładować atmosferę.

– Zaczynam czuć się jak Ichabod Crane... – Ostatnie słowo uwięzło mi w gardle. To, że bohater, który stracił głowę w lesie w taką samą jesienną noc, nosił moje nazwisko, wcale mnie nie uspokoiło.

– Trochę tu dziwnie, gdy jest ciemno, to prawda – przyznał Will, najwyraźniej rozbawiony moim zdenerwowaniem. – No i zaraz miniemy najstarszy cmentarz na wyspie. – Spojrzał na mnie z udawanym przerażeniem.

– No pięknie. – Miałam ochotę go uszczypnąć.

– Ja nie żartuję. – Wskazał na lewo. Zobaczyłam stare ogrodzenie z kutego żelaza, omszałe nagrobki i suche liście, wirujące niczym niespokojne duchy.

– Właściwie lubię cmentarze, zwłaszcza bardzo stare – zaczęłam mówić głośno, żeby pozbyć się uczucia grozy, które mnie ogarnęło. – Cmentarze to kronika historii, nazwiska, daty...

– Oczywiście, w pełni się z tobą zgadzam. Ten też ma w sobie coś. Można na nim znaleźć nagrobki sprzed trzystu lat. To zdumiewające.

Miałam nadzieję, że nie zaczniesz mnie teraz oprowadzać.

– Może tu wrócimy za dnia? – zaproponowałam z uśmiechem. – W samo południe. W pełnym blasku słońca.

– Wiesz... Niedawno przeżyłem tu coś, czego długo nie zapomnę.

– Chcesz mi opowiedzieć historię o duchach, żeby mnie jeszcze bardziej wystraszyć? Uprzedzam, że cię uszczypnę. Mocno!

Will parsknął śmiechem.

– To nie będzie historia o duchach – oznajmił, ale nagle zmienił zdanie.

– A może jednak... Czy mimo to chcesz jej wysłuchać?

– Dobrze... Chcę!

– Proszę bardzo. Jechałem na rowerze ścieżką na pobliskim wzgórzu i nagle zapragnąłem odwiedzić cmentarz i spojrzeć na te stare nagrobki. Nie widziałem ich od dzieciństwa. Kiedy rozglądałem się wśród nich, zobaczyłem białą, kruszącą się płytę. Wyglądała na bardzo starą. Przeczytałem imiona: Persephone, Patience i Penelope Hill. Najwyraźniej trojaczki. Urodziły się tego samego dnia w tysiąc dziewięćset piątym roku, a umarły w tym samym czasie w tysiąc dziewięćset trzynastym.

Plecy musnęła mi zimna macka strachu.

– Oczywiście zdziwiło mnie, że odeszły tego samego dnia, i pomyślałem o rodzicach, którzy musieli pochować trójkę dzieci. Ale wiesz, co mną najbardziej wstrząsnęło? Ktoś niedawno położył na ich grobie świeże kwiaty.

Zadrzałam.

– W życiu nie słyszałam nic bardziej upiornego...

– A nie słyszałaś jeszcze najstraszniejszego. Czy nazwisko Hill coś dla ciebie znaczy?

– Nie. A powinno?

– To nazwisko twojej rodziny. Ze strony Madlyn. Twój dom zbudowali Hillowie.

Założyłam ręce na piersi, jakbym obejmowała samą siebie.

– Czy moja matka zajmowała się tymi grobami? To dowodzi, jak żywotną naturę ma ból, prawda? Ktoś nadal myśli o tych od dawna nieżyjących dziewczynkach, choć nie mógł ich znać.

Drzewa rozstały się, ukazując potężny budynek w stylu Tudorów oraz stajnię, zupełnie niepodobne do lichych, drewnianych domków, które stały po tamtej stronie wyspy. Te budowle wyglądały solidnie, męsko i królewsko, jak prosto z baśni braci Grimm. Zatrzymaliśmy się przy stajni, gdzie pracownik zajął się Bellą. Znajdowało się w niej wiele podobnych konnych pojazdów. Will pomógł mi wysiąść i razem poszliśmy do głównego wejścia.

– Kurczę – przerwałam milczenie. – Co za widok.

– Cieszę się, że ci się podoba – powiedział Will z uśmiechem. – Niemiecki przemysłowiec wznosił tę budowlę pod koniec osiemnastego wieku jako pałacyk myśliwski. Potem budynek przejmowali kolejni spadkobiercy, ale przez prawie wiek stał pusty, aż wreszcie obecny właściciel

kupił go i odremontował. Zrobił tu zajazd i restaurację, według mnie najlepszą na wyspie.

Weszliśmy przez ogromne podwójne drzwi. Stanęliśmy w korytarzu wykładanym ciemną drewnianą boazerią. W holu wisiał kandelabr ze świecami, podobny do tego w domu Madlyn. Ich łagodne migotliwe światło rzucało refleksy na ściany. Po lewej stronie znajdował się bar, w którym paru mężczyzn piło – jak mi się wydawało – aperitify.

Na nasze powitanie wyszedł człowiek we fraku.

– Pan Archer, panna Crane... Miło mi państwa widzieć. – Jak przyjemnie zostać powitany z takim szacunkiem. Will pewnie podał mu moje nazwisko podczas robienia rezerwacji. Kierownik sali uśmiechnął się przez ramię i zaprowadził nas do głównego pomieszczenia restauracji. – Proszę za mną.

Potężny kamienny kominek zajmował całą ścianę. Nad nim wisiał łeb dzika. Długie, ciemne drewniane belki ciągnęły się pod sufitem. Jedyne źródło światła stanowiły kandelabry – takie, jak ten w holu – oraz świece na stołach. Ściany zostały pomalowane na ciemnoczerwony kolor, a w niektórych oknach znajdowały się witraże, ale przy braku światła dziennego nie widziałam, co przedstawiają.

Ze zdziwieniem zauważyłam, że wszystkie stoły są zajęte. Nie spodziewałam się, że o tej porze roku na wyspie zostało tyle osób. Ludzie rozmawiali i śmiali się, ale wysoki sufit sprawiał, że gwar wydawał się stłumiony.

„Wyglądają na takich szczęśliwych” – pomyślałam, kiedy kierownik sali przysunął mi krzesło. Goście pozdrawiali mnie skinieniem głowy lub uśmiechem. Jeśli wiadomość o moim powrocie do nich dotarła, to najwyraźniej nie byli tym wstrząśnięci. W migotliwym blasku świec

wydawało się, że w powietrzu unosi się mgiełka, zniekształcająca twarze ludzi, jakbym patrzyła na nich przez szkło powiększające.

– Na co masz ochotę? – Głos Willa wyrwał mnie z zamyślenia. – Mają tu dobre steki.

Rzeczywiście, okazały się pyszne. Przy kolacji rozmawialiśmy na różne tematy, od życia na wyspie po politykę i ulubione filmy. Podzieliliśmy się różnymi historiami, tymi zabawnymi i tymi smutnymi. Ja opowiedziałam mu o rocznej podróży po Europie i o moim małżeństwie, on mnie o czasach studiów i o tym, jak prawie utonął, porwany prądem koło brzegu wyspy.

Czułam, że atmosfera między nami się zmienia, że tworzy się w niej coś namacalnego, naładowanego energią, prawdziwego. Parę lat temu pomyślałabym, że właśnie się zakochuję. Teraz byłam ostrożniejsza.

Kiedy skończyliśmy jeść, kelner przyniósł rachunek.

– Może skoczysz do baru po grzany koniak? – zaproponował Will. – Dzięki temu nie zmarzniemy, wracając do domu.

Grzany koniak na drogę. Bajeczny pomysł.

– Kapitalny koncept, łaskawy panie. – Z uśmiechem poszłam do baru, a on ruszył do drzwi.

Gdy wyszłam na zewnątrz, w twarz uderzył mnie lodowaty wiatr. Will pomógł mi wsiąść do bryczki. Otulił mnie grubym wełnianym kocem i dopiero potem zajął miejsce obok. Podałam mu kubek z alkoholem i sama pociągnęłam spory łyk. Ciepły, korzenny płyn rozgrzał mnie od środka.

– To jeden z plusów posiadania konnego powozu – powiedział i stuknęliśmy się kubkami w toaście. – Można się napić w drodze powrotnej.

Gdy w końcu zatrzymaliśmy się przed domem, ucieszyłam się, że zostawiłam światło w tyłu pokojach. Ciepły, żółty blask z okien zapraszał do przytulnego wnętrza.

– Dziękuję. Świetnie się bawiłam – powiedziałam, biorąc torebkę i zdejmując koc z kolan.

– A ja dziękuję tobie – odpowiedział Will cicho. Wyciągnął rękę i ujął pasmo moich włosów. Owinął je sobie wokół palca, a potem puścił i pochylił się, żeby mnie pocałować.

Zeszywniałam i cofnęłam się gwałtownie. Wyskoczyłam z bryczki, pospiesznie pożegnałam się i wbiegłam po schodkach.

12

Przyniosłam ci prezent powitalny! – oznajmiła Mira następnego popołudnia. Stała na ganku, trzymając wiklinowy kosz. – Witaj na wyspie!

– Wielkie dzięki! – zawołałam, przyjmując koszyk, cięższy, niż się spodziewałam. – To bardzo miłe.

Przez chwilę stałyśmy w progu, uśmiechając się ze skrępowaniem.

– Wejdz, wejdz! – powiedziałam w końcu.

Poszłyśmy do kuchni, gdzie postawiłam czajnik na gazie i otworzyłam kosz. Znalazłam w nim obrus w czerwono-białą kratkę i same delikatesy: wykwintne ciastka, zupę, chleb z kardamonem, miejscowe dżemy i salsę, garnuszek z kremem cytrynowym – i nawet butelkę czerwonego wina.

Wzruszyło mnie, że Mira zadała sobie trud wyszukania tych przysmaków, zwłaszcza że rozstałyśmy się w dość chłodnej atmosferze.

Podalam jej kubek herbaty, który uniosła w górę.

– Za twój nowy początek!

Nowy początek. Tak właśnie było. Do tej pory o tym nie pomyślałam. Tak mnie zaprzętały sprawy śmierci, że nie zauważyłam, iż zaczynam budować na wyspie własne życie – choćby na małą skalę. I szło mi całkiem nieźle.

– Może wypijemy herbatę na werandzie? – zaproponowałam.

– To wspaniałe miejsce – odezwała się Mira po drodze. – Dawno go nie odwiedzałam.

Miałam wrażenie, że to właśnie – przynajmniej częściowo – powód jej wizyty. Chciała zajrzeć do domu Madlyn. Chciała też dowiedzieć się, co zamierzam. Co zrobię z domem? Urządę w nim zajazd? Zamieszkać w nim?

Z pewnością te sprawy ją ciekawiły. Ale to mi nie przeszkadzało. Cieszyłam się z gościa, nawet lubiącego plotki.

Przez następną godzinę rozmawialiśmy, a Mira objaśniała mi realia życia na wyspie: śmieci wywozi się w czwartki, winiarnia na Main Street w niedziele jest zamknięta, Henry nie lubi zabierać ludzi na drugą stronę wyspy, więc nie powinnam go o to prosić. Przyznałam, że nie zrobiłam jeszcze długoterminowych planów, ale na razie postanowiłam zostać.

– Wspaniale! Cieszę się, że mamy kolejną Crane na wyspie! – zawołała Mira z uśmiechem.

Odeszła, zapowiadając, że w następnym tygodniu spotkamy się na obiedzie. Jej wizyta podniosła mnie na duchu. Nie czułam się już samotnie. Znałam parę osób, a one znały mnie. W następny czwartek wystawię śmieci do wywiezienia. Stopniowo zaczęłam się czuć na swoim miejscu – pomimo niepewności co do wydarzeń sprzed trzydziestu lat i kilku niemiłych spotkań z niektórymi mieszkańcami wyspy.

Dzwonek telefonu wyrwał mnie z zamyślenia. Po raz pierwszy od przyjazdu usłyszałam ten dźwięk i nie od razu podeszłam do aparatu. Pomyślałam o milionie praktycznych rzeczy, które zaniedbałam. Na przykład o rachunkach. Nie wiedziałam nawet, czy Madlyn ogrzewała dom olejem, propanem czy prądem. Zanotowałam w pamięci, żeby przepisać rachunki na siebie i upewnić się, że je uiściłam. Nie chciałam się pewnego dnia obudzić bez światła i ogrzewania.

– Halo? – Nie miałam pojęcia, kto mógłby do mnie dzwonić. Z Willem już rozmawiałam rano – powiedział, że opuszcza wyspę, żeby załatwić jakieś sprawy klienta, a Mira właśnie wyszła. Kto to taki?

– Cześć, Hallie James. Tu Jonah z kawiarni. – Uśmiechnęłam się, słysząc jego głos.

– Witaj, Jonahu z kawiarni.

– Wiem, że powiadamiam cię w ostatniej chwili, ale właśnie zamykam i pomyślałem, że miło byłoby spotkać się w winiarni na Main Street.

Wyjście z domu wydało mi się nagle wspaniałym pomysłem.

– Świetnie!

– Bardzo się cieszę. Za godzinę?

Po przebieżce z psami wokół posiadłości i nałożeniu im jedzenia do misek chwyciłam kurtkę i parasolkę na wypadek deszczu, po czym zbiegłam ze wzgórza. Nie wiedziałam, czym podróżuje Jonah, ale miałam nadzieję, że po spotkaniu odwiezie mnie do domu. Jeśli nie, zawsze zostawał Henry.

Dotarłam do miasta, w chwili gdy się rozpadało. Wchodząc do winiarni, otrząsnęłam w progu parasolkę. Ujrzałam przytulne wnętrze. Wzdłuż ściany z oknami wychodzącymi na ulicę ustawiono ławy, na środku pomieszczenia stoliki, a przed ogromnym, misternie rzeźbionym drewnianym barem (wyglądał na zabytek), wysokie stołki kryte czarną skórą. Na ścianie ciągnęło się długie lustro, a półki z butelkami sięgały aż do sufitu, pokrytego freskiem przedstawiającym, jak sądzę, dawne życie na wyspie. Niewielkie kinkiety na ścianach mżyły ciepłym światłem, a na każdym stoliku i na barze migotały świeczki promieniejące łagodną poświatą. Na końcu długiego stołu siedziało dwóch mężczyzn, których nie znałam z widzenia. Kiedy weszłam, jeden odwrócił się do mnie z uśmiechem. Poza tym nie zauważyłam nikogo.

Usiadłam na stołku po drugiej stronie baru. Względna pustka lokalu sprawiła mi ulgę. Marznący deszcz falami bębnił w szyby. Drzwi otworzyły

się i wraz z podmuchem zimnego wiatru do wnętrza wpadł uderzająco przystojny Jonah.

– Cześć – powiedział, z uśmiechem przyglądając ręką płowe włosy. – Piękna dziś pogoda. Wiatr prawie mnie zdmuchnął do jeziora.

Odpowiedziałam uśmiechem.

– Kubuś Puchatek nazwałby to „wiatrodniem”.

– No tak, ale to było w „wichrodziak” – odparł Jonah z błyskiem w oku. Zaprowadził mnie w stronę stołu z dwiema ławami.

– Pinot?! – zawołał do niego barman.

Jonah spojrzał na mnie, unosząc brwi. Skinęłam głową.

– Całą butelkę, Cal! – odkrzyknął.

Wino, ciepłe i gęste, przyjemnie mnie rozluźniło.

– No to kim jesteś, Hallie James? Skąd pochodzisz?

– Nie wiesz? – rzuciłam przekornie. – Myślałam, że wszyscy tu o mnie mówią.

– No pewnie. Wiemy, że Madlyn była twoją matką i słyszałem plotki o twoim ojcu. Ale to nie zdradza nic o tobie. Przez pół życia mieszkałaś poza wyspą. O tym właśnie chcę usłyszeć.

Miałam ochotę go uściskać. Cudownie, że to powiedział! Gdybyż inni myśleli tak samo...

– No to jaka jest historia Hallie James? – dodał. – Jak wyglądało jej życie na dzikim zachodnim wybrzeżu?

Rozmawialiśmy przy butelce pinota, a potem drugiej, zagryzając chrupiącym chlebem z gorącym sosem z karczochów.

Opowiedziałam Jonahowi o dzieciństwie w Bellingham, o ojcu, o tym, jak się czułam jako jedynaczka samotnego rodzica, i o moich ukochanych

fokach, których szczekanie na kamienistym brzegu cieśniny kołysało mnie do snu. Jonah słuchał z taką fascynacją, jakby była to najciekawsza opowieść świata. Muszę przyznać, że to mi pochlebiło.

–Jeśli mogę spytać... jak umarł twój ojciec? – Jonah oparł brodę na dłoni.

– Wczesny alzheimer – mruknęłam, spuszczać wzrok. – Szybko go zabrał. Po dwóch latach. Pewnie to bardziej miłosierne rozwiązanie. Oczywiście opłakuję jego śmierć, ale rozpaczałam po nim od chwili, gdy oddałam go do domu opieki. A nawet wcześniej, kiedy pojawiły się pierwsze symptomy choroby. Mój ojciec odszedł dawno temu.

– Pewnie dokuczała ci samotność?

–Tak. Odwiedzałam go codziennie po pracy... – westchnęłam, przypominając sobie, ile bólu sprawiały mi te wizyty u człowieka, który mnie nie poznawał – ale to już nie był mój ojciec.

– Miał szczęście, że trafiła mu się tak oddana córka – powiedział Jonah tonem, który przeczył tym życzliwym słowom. Twarz mu się nie zmieniła, a oczy nadal lśniły, ale... nie potrafię tego wyjaśnić. Może to przez wino, może popadałam w paranoję, lecz słowa te zabrzmiały jak oskarżenie. Mój ojciec miał oddaną córkę, a... no nie wiem, ojciec Julie Sutton nie? Tak to odczytałam. Musiałam się otrząsnąć, to było bez sensu. Jonah wydawał się moim rówieśnikiem. Z pewnością nie mógł należeć do tych mieszkańców wyspy, którzy chowali urazę do mojego taty. Mimo to przez chwilę atmosfera między nami się ochłodziła. Zapomnieliśmy o tym, rozmawiając na inne tematy.

Minęło sporo czasu, zanim wyszliśmy z baru. Jonah spytał, czy chciałabym do niego wstąpić na kawę – mieszkał nad kawiarnią. Wypiłam za

dużo na pusty żołądek, co w moim przypadku zawsze gwarantowało złe decyzje.

– Lepiej wróć do domu – oznajmiłam, wczepiona w jego ramię, żeby się nie chwiać. Deszcz już ustał, wiatr się uspokoił, ale nadal panował wilgotny chłód. Mocniej otuliłam się kurtką. – Możemy zadzwonić od ciebie do Henry'ego?

Jonah pokręcił głową.

– Henry już się położył. W sezonie wszędzie roi się od powozów, ale teraz gdy został tylko Henry, trzeba do niego dzwonić wcześniej.

Tego się nie spodziewałam. Nie miałam jak wrócić do siebie. Ponieważ Jonah mieszkał w centrum, nie potrzebował własnego pojazdu. Will opuścił wyspę, a nie chciałam dzwonić o tej porze do Miry. To znaczyło, że nie mam wyboru.

– Wróć do domu na piechotę – powiedziałam, spoglądając na tonące w mroku wzgórze. Ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie. – To nie tak daleko. I muszę się przewietrzyć.

– W takim razie pójde z tobą – oznajmił Jonah, ale to także wydało mi się nierozsądne. Musiałby przejść trzy kilometry w jedną i drugą stronę.

– Dam sobie radę – zdecydowałam. – Sama trafię do domu.

Jonah spierał się ze mną przez chwilę, ale przypomniałam mu, że musi wstać wcześniej do pracy, i w końcu się rozstaliśmy. Bardzo go lubiłam, choć wyczuwałam od niego jakieś dziwne fluidy. Nie mogłam go rozgryźć, lecz jedno wiedziałam na pewno: między nami nie iskrzyło.

Gdy opuściłam jasno oświetloną Main Street, moje oczy nie od razu przywykły do ciemności. Szłam ostrożnie („To tylko trzy kilometry” – powtarzałam sobie) i nie przystawałam, choć z każdą chwilą ogarniał mnie

coraz większy strach. Chmury zasłoniły gwiazdy, księżyc nie oświetlał krajobrazu. Otaczała mnie nieprzenikniona czerń. Miałam wrażenie, że zaciska się wokół mnie.

Idąc, rozmyślałam o spotkaniu z Jonahem. W barze nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz, brnąc przed siebie w chłodną noc, zdałam sobie sprawę, że Jonah zadawał mi mnóstwo pytań, a o sobie nie mówił prawie nic. Opowiedziałam mu historię mego życia, a w zamian nie dowiedziałam się niczego istotnego. Tak mnie pochłoneły moje problemy, że tego nie zauważyłam. Czy to dobrze, czy źle, że milczał na swój temat? Większość znanych mi mężczyzn postąpiłaby dokładnie odwrotnie, włącznie z moim byłym mężem, który ponad wszystko uwielbia gadać o sobie. Richard. Miałam zadzwonić i zdać relację z tego, co się u mnie dzieje. Kazał mi przysiąc, że to zrobię, ale zapomniałam.

Wspinając się, analizowałam spotkanie z Jonahem. Sprawilo mi przyjemność, choć zadawał zbyt osobiste pytania. Jednak nic do niego nie czułam. Na pewno nie to, co budził we mnie Will. Nie, z całą pewnością Jonaha i mnie połączy najwyżej przyjaźń.

Tak mnie zajęły te rozmyślania, że nie usłyszałam zbliżającego się pojazdu. Odwróciłam się i ujrzałam czarnego konia, ciągnącego dwuosobową bryczkę, podobną do tej Willa. Zbliżała się z okropną prędkością, ledwie zdołałam uskoczyć na pobocze drogi. Woźnica, który wydał mi się znajomy – choć nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie go widziałam – zatrzymał konia parę metrów ode mnie. Myślałam, że chce się upewnić, czy nic mi się nie stało, ale on odwrócił się i rzucił niskim, groźnym głosem:

– Nie powinnaś tu chodzić sama, Halcyon. To niebezpieczne. Tu może się wydarzyć wszystko. I po tych słowach odjechał.

Oniemiałam. Co to miało znaczyć? Nie zaproponował, że mnie podwiezie? Wielkie dzięki! Stałam, patrząc na oddalający się pojazd. Czy to się naprawdę wydarzyło? Czy on mi groził?

Rozumiałam, dlaczego miejscowi czują urazę do mojego ojca, ale co ten człowiek miał przeciwko mnie? Rany boskie, miałam pięć lat, kiedy to się wydarzyło! Wiedziałam, że gdy ludzie dowiedzą się, kim jestem, czekają mnie nieprzyjemne sceny – incydent w sklepie spożywczym dał mi przedsmak tego, co nastąpi – ale nie przypuszczałam, że ktoś zechce mi grozić. Pożałowałam, że Will wyjechał.

Oczywiście nie pozostało mi nic innego, jak iść dalej. Wkrótce zobaczyłam mój dom z oświetlonymi oknami na parterze. Zapragnęłam jak najszybciej znaleźć się w jego bezpiecznym wnętrzu. Rzuciłam się biegiem do drzwi wejściowych. Zatrzasnęłam je i zamknęłam na wszystkie spusty. Sprawdziłam okna i inne drzwi, po czym zawołałam psy do sypialni, którą także zamknęłam na klucz. A jednak nie mogłam zapomnieć o niepokojących słowach mężczyzny.

Następnego ranka wyprowadziłam psy i postanowiłam pójść do miasta. Miałam zamiar porozmawiać z Jonahem – może znał człowieka, którego spotkałam w nocy, albo widział opuszczającą miasto bryczkę – ale nie chciałam iść sama. Malamutki, jakby czytając w moich myślach, stanęły przy mnie. Ruszyłyśmy w dół wzgórza. Kiedy dotarłyśmy do kawiarni, położyły się u jej drzwi. Wpadłam do środka. W pomieszczeniu był tylko Jonah. Streściłam mu całe wydarzenie na jednym oddechu.

Jonah uniósł obie ręce, jakby zasłaniając się przed falą moich słów.

– Zwolnij! Jaki mężczyzna?

– Nie wiem. – Zaczęłam krążyć przed ladą. – Chyba go znam, ale nie potrafię sobie przypomnieć skąd. Miał czarnego konia i dwuosobową bryczkę.

Jonah zastanawiał się przez chwilę, mrużąc oczy, jakby w ten sposób łatwiej mu się myślało.

– Przykro mi. Nie mam pojęcia kto to.

– Może powinnam iść na policję – mruknęłam, pocierając czoło.

– I co powiesz? Że ktoś nieznajomy cię postraszył? Patrzył na mnie, rozsądny i racjonalny, a ja miotałam się przed ladą jak uwięziona wilczyca.

– Nie powinnam? Przecież mi groził! Jonah pokręcił głową.

– Twierdzą tylko, że da się to logicznie wytłumaczyć. Może sądzisz, że wszyscy cię obgadują? I wiesz co? To prawda. Stanowisz największą sensację tej wyspy od dziesiątków lat. Ale wkrótce ludzie się uspokoją, wierz mi. I choć w tej chwili plotkują, nikt ci nie zrobi krzywdy. Nikt. Znam tu wszystkich.

– Mówisz jak mój ojciec – mruknęłam. – Zawsze umiał znaleźć racjonalne wytłumaczenie.

Jonah uśmiechnął się i wziął mnie za rękę.

– Bo zwykle takie wytłumaczenie istnieje. Przecież ta droga tonie w mroku. Może ten ktoś przestraszył się, bo zobaczył cię w ostatniej chwili.

Słusznie. Musiałam to przyznać. Jonah pewnie miał rację. Chyba źle zrozumiałam całe zdarzenie. Nagle zawstydziałam się, że zrobiłam taką scenę. Dobrze, że tylko Jonah ją zobaczył.

– Wiesz co? Masz rację. Naprawdę uważam, że wszyscy mnie obgadują i najwyraźniej dostają paranoi. Zapomnijmy o tym, dobrze?

– O nic się nie martw – powiedział, leniwie wycierając blat. – Przestraszyłaś się i tyle.

– Nie będę ci się dłużej naprzykrzać – rzuciłam i ruszyłam do drzwi. Wróciłam z psami do domu tą samą trasą, która wczoraj wydawała mi się tak groźna i złowroga. W świetle dnia przechadzka okazała się całkiem przyjemna. Postanowiłam zapomnieć o incydencie. Ten człowiek nie miał powodu mi grozić, zresztą jak nikt inny. Nie zrobiłam niczego złego... A przynajmniej nic o tym nie wiedziałam.

Po spokojnym weekendzie, który poświęciłam na urządzenie się i czytanie, nadszedł poniedziałek, szary i pochmurny. Leżałam w łóżku, przyglądając się biczom deszczu smagającym szyby. W taki paskudny poranek miło było trochę dłużej zostać pod ciepłą kołdrą. Mogłabym tak spędzić cały dzień, gdybym nie przypomniała sobie, że zaraz przyjdzie Iris. Wyskoczyłam z łóżka, poszłam pod prysznic i – ku mojemu zdumieniu – poczułam, że czekam na to spotkanie z niecierpliwością. Może posiedzimy przy kawie, a ona opowie mi o mamie albo o moim dzieciństwie? Miła odmiana po doświadczeniach z miejscowymi plotkarzami i nawiedzającymi mnie zjawami.

Ubrałam się i zeszłam na dół do kuchni, gdzie zapach zaparzonej kawy obwieścił mi przybycie Iris.

– Dzień dobry, panienko – powiedziała gospodyni z uśmiechem. – Zrobiłam rogaliki, włożyłam pranie do pralki i sprzątnęłam salon.

Już? Jak długo tu była? Dziwne. Weszła tu i krzątała się po domu, kiedy spałam i brałam prysznic?

Dałam sobie spokój, przecież na tym polegały jej obowiązki. Poza tym jedno spojrzenie na kawę i talerz ciepłych rogalików wystarczyło, żebym pozbyła się wszelkich wątpliwości.

– Dziękuję za śniadanie – mruknęłam, ziewnęłam i nalałam sobie kubek kawy. – To wspaniałe. Naprawdę. Zjemy razem?

– Może później, kiedy skończę pracę – odparła gospodyni cierpko. – Muszę jeszcze umyć okna.

A zatem Iris krzątała się po domu, myła okna wodą z octem, odkurzała, rozwieszała pranie i polerowała boazerię, a ja sterczałam bezczynnie, gnębiona wyrzutami sumienia. W dzieciństwie nie zaznałam luksusu posiadania gosposi. A teraz – młoda, zdrowa kobieta – siedziałam bez ruchu na powiększającym się z każdym dniem tyłku i patrzyłam na zaharowującą się, wymizerowaną Iris w długiej czarnej sukni i praktycznych trzewikach. Parę razy oferowałam pomoc, ale odmawiała lodowato.

– To moja praca, panienko. Zajmowałam się tym domem, kiedy jeszcze nie było cię na świecie. Pozwól mi pracować tak, jak lubię.

Proszę bardzo. Wycofałam się do swojego pokoju. Niech Iris poleruje tu wszystko przez cały dzień, skoro tak chce. Nie musiałam nad nią czuwać.

Rozpaliłam ogień w kominku i przez całe przedpołudnie czytałam dobrą książkę, skulona przy oknie. Od czasu do czasu patrzyłam, jak deszcz smaga powierzchnię jeziora. Takie poranki kocham najbardziej: gdy pogoda nie sprzyja temu, by zająć się czymś pożytecznym, jak ćwiczenia albo pielenie ogrodu.

Zadzwonił telefon. – Wiem, kogo spotkałaś w nocy – powiedział Jonah. – Mówisz o tym facecie w powozie, który chciał mnie rozjechać?

– To John Stroud. I nie zamierzał cię przejechać. Był w kawiarni, gdy zjawiałaś się w niej po raz pierwszy. Dziś też przyszedł i opowiedział mi, co się stało. Zobaczył cię w ostatniej chwili. Przestraszył się na śmierć. Mało nie dostał zawału.

– Ja przestraszyłam je go ?

– Kazał mi przekazać, że cię przeprasza.

– No myślę.

– Więc tajemnica się wyjaśniła. Nie chciał cię skrzywdzić. To wypadek. Przestań już o tym myśleć.

Chciałabym, żeby mieszkańcy wyspy zrobili to samo. Zamierzali mnie nienawidzić do końca życia? A może tylko wydawało mi się, że czuję ich dezaprobatę, bo miałam wyrzuty sumienia z powodu roli, jaką odegrałam w zabójstwie Julie Sutton? Czy w ten sposób ujmowałam się za ojcem?

Nie wyjawiałam tych myśli Jonahowi. Pogawędziliśmy od niechcienia, po czym zaproponował, żebym wkrótce do niego wpadła.

– Postawię ci latte – obiecał i odłożył słuchawkę. W pokoju rozległy się jakieś trzaski, a potem głos:

– Panienko, obiad podany.

Rozejrzałam się i zauważyłam na ścianie mały interkom. Podbiegłam do niego i wcisnęłam guzik.

– Dziękuję! – rzuciłam za głośno. – Zaraz zejść.

Zbiegając po schodach, poczułam smakowity zapach. Na kuchence stał garnek z gęstym gulaszem, a Iris wyjmowała właśnie z piekarnika bochenek świeżego, chrupiącego chleba. Na stole było jedno nakrycie.

– Nie zjesz ze mną? – spytałam. – Pewnie zgłodniałaś po takiej pracy.

– Już zjadłam, panienko – oznajmiła gospodyni. Nałożyła gulaszu do małej ceramicznej miseczki i postawiła ją przede mną wraz z koszykiem z paroma kromkami ciepłego chleba oraz maselniczką. – To twój obiad. Ale chętnie wypiję filiżankę herbaty. Zdaje się, że chciałaś posłuchać historii swojej rodziny. Już tylko ja mogę ci ją przekazać. W przeciwnym razie zostanie zapomniana na zawsze.

Deszcz bębnił o szyby za naszymi plecami. Nabrałam na łyżkę parującego gulaszu, a Iris zaczęła opowiadać.

TTLR

CZEŚĆ DRUGA

13

Hannah i Simeon Hillowie, twoi pradziadkowie, przybyli na wyspę jako nowożeńcy w początkach zeszłego stulecia. Hannah miała zaledwie siedemnaście lat. Simeon o wiele więcej – trzydzieści, może trzydzieści pięć. Mógł być nawet jeszcze starszy. Oboje leżą na cmentarzu po drugiej stronie wyspy. Widziałaś go?

– O, tak. Niedawno koło niego przejeżdżaliśmy.

– Dobrze. Znajdziesz na ich nagrobkach dokładne daty narodzin i śmierci. W każdym razie Simeon urodził się o wiele wcześniej niż jego oblubienica. W chwili ślubu posiadał już spory majątek. Zaczął go gromadzić dziesięć lat wcześniej. Założył wtedy z braćmi tartak, a potem przejął go na własność. Dużą część spadku zawdzięczasz Simeonowi Hillowi, który rozważnie ulokował swoje oszczędności.

Rozejrzałam się po wspaniałej kuchni i w duchu podziękowałam przedsiębiorczemu pradziadkowi. Tymczasem Iris pociągnęła łyk herbaty i mówiła dalej, spoglądając przed siebie zamglonymi oczami.

– Zatem Simeon przywiózł nowo poślubioną małżonkę na tę wyspę. W owych czasach już od stu lat handlowano tu futrami, jednak w początkach dwudziestego wieku traperzy znikli, a Grand Manitou zaczęła się zmieniać w letnisko dla bogaczy z Chicago, Minneapolis i innych miast. Simeon przyjechał tu parę razy w interesach, zakochał się w tej okolicy i zbudował wspaniały dwór dla swojej młodej żony. – Jak wyglądała wtedy wyspa?

– Mniej więcej tak jak teraz. Dostojne budowle, bogaci ludzie, konie i powozy. Przez sto lat niewiele się zmieniło. Pod tym względem to zaczarowane miejsce. Oczywiście i tutaj mija czas, ale inaczej niż gdzie indziej.

Iris odkasznęła, wypła trochę herbaty i opowiadała dalej:

– Małżeństwo Simeona i Hannah należało do udanych – pomimo różnicy wieku. Powszechnie wiedziano o ich wzajemnym oddaniu. On był bardzo przystojny. Wysoki, ciemnowłosy, o oczach mrocznych jak jezioro w listopadowy dzień, Hannah zaś, choć nie wyróżniała się urodą, miała najwspanialsze włosy wśród kobiet na wyspie – gęste, kędzierzawe, kasztanowe, jak twojej matki – i zwykle nosiła je rozpuszczone, a nie upięte w kok, jak nakazywała ówczesna moda. Była młoda i energiczna, pełna życzliwości dla ludzi, dlatego cieszyła się sympatią i poważaniem.

Iris spojrzała na mnie, mrużąc oczy. – Widzisz ich, dziecko? Widzisz Hannah i Simeona?

Co to miało znaczyć?

– Tak, potrafię ich sobie wyobrazić – powiedziałam, szukając odpowiednich słów.

– Dobrze, dobrze. Choć byli szczęśliwi, brakowało im jednego, by rodzina stała się pełna: dziecka. Minał rok, potem drugi i trzeci i wkrótce ludzie zaczęli plotkować.

Kobiety dawały biednej Hannah najróżniejsze rady. „Jedz więcej słonych potraw” – szepnęła jedna pewnej niedzieli po nabożeństwie. „Idź do niego przy pełni księżyca” – powiedziała druga.

Oczywiście żaden z tych zabobonów na nic się nie zdał i Hannah była coraz bardziej zdesperowana. Wiedziała, że Simeon pragnie nowego pokolenia Hillów, które pewnego dnia przejmie dom i interesy. Ale im dłużej bezskutecznie czekała na

stan błogosławiony, tym bardziej się bała, że Simeon znajdzie inny sposób – nową żonę. Coś takiego się już zdarzyło na wyspie. Trzy lata wcześniej Hannah patrzyła ze zgrozą, jak Sandra Harrington wsiada na prom, z bagażami w rękach i twarzą ukrytą za woalką. Nie wróciła. Parę miesięcy później jej mąż przywiózł nową oblubienicę, z którą zamieszkał w domu zbudowanym dla Sandry, i zajął się powiększaniem rodziny.

– Straszne! – odezwałam się, wyobrażając sobie upokorzenie biednej, odtrąconej Sandry.

– Wierz mi, kobiety niemogące dać mężom dziedzica spotykał jeszcze gorszy los. Sandra miała szczęście, że dostała hojną sumkę na życie. Mogła zginąć w tajemniczych okolicznościach.

Zadrżałam.

– Dlaczego nie adoptowali dziecka?

– Tego się wtedy nie robiło. Bogaci mężczyźni chcieli mieć własnych potomków, krew z krwi, i nie wybacжали kobietom, które nie mogły im dać potomstwa. Hannah nie zamierzała dopuścić, by ją to spotkało – za bardzo kochała swego męża więc zdecydowała się na drastyczny krok.

Iris zniżyła głos, jakby zdradzała mi jakąś tajemnicę.

– Pewnego popołudnia, gdy Simeon wypłynął z wyspy, Hannah zapukała do drzwi miejscowej zielarki Martine Bertrand, Kanadyjki z francuskiej rodziny. Martine przyjechała tu przed pięćdziesięcioma laty wraz z mężem, handlarzem futer. Miejscowi uważali, że kobieta para się czarami. – Oczy Iris błysnęły. – Dzieci nazywały ją wiedźmą z Letniej Polany.

Głęboko w cedrowym lesie po drugiej stronie wyspy kryło się pozbawione drzew miejsce, przez które przepływał strumyk. Tam właśnie Jacques Bertrand zbudował chatkę dla siebie i żony. Ale to wydarzyło się dawno, przed

przyjazdem Hannah na wyspę. Martine była teraz staruszką, od dziesiątków lat żyjącą samotnie na Letniej Polanie.

Krążyło o niej wiele opowieści, które z czasem stawały się coraz ciekawsze. Dzieci zakradały się do lasu, żeby na nią spojrzeć, choć bały się, że je przepędzi. Mówiły, że to złośliwa wiedźma, źle życząca tym, którzy zmienili jej zacisze w letnisko dla bogaczy.

– Wiedźma? Proszę cię. Chyba w to nie wierzysz.

– Oczywiście, że nie, dziecko – powiedziała Iris z uśmiechem. – To wszystko tylko historyczne bzdury. Martine zajmowała się zielarstwem, umiała przyrządzać napary i wyciągi z tego, co znalazła na ziemi i w wodzie. Miała wielką, prastarą wiedzę.

Choć nikt by tego nie przyznał głośno, wiele pań z towarzystwa odwiedzało ją potajemnie, kryjąc twarze w kapturach peleryn. Niektóre prosiły o eliksir miłosny, który rozpali serce obojętnego mężczyzny, inne o lek na uporczywy kaszel. Jeszcze innym chodziło o mieszankę ziołową, która obniży gorączkę dziecka albo o herbatkę na problemy kobiece. Martine zawsze dawała im to, czego chciały, i nigdy nie prosiła o nic w zamian – ani o pieniądze, ani o polecenie jej innym, ani nawet o dobre słowo.

Ale w miasteczku rozeszła się pogłoska, że Martine jednak wyznacza cenę za swoje usługi. Mówiono, że czasem dodaje do eliksirów złośliwe czary, by jednocześnie leczyły i powodowały chorobę. Ktoś pozbywał się gorączki wraz z głosem. Chore dziecko nabierało sił, by bawić się na dworze, i spadało z pierwszego drzewa, na które się wspięło.

– Przecież to nieprawda – szepnęłam. Zrobiło mi się zimno na samą myśl, że moja prababka szukała pomocy u takiej kobiety. Historia zaczęła się stawać dziwnie ponura. Czy Iris nie dała się ponieść wyobraźni?

– Sama nie wiem, w co wierzyć. – Iris przyjrzała mi się podejrzliwie, jakby czytała w moich myślach. – Wiem tylko, co spotkało Hannah. Gdy wszystko zawiodło, a lekarze mogli jej zalecić jedynie modlitwę, gdy ostatnia nadzieja na posiadanie dziecka umarła, Hannah włożyła szkarłatny płaszcz, zakradła się do stajni, osiodłała konia – twoja prababka była wspaniałą amazonką – i pojechała na Letnią Polanę, by odwiedzić Martine.

Spojrzenie Iris stało się mroczne i tajemnicze.

– Zielarka już czekała w kuchni. Otworzyła drzwi. Tak niskie, że twoja prababka musiała się pochylić. Hannah znalazła się w malutkiej kuchni. Na piecu w wielkim żeliwnym saganie coś bulgotało.

– Więc wreszcie do mnie trafiłaś – odezwała się Martine. – Niczego ci nie brak, by urodzić dziecko mężowi. To on nie może ci go dać.

Hannah osłupiała.

– Ale wiem, jak mu pomóc. – Staruszka uśmiechnęła się chytrze i wyszła, a po chwili wróciła z małym płóciennym woreczkiem. Otworzyła go i pokazała suche listki i nieznane zioła.

– Twój mąż lubi herbatę, prawda?

Hannah przytaknęła. Simeon pijał rano i po południu świeżo zaparzoną herbatę. Przejął to przyzwyczajenie po matce, Angielce.

– Przez trzy dni z rzędu dodawaj rano łyżeczkę tego do herbaty – poleciła Martine. – Mąż nie poczuje zmiany smaku ani zapachu. Trzeciego dnia wieczorem idź do niego, a poczniesz.

Hannah spojrzała na tę zgarbioną, chudą staruszkę w czarnym szalu i nagle straciła odwagę. Czy naprawdę powinna to zrobić? Czy to nie występek przeciwko Bogu i naturze?

– Czy to... czary? – spytała.

Martine uśmiechnęła się lekko.

– Zależy. Znam pewne tajemnice, dzięki którym potrafię przyrządzać leki z tego, co znajdę w dolinie. Korzystam z darów Boga. Jeśli chcesz to nazwać czarami, niech tak będzie...

Hannah skinęła głową, nieco uspokojona. Ostrożnie przyjęła woreczek.

– Czy na pewno nie zaszkodzę mężowi?

– Te rośliny pomogą mu płodzić dzieci. I nie tylko raz, ale aż do śmierci – oznajmiła Martine z mocą. – Zmienią go na zawsze – stanie się płodny jak każdy inny mężczyzna. Urodzisz tyle razy, ile zechcesz. A on nie dozna żadnej szkody ani nie zmieni się pod innym względem. Daję ci na to moje słowo.

– Od tak dawna pragnę dziecka – szepnęła Hannah, patrząc na zawartość woreczka.

– Uważaj, czego sobie życzysz – ostrzegła Martine. – A teraz mnie posłuchaj. Powiedziałam, że ta herbatka nie zaszkodzi twojemu mężowi, i to prawda, lecz musisz wiedzieć jedno: on nie powinien mieć potomka. Jego rodowi pisane jest wygaśnięcie. Używając ziół, które ci dałam, przyzwiesz pewne siły wbrew temu, co zamierzyła natura. Tego nie da się cofnąć.

– Tak. – Hannah skinęła głową lekliwie. – Dlatego przyszłam.

– Ale musisz zrozumieć, że dziecko sprowadzone na świat w ten sposób, dzięki – jak to nazywasz – magii, będzie nieprzewidywalne. Może ci się urodzić demon lub anioł albo coś pomiędzy, nigdy nie zyskasz pewności. Dzieci poczęte za sprawą czarów są czarownicami, podobnie jak ich dzieci i dzieci ich dzieci. Od ich duszy zależy, czy staną się dobre, czy złe. Nikt nie zdoła okiełznać tak narodzonej istoty. Twoje dzieci i ich potomkowie otrzymają ten dar lub przekleństwo...

– I znowu mówisz o czarach! – przerwałam. – To brzmi jak baśń braci Grimm.

– A jednak to historia twojej rodziny. – Iris spojrzała mi prosto w oczy. –
Lepiej mnie wysłuchaj, dziewczyno.

Skinęłam głową i oplotłam się rękami. Nagle zrobiło mi się zimno.

– Przepraszam. Mów dalej.

– Hannah wysłuchiwała Martine, ale pomyślała, że to samo można powiedzieć o każdym dziecku. Kto potrafi przewidzieć, jakie się stanie? Dobre czy zbuntowane, jasno– czy ciemnowłose, silne czy chorowite? To wszystko jest w rękach Boga – a w każdym razie tak sądziła Hannah. Martine właściwie też tak powiedziała, prawda? Twoja prababka w desperacji w to uwierzyła. Zawahała się tylko przez chwilę, po czym schowała woreczek do kieszeni i dosiadła konia.

Przez następne trzy dni Hannah dodawała tych ziół do porannej herbaty swojego męża i, tak jak przewidziała Martine, trzeciej nocy poczęła. Wiedziała o tym od pierwszej chwili, gdy w głębi ciała poczuła skurcz niczym małą eksplozję. Dziewięć miesięcy później na świat przyszły trojaczki: Penelope, Persephone i Patience.

– Słyszałam o nich! – ożywiłam się nagle. – Will Archer znalazł ich groby. Umarły bardzo młodo. Co się z nimi stało?

Iris uśmiechnęła się niewesoło i pokręciła głową.

– W tym miejscu opowieść staje się nieco upiorna – powiedziała powoli, popijając herbatę. – Wiesz, co ludzie mówili o Martine – że jej lekarstwa zawsze miały swoją cenę. W tym przypadku okazało się, że to prawda. Simeon i Hannah gorąco kochali swoje córki, ale trzeba przyznać, że dziewczynki miały w sobie coś niesamowitego. Od wczesnego dzieciństwa psociły i zachowywały się jak małe diabełki. Szczypały się w łóżeczku, spychały ze schodów, straszyły matkę, udając, że któraś z nich nie żyje.

Moja mina chyba zdradziła, że po plecach przeszedł mi dreszcz, bo Iris dodała szybko:

– O, nie były to złe dzieci, tylko rozbrykane i nieposłuszne. I uparte. Nie miały podłego charakteru. Ale też nie przypominały swoich rówieśników – przeważnie grzecznych i cichych. Nigdy nie było wiadomo, gdzie je zanieś. Hannah i Simeon nieźle się przez nie nacierpieli. Dziewczynki uwielbiały bawić się w chowanego w domu i na terenie posiadłości, a biedna Hannah nieustannie ich szukała.

Iris zaniósła się brzydkim, bulgoczącym śmiechem, którego miałam nadzieję więcej nie usłyszeć.

– Nie wydają się wyjątkowe. Mam przyjaciółki, których dzieci dokazują o wiele bardziej.

– Nie chodzi o samo nieposłuszeństwo – powiedziała Iris, kręcąc głową – ale też o ich niezwykłość. Czasem można było odnieść wrażenie, że to jedna osoba w trzech ciałach. Dziewczynki nie rozstawały się ze sobą ani na krok, a kiedy wołało się którąś z nich, odzywały się wszystkie i przychodziły z identycznym wyrazem twarzy. Wiem, że brzmi to jak bajka, ale wydawało się, jakby miały jedną duszę. Oczywiście to niemożliwe.

– Oczywiście – mruknęłam.

– Powinnaś wiedzieć o nich jeszcze jedno – były niemal przezroczyste. Przez ich cieką jak bibułka skórę prześwitywały niebieskie żyły. Miały oczy tak jasnoblękitne, że prawie bezbarwne, i zupełnie białe włosy. Całkiem jakby Hannah urodziła trzy upiory.

– Will powiedział, że dziewczynki umarły w dzieciństwie.

– Kiedy skończyły osiem lat, nad wyspą rozpętał się dziwny sztorm. Ludzie z miasteczka uważali, że spowodowała go Martine, ale oczywiście

poniosła ich wyobraźnia. Sztormy zrodzone nad jeziorem uderzają w wyspę w najmniej oczekiwanych momentach. Ten pojawił się pewnego pięknego dnia w początkach listopada. Siostry bawiły się na dworze tuż nad klifem. Hannah przygotowywała kolację – w tej samej kuchni, w której teraz siedzimy. Nagle nadciągnęła burza. Nikt się jej nie spodziewał. W tamtych czasach, gdy nie znano prognoz pogody, takie sytuacje zdarzały się często.

Przypomniałam sobie jak przez mgłę jakieś dawno zasłyszane informacje.

– Mówisz o sztormie z 1913 roku? Gdzieś o nim czytałam.

Iris skinęła głową.

– Był to największy kataklizm, jaki spadł na naszą wyspę –i na całe Wielkie Jeziora. – Iris przez chwilę milczała, a gdy odzyskała panowanie nad sobą, podjęła opowiadanie:

– Takie dni – względnie pogodne, jak zwykle w początkach listopada – wywabiają rybaków i żeglarzy na jeziora obietnicą spokojnych wód i łagodnej temperatury, by w chwili gdy znajdują się daleko od brzegu, nagle zaskoczyć ich śmiertelnym zagrożeniem. Liście już dawno opadły, a obnażone gałęzie, sękate i cienkie, stały się równie bezbronne wobec nieuchronnego wichru i śniegu jak mieszkańcy wyspy.

Ale tego dnia ziemi nie przykrywała jeszcze biała pierzynka, słońce stało wysoko na błękitnym niebie, a wietrzyk ledwie dawał się wyczuć.

– Tak jak teraz – zauważyłam.

– Otóż to. Ludzie wykorzystywali tę nieczęstą pogodę, wybierając się na ostatnią rowerową przejażdżkę w sezonie, wieszając na dworze pranie, by przeszło zapachem świeżego powietrza, wietrząc domy, zanim zamkną okna na sześć zimowych miesięcy.

Właśnie dlatego Hannah Hill nie broniła córkom bawić się po szkole na dworze i nie wymagała, żeby pomagały jej w domowych pracach. „Niech dokazują jak najdłużej” – pomyślała, zadowolona, że na parę godzin dadzą jej spokój. Tego popołudnia mąż miał wrócić ze stałego lądu i chciała wszystko przygotować na jego przyjazd.

Dzień był tak pogodny, że dziewczynki nie włożyły płaszczy, gdy pobiegły na klif oddalony o jakieś sto metrów. Hannah posprzątała salon i zajęła się kolacją. Poza sezonem pozwalała służącym na częstsze wychodne, by mogli odwiedzać rodzinę na drugim brzegu, i tym razem także tak zrobiła. W przeciwieństwie do wielu kobiet z jej sfery potrafiła dobrze gotować i dbać o dom. Lubiała tę cichą krzątaninę wokół przygotowywania idealnego posiłku dla Simeona oraz tworzenia przytulnej atmosfery, by mąż poczuł się dobrze po powrocie z podróży. W ten sposób wyrażała swoją miłość.

Przyrządziła zapiekankę z mięsem, ulubione danie Simeona. Chciała, żeby powitał go zapach świadczący o jej troskliwości. Krojąc cebulę, ziemniaki i marchew, nie spodziewała się, że jej życie za chwilę przybierze przerażający obrót. Jak zwykle, prawda? Katastrofy spadają bez uprzedzenia, gdy zajmują nas sprawy codziennego życia.

Skinęłam głową, myśląc o dniu, w którym rozpoczęła się moja rewolucyjna podróż.

– Stojąc w ciepłej kuchni, przy gorącym piecu, nie zauważyła, że temperatura na zewnątrz gwałtownie spadła. Inaczej zawołałaby córki. Usiadłyby przy ogniu, całkiem bezpieczne w fortecy domu zbudowanego przez jej męża.

Oczywiście gdyby Hannah wiedziała, że na jeziorach od wielu dni szaleje sztorm, który zabił już wiele osób i szybko przesuwa się na wschód ku wyspie, nie

pozwoiliaby dzieciom zostaó na dworze. Ale nie miała o niczym pojęcia i trojaczki bawiły się na klifie w swoją ulubioną grę – „ciepło–zimno”.

Dwie dziewczynki znalazły kryjówki, z których wołały do trzeciej, a tymczasem sztorm sunął przez Wielkie Jeziora, niszcząc wszystko na swojej drodze. Ogromne zadymki pochłaniały całe miasta, huraganowe wichry wybijały szyby i wrywały kamienie z bruku. Szczęściarze, którzy znajdowali się w domach, zostali w nich uwięzieni. Ci, których kataklizm zaskoczył na ulicy, ginęli bez śladu.

Ale to nie śnieg i wicher stanowiły największe zagrożenie. W początkach listopada jeziora nie skuwał jeszcze lód, dlatego ogromne zimne fale, wyższe od czteropiętrowych budynków, runęły na brzeg, niszcząc przystanie, mola i falochrony.

Skuliłam się, podciągając kolana do brody.

– Nie potrafię sobie wyobrazić tak gwałtownego sztormu. Iris pokręciła głową.

– To potęga natury, dziecko. Fale spadały na statki i w jednej chwili zmieniały je w bryły lodu. Tego dnia zatoneło ich dziesiątki, nie wspominając już o małych rybackich łódkach. Setki osób straciło życie. W tym również trzy dziewczynki bawiące się na dworze, gdy ten morderczy sztorm dotarł wreszcie do wyspy Grand Manitou.

Dopiero teraz zorientowałam się, że wstrzymuję oddech. Zrobiło mi się tak zimno, jakbym poczuła tamten lodowaty wicher.

– Trojaczki Hillów me od razu zamarzyły na śmierć. Zanim spostrzegły, co się dzieje, nawałnica już je otoczyła. Temperatura gwałtownie spadła, zerwał się wicher. Gdyby dziewczynki od razu poszły do domu, ocaliłyby życie. Dorosłyby, wyszły za mąż, urodziły dzieci. Ale stało się inaczej.

Persephone pierwsza zauważyła parowiec, którym potężne fale miały o kamienie przy brzegu jak zabawką. Wszystkie zrozumiały z przerażeniem: ich ojciec

miał wrócić do domu właśnie na tym statku. Pomimo zimna i wichru siostry zbiegły ścieżką z klifu na brzeg. Naiwnie sądziły, że zdołają jakoś pomóc. Krzyczały: „Papo!”, ale ich głosy tonęły w ryku wichru. Mogły tylko patrzeć, struchlałe, jak lodowata fala spada na statek i pokrywa go – wraz z pasażerami – grubą warstwą lodu. Jednak dziewczynki czekał los o wiele gorszy niż ich ojca i ludzi na parowcu.

Trojaczki stały na brzegu, o parę kroków od jeziora, gdy nagle otoczyła je zadymka.

Burza śnieżna na Wielkich Jeziorach to zjawisko straszne, lecz tym razem była dziesięć razy gwałtowniejsza niż zwykle. Śnieg niesiony porywistym wichrem sypał tak gęsto, że dziewczynki nie mogły otworzyć oczu. Zrobiło się zupełnie białe. Nawet gdyby któraś zdołała unieść powieki, nie sięgnęłaby wzrokiem dalej niż za czubek własnego nosa.

Ruszyły – potykając się, zmarznięte, przerażone, trzymając się nawzajem kurczowo – w stronę klifu, lecz nie umiały trafić do domu. Zgubiły się, pożarte przez tego białego potwora. Więc przywarły do kamiennej ściany w nadziei, że ktoś przyjdzie im na pomoc.

Ale nikt się nie zjawił. Wkrótce ogromne fale, które rzuciły parowiec na skały, dotarły na ląd. Uderzały zaciekle o brzeg i po chwili tulące się w objęciach siostry zostały uwięzione w bryle lodu.

Tymczasem ich matka wybiegła na dwór zdjeta trwogą. Przypadkiem spojrzała w okno i ze zgrozą ujrzała szalejącą burzę śnieżną. Chwyła szal i wyskoczyła na zawieruchę, wykrzykując imiona dziewczynek: „Persephone! Penelope! Patience!”. Z każdą chwilą coraz bardziej zrozpaczona, ona także zgubiła się w kłębach śnieżnych płatków. Gdzie jej dom? Gdzie dziewczynki? Nie widziała nic na wyciągnięcie ręki, a kryształki lodu uderzały z taką

gwałtownością, że zostawiały na skórze małe ranki. Na tym wicherze trudno było iść, więc Hannah zgięła się wzdłuż, ale nie zawróciła. Nie mogła zostawić swoich córeczek samych na burzy. Łzy zamarły jej na policzkach, twarz zastygła w okropnym grymasie.

Mnie także w oczach stanęły łzy. Kiedy sięgałam po serwetkę, Iris podała mi starą koronkową chusteczkę. Materiał pachniał jak ona, różami i kurzem.

– Wiem, dziecko – powiedziała z łagodnym wyrazem twarzy, który widziałam u niej po raz pierwszy. – Wiem.

Zaczekała, aż wytrę nos i oczy, a potem podjęła opowiadanie:

– Hannah Hill nie wiedziała, że idzie prosto na klif. Runęłaby w przepaść, gdyby przez wycie wichru nie przebił się ledwie słyszalny szept. Wstrzymała oddech i zaczęła nasłuchiwać:

„Idziesz w złą stronę! – szemrały głosy. – Zimno! Lodowato!“. A potem śmiech. „Czy to dzieci się bawią?“ – pomyślała i ruszyła na oślep w kierunku, z którego dochodziły dźwięki.

– Dziewczynki? Gdzie jesteście? „Ciepłej! “ – usłyszała.

– Dziewczynki! Przestańcie się bawić i wróćcie do domu! „Ciepło, mamó, coraz ciepłej!“.

I tak Hannah szła, krok za krokiem, pod wiatr, a głosy nie milkły – „Gorąco! Parzy!“ – dopóki nie potknęła się o kamienny schodek. Ze zdumieniem przekonała się, że stoi przed kuchennymi drzwiami własnego domu. Nie widziała ich do ostatniej chwili.

Czekała tam długo, na próżno nasłuchując, ale wokół rozlegało się tylko wycie wichru. A może tylko jej się wydawało? Przecież żadne dziecko nie mogłoby się bawić na takiej zawierusze.

Postanowiła chwilę odpocząć, zanim znowu zacznie szukać córek. Weszła do domu, zamknęła drzwi i położyła się przed piecem. Jej twarz i ręce krwawiły, poranione drobinkami lodu. „Odsapnę chwileczkę – pomyślała – a potem wyjdę. Jestem taka zmęczona...”.

– O, nie – szepnęłam. – Nie mów, że...

Iris skinęła głową.

– Tak, dziecko. To nie bajka, lecz najprawdziwsze życie. Biedna Hannah obudziła się następnego dnia, gdy burza już minęła. Mieszkańcy wyspy, włącznie z nią, wiedzieli, że to pora, żeby poszukać zmarłych i zrobić, co się da, dla żywych. Wyszli z domów i ujrzeli świat skuty lodem. Drzewa, ganki i płoty lśniły jak brylanty. Ziemię przykryła metrowa warstwa śniegu. Gdzieś zasy sęgały do okien na pierwszym piętrze. W innych okolicznościach ten widok mógłby zachwycać.

Hannah usiłowała dotrzeć na klif, ale nie zdołała się przedrzeć przez zwały białego puchu. Kopaniem musieli się zająć twardsi od niej. Ci, którzy mieli śniegowce, łopaty i dusze nieskore do żałoby. Twoja prababka wróciła do domu, osunęła się na krzesło przy ogniu i czekała, aż ktoś zapuka do jej drzwi. Dobrze, że to nie ona znalazła ciała dziewczynek, splecionych w uścisku, z przerażonymi twarzami, widocznymi wyraźnie przez grubą warstwę skuwającego je lodu.

Ale nie tylko one zamarzyły tego dnia na śmierć. Przez niemal tydzień po burzy fale wyrzucały na brzeg zlodowaciałe, sztywne ciała marynarzy z parowców, frachtowców i łodzi rybackich. Mieszkańcy wyspy patrzyli na zmarłych ze zgrozą, jak na upiorną paradę duchów.

Pomyślałam o śnie, w którym spotkałam ojca. Już wiedziałam, skąd wzięły się te zagubione dusze.

– A Simeon? Przeżył?

Iris skinęła głową.

– Dziwne, ale tak. Wszyscy obecni na pokładzie parowca ocalili życie. Statek zatrzymał się na wielkim głazie, więc nie zatonął, choć spora część jego kadłuba została roztrzaskana. Pasażerowie zebrali się w sterówce. Po sztormie usiłowali wyważyć drzwi i okna, posługując się dostępnymi przedmiotami. Na próżno. Warstwa lodu była zbyt gruba. Znaleźli się w potrzasku.

Na szczęście pomoc już była w drodze. Następnego dnia mężczyźni z wyspy dotarli łodziami rybackimi do parowca i ze zdumieniem przekonali się, że jego pasażerowie żyją. Ekipa ratownicza wróciła na Grand Manitou po oskardy i łopaty i przyplęnęła znowu, by z furją zaatakować lodową skorupę.

Radość Simeona z oswobodzenia trwała krótko. Wrócił do domu i dowiedział się o śmierci swoich ukochanych córek. Jego żona trwała w odrętwieniu niczym katatoniczka. Gniew natury drogo go kosztował.

Mijał czas i Hannah z wolna zaczęła dochodzić do siebie. Oboje małżonkowie mieli twardą skórę i nie po raz pierwszy spotkali się ze śmiercią, więc pocieszali się wzajemnie i w końcu podnieśli się po tym miażdżącym ciosie. Zaczęli żyć dalej. Parę lat później urodził im się syn.

Ale to nie koniec tej opowieści. Wydarzyło się jeszcze coś osobliwego. Otóż od tego straszliwego dnia aż do śmierci Hannah Hill nigdy nie dała się zaskoczyć sztormowi.

– Nie rozumiem.

– Kiedy zanosilo się na burzę – czy to emocjonalną, jak wiele lat później, gdy Simeon umarł na zawał serca na polu golfowym, czy prawdziwą, która zabrała jej córki – Hannah słyszała szepty głosików ostrzegających ją przed nadciągającym zagrożeniem.

– Skąd o tym wszystkim wiesz. Iris? Moja matka ci opowiadała?

Gospodyni wyprostowała się z dumą.

– Dziecko, to ja opowiadałam te historie twojej matce i jej ojcu. Moja matka pracowała jako gospodyni Hannah i Simeona. Mieszkałyśmy na drugim piętrze tego domu. Znałam dziewczynki i byłam świadkiem tych wydarzeń. A także późniejszych.

– Znałaś trojaczki? – powtórzyłam zdumiona.

– Oczywiście! Bawiłam się z nimi. Miałam mniej więcej tyle lat, ile one. Jakoś nie sprawiło mi trudności wyobrazenie sobie mojej dziwnej gospodyni w towarzystwie trzech upiornych sióstr.

– A gdzie byłaś podczas sztormu?

– Tego dnia mama zabrała mnie na drugi brzeg. Dostała wychodne, więc popłynęłyśmy na zakupy, jak to często robiłyśmy. Utknęłyśmy w hotelu, bo szalała taka zadymka, że świat za oknem zniknął. Gdyby mama nie wzięła mnie ze sobą, pewnie bawiłabym się z dziewczynkami. Miałam szczęście.

Wyjrzałam przez okno. Nie czułam upływu czasu, kiedy Iris snuła swoją opowieść. Tymczasem szary dzień zmienił się w szary wieczór.

Iris odkaszlnęła i wstała.

– Wystarczy na dziś – oznajmiła. Odstawiła swoją filiżankę do zlewu, opłukała ją szybko i wytarła. – Teraz się oddalę i wrócę w środę. Może kiedy skończę pracę, zechcesz wysłuchać dalszej części historii. Musisz się jeszcze wiele dowiedzieć.

– Masz wspaniały dar opowiadania.

Iris oblała się rumieńcem, najwyraźniej zadowolona z komplementu. Wzięła płaszcz i kapturek przeciwdeszczowy i ruszyła do drzwi kuchennych. Z przykrością myślałam o jej powrocie przy tej pogodzie. Zaproponowałabym jej podwiezienie – gdybym tylko mogła.

– Może cię odprowadzę? Dopilnuję, żebyś dotarła do domu – powiedziałam, ale ona pokręciła głową.

– Nie ma potrzeby, panienko. Chodziłam tymi ścieżkami na długo przed twoim urodzeniem. Dobrze znam drogę.

Poszłam za nią do drzwi i ostrożnie uścisnęłam jej kruche ramiona.

– Dziękuję. Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy – w końcu poznać historię mojej rodziny.

– O, chyba wiem, dziecko – odparła z uśmiechem. – Chyba wiem.

Patrzyłam za nią, gdy odchodziła ścieżką w stronę podjazdu. W końcu znikła w mroku. Zamknęłam drzwi, ale wilgoć, która wtargnęła do wnętrza z dworu, już pozostała.

Później, gdy usiadłam przy ogniu i spojrzałam w płomienie, zaczęłam myśleć o opowieści Iris. Wreszcie dowiedziałam się czegoś o dziejach mojej rodziny. Ojciec nic mi nie mówił o swoich bliskich i z całą pewnością nie wspomniał ani słowem o rodzinie matki. Teraz wreszcie zyskałam historię. Przodków noszących imiona i nazwiska, życie i tragedię. Hannah i Simeon Hillowie, moi pradziadkowie. Rozejrzałam się po pokoju i pomyślałam: „To oni zbudowali ten dom, spłodzili dzieci, stracili je i zaczęli od nowa. I oto ja, kobieta mająca ich geny, z tej samej linii. Teraz ja tu mieszkam. Choć miejscowi przyjęli mnie chłodno, w końcu zyskałam poczucie, że znajduję się na swoim miejscu”.

Powoli nadeszła noc, a ja już leżałam w łóżku, gotowa zasnąć, kiedy nagle uświadomiłam sobie dwie rzeczy – tak dziwne, że nagle poderwałam się na posłaniu.

Iris powiedziała, że znała dziewczynki, że się z nimi przyjaźniła. Przecież one umarły w 1913 roku. Ile lat miała moja gospodyni?

Gdy z wolna zaczęłam się oswajać z myślą, że Iris jest stara jak matka ziemia (i co z tego?), uderzyła mnie druga. Usłyszałam słowa tak wyraźnie, jakbym stała w kącie kuchni, gdy Martine powiedziała je do Hannah, wręczając jej eliksir na płodność: „Używając tego, co ci dałam, przyzwiesz pewne siły wbrew temu, co zamierzyła natura... Tego nie da się cofnąć. Dziecko sprowadzone na świat w ten sposób – dzięki, jak to nazywasz, magii – stanie się nieprzewidywalne. Może ci się urodzić demon lub anioł, a może coś pomiędzy, nigdy nie zyskasz pewności”.

Sądziłam, że Martine miała po prostu dużą wiedzę o ziołach i różnych substancjach i potrafiła przyrządzać leki na rozmaite choroby i dolegliwości. Kobiety o takich umiejętnościach uważano w tamtych czasach za czarownice. Ale to ostrzeżenie i fakt, że dziewczynki rzeczywiście zachowywały się dziwnie, kazały mi się zastanowić, co właściwie znajdowało się w ziołach.

Potem wróciły do mnie następane słowa zielarki: „Dzieci poczęte za sprawą czarów są czarownikami, podobnie jak ich dzieci i dzieci ich dzieci”.

Zabrakło mi tchu. Chodziło o mnie!

TTLR

15

Obudziłam się gwałtownie. Coś dotknęło mojej twarzy, byłam tego pewna. W tym oszołomieniu pomyślałam: „Iris? Niemożliwe. Dlaczego Iris miałaby się snuć po domu w środku nocy?”. Wzrok przywykł mi do ciemności i na poły spodziewałam się zobaczyć jej twarz, bladą i bezkrwistą. Spojrzałam na zegarek – trzecia piętnaście. To głupie. Iris nie przyszłaby o tej porze.

Miałam już zamknąć oczy i znowu zapaść sen, kiedy przypomniałam sobie, że kilka nocy wcześniej u Miry poczułam to samo – delikatne muśnięcie na twarzy. Czy to ta sama osoba... lub istota?

Usiadłam na łóżku, włączyłam nocną lampkę i rozejrzałam się po pokoju. Nie zauważyłam, żeby coś zniknęło. Na krześle, przy którym wkładałam piżamę, leżał sweter, książka, którą wczoraj czytałam, była na swoim miejscu. Żaden upiór nie krył się pod łóżkiem, w kącie nie unosił się żaden duch.

A jednak nie zawadzi sprawdzić. Włożyłam kapcie i poczłapałam do salonu. Włączyłam światło. Tu także nic się nie zmieniło: koc wisiał na oparciu fotela, na stoliku stała szklanka.

Łazienka? Zajrzałam do wanny i kabiny prysznicowej. Tylko pajak, który uciekł do odpływu. Zastanawiałam się nad otwarciem drzwi i wyjrzeniem na korytarz, ale się rozmyśliłam. Mój apartament stanowił małą fortecę, czułam się w nim bezpieczna i chroniona. Po co otwierać drzwi i zapraszać resztę tego ogromnego domu? Gdybym to zrobiła, musiałabym sprawdzić każdy z pokoi, żeby poczuć się na tyle spokojna, by zasnąć.

Położyłam się przekonana, że to wszystko mi się przyśniło. Już zasypiałam, kiedy znowu usłyszałam tę piosenkę:

„Chodźmy się bawić, wyjdźmy na łąkę”.

O nie, nie... Dość! Nie chcę tego słuchać. Głos dobiegał jakby z zewnątrz. Boże, czy ktoś stoi pod moim oknem i śpiewa? Ile czasu potrzebuje, by wdrzeć się do domu? Ile kroków dzieli mnie od kuchni, gdzie mogłabym przynajmniej złapać nóż albo chociaż wielki widelec, żeby się czymś bronić? Czy ta noc zakończy się walką o życie?

„Przynieś laleczki”.

Jeszcze czego, cholera! Wyłączyłam lampkę, zebrałam się na odwagę i podeszłam do okna. Księżyc jasno oświetlał okolicę, a tafla wody lśniła. Na niebie iskrzyły się miliony gwiazd, a przejrzyste chmurki jak smużki przepływały tu i tam. Bezlistne drzewa trzymały straż na klifie, wyciągając czarne gałęzie.

Nikogo nie było. Tylko drzewa, kamienie i jezioro. Wszystko na swoim miejscu. Właśnie oddychałam z ulgą, kiedy znowu się zaczęło.

„Wejdz na jabłonkę”.

Wyteżyłam wzrok.

Nagle zza jednego skrzyconego konaru coś uniosło się w powietrze. Wzleciało w górę i zakołysało się w ciemnościach. Światło księżyca odbiło się od białej powierzchni: to była jedwabna wstążka. Wstrzymałam oddech i usiadłam gwałtownie na parapecie. Serce mi łomotało, w głowie wirowały myśli. Potem zza drzewa wyszła ona: dziewczynka z długimi jasnymi warkoczami. Jeden był przewiązany kokardą. Mała patrzyła na mnie z uśmiechem.

Skamieniałam. Nie wierzyłam własnym oczom – na moim podwórku w środku nocy stała dziewczynka. Nie mogłam oderwać wzroku od jej uśmiechniętej twarzy. Otworzyła usta. Kiedy zaczęła poruszać wargami, usłyszałam cichy głosik, jakby znajdowała się tuż za mną:

„Zawsze razem, ja i ty”.

Dźwięk, który uleciał z moich ust, wyrwał mi się chyba z samego serca. Zabrział tak głośno, głęboko i strasznie, że mógłby zmrozić krew w żyłach każdego nieszczęśnika, który przypadkiem by go usłyszał. Krzyknęłam raz, dwa, trzy razy, podskoczyłam i obróciłam się dokoła, najpierw w jedną, potem w drugą stronę, sprawdzając, czy nikogo za mną nie ma.

Zdyszana, powtarzałam sobie: „To się nie dzieje naprawdę, nic się nie wydarzyło”. Potem zakradłam się kolejno do wszystkich okien. Zaciągnęłam rolety. Jeśli ta dziewczynka nadal tam była, nie chciałam jej widzieć. I nie chciałam, żeby widziała mnie.

Co teraz, zgłosić to na policję? I co powiem, że wystraszyła mnie dziewczynka bawiąca się wstążką? Że widziałam ducha? Wyjdę na idiotkę.

Mogłam zadzwonić do Willa, Jonaha lub Miry, ale nie sądziłam, żeby o tej porze ktoś dobrze zareagował na sprawę nienależącą do pilnych. Zwłaszcza Jonah, który za parę godzin będzie musiał wstać. Nie chciałam zepsuć naszej świeżej przyjaźni histerycznymi telefonami w środku nocy. Już i tak zaprezentowałam mu się jako paranoiczka, kiedy zrobiłam scenę z powodu mężczyzny w powozie, który omal mnie nie rozjechał w lesie. I wygłupiłam się przed Mirą moim nocnym wybuchem. W szybkim tempie stawałam się wariatką, która uważa, że wszyscy, żywi i umarli, na nią dybią. Choć potwornie się bałam, nie zamierzałam utwierdzać w tym przekonaniu reszty świata. Musiałam liczyć tylko na siebie.

Drżąc, wpełzłam pod kołdrę i wzięłam pilota. Dzięki Bogu za kablówkę. Przełączałam kanały, aż wreszcie znalazłam powtórkę starego serialu, który mi się kiedyś podobał. Idealnie.

Parę godzin później znowu skakałam po kanałach – dokument o drugiej wojnie światowej, film o sztormie na kanale pogodowym, reklama specyfiku na schudnięcie (umiarkowanie interesująca) – aż w końcu trafiłam na jakiś film. Scena, którą zobaczyłam, miała w sobie coś znajomego i uspokajającego: błękitne niebo, pranie trzepoczące na sznurkach, dziewczynka tarzająca się w trawie.

Ale mała krzywiła się, jakby ją coś bolało.

– Au! – pisnęła. – Przestań! – Wstała i uciekła. – Zostaw mnie! – Przewróciła się na plecy, jakby ktoś ją popchnął, wybuchnęła płaczem. – Przestań! Nie lubię cię!

– Ej, ptysiu – rozległ się głos i w polu widzenia pojawił się mężczyzna. – Co się dzieje z moim skarbem? – Chwycił dziecko w ramiona. – Już dobrze, kochanie, już dobrze. Jestem przy tobie. – Gdy odchodzili, dziewczynka spojrzała znad ramienia ojca i pokazała język.

Kamera zrobiła najazd, ukazując przedmiot drwiny małej: inną dziewczynkę. Dziewczynkę w białej sukience. Z długimi warkoczami przewiazanymi białymi wstążkami.

Krzycząc, uświadomiłam sobie, że się obudziłam. Najwyraźniej zasnęłam i w majakach znów zobaczyłam dziewczynkę, która w nocy stała pod moim oknem. Potarłam oczy i spojrzałam na budzik. Dochodziło wpół do dziewiątej. Mój pokój pławił się w jasnym porannym słońcu.

Przez chwilę leżałam, zastanawiając się, czy nie pospać jeszcze, ale nagle dotarło do mnie coś, co zupełnie mnie otrzeźwiło. Okna! Przecież sama zaciągnęłam te rolety, z całą pewnością.

A teraz były podniesione, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy położyłam się do łóżka. Światła się nie paliły, telewizor nie działał.

Wyskoczyłam z łóżka, włożyłam kapcie i ostrożnie otworzyłam drzwi sypialni. Rozejrzałam się po korytarzu, zanim odważyłam się wyjść. Zeszłam schodami do kuchni, gdzie – ku mojemu zaskoczeniu – znalazłam zaparzoną kawę. Na blacie stał koszyk z ciepłymi babeczkami. A na stole, w miejscu, które lubiłam zajmować, ktoś zostawił jogurt i miseczkę z owocami.

„Iris, oczywiście. Czy to ona podniosła rolety i wyłączyła telewizor? To jedyne wyjaśnienie” – tak przynajmniej pomyślałam, kiedy szukałam gospodyni i nawoływałam ją. Choć wzbudzała niepokój, była tu moim jedynym towarzystwem. A po tej nocy go potrzebowałam. Ale nigdzie nie mogłam jej znaleźć. Zaparzyła mi kawę i zrobiła śniadanie, a potem wyszła. W każdym razie miałam nadzieję, że to Iris. Drżącymi rękami nalałam kawy do filiżanki i włączyłam program informacyjny. To mój dom. Moja kawa. Żaden duch mnie nie wystraszy.

Ojciec nauczył mnie racjonalnego myślenia, ale rozsądek nie tłumaczył obecności dziewczynki w białej sukience pod moim oknem w środku nocy ani tego, że szeptała mi do ucha dziwną dziecienną piosenkę. Albo ktoś robił mi wyjątkowo wymyślny kawał (Ale kto? I po co?), albo działo się tu coś niesamowitego.

Ze ściśniętym sercem powiedziałam sobie, że dobrze wiem, co to za dziewczynka. Tylko Iris mogła mi dokładnie opisać trojaczki, ale zapowiedziała, że wróci dopiero w środę, a ja nie wiedziałam, jak się z nią skontaktować. A jednak przyszła i przygotowała mi śniadanie, prawda? Może jutro też to zrobi.

Wypiłam kawę jednym haustem i poszłam do salonu. Madlyn musiała mieć zdjęcia krewnych i przodków, przecież Hillowie mieszkali w tym domu od trzech pokoleń.

Po dłuższych poszukiwaniach znalazłam parę albumów, ale znajdowały się w nich tylko nowe fotografie. Madlyn i przyjaciele, Madlyn i gwiazdy, Madlyn i politycy. Przez parę godzin je przeglądałam, zafascynowana, że mogę zajrzeć w prywatny świat matki. Było nawet zdjęcie mamy obejmującej młodego Willa o niezgrabnej sylwetce czternastolatka. Will...

Poczułam, że coś się we mnie zaciska. Co pomyślał, kiedy cofnęłam się przed pocałunkiem? Nie chciałam, żebyśmy się od siebie oddalili. Potrzebowałam jak najwięcej przyjaciół. Ostatnie spotkanie pewnie uważał za randkę, a ja wszystko zepsułam paniczną ucieczką do domu. Teraz będę musiała zrobić pierwszy ruch, jeśli chcę, żeby ta znajomość przetrwała. Może już wrócił na wyspę i da się zaprosić na obiad. Wzięłam telefon i zadzwoniłam do jego kancelarii.

– Witam, panno Crane – odezwał się pierwszy. Najwyraźniej miał identyfikację numerów.

– Recepcjonistka wyszła? – spytałam ze śmiechem, głupio ucieszona, że słyszę jego głos. Po tej nocy chętnie porozmawiałabym z kimkolwiek.

– Posada jest wolna na ten sezon, jeśli chcesz się ubiegać. Ale oczywiście wybrałaś próżniacze życie.

– Zapewniam cię, że dziś rano ciężko pracowałam.

– Czyżby?

– W rzeczy samej. Chcesz wiedzieć nad czym?

– Płonę z ciekawości.

– Nad planami obiadowymi. Masz jakieś?

– Niech spojrzę w kalendarz. – Usłyszałam szelest papieru. – Masz szczęście. Zdumiewającym zbiegiem okoliczności nie wyznaczyłem na dziś

żadnego spotkania. Ani przez następne pięć miesięcy, z wyjątkiem wizyty u dentysty w styczniu, którą już teraz zamierzam odwołać.

– Bardzo się cieszę, że udało ci się mnie wcisnąć.

– Gdzie chciałabyś zjeść? Mamy aż dwa miejsca do wyboru.

– Właściwie zamierzałam cię zaprosić tutaj – oznajmiłam. –Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy sobie urządzić piknik na świeżym powietrzu, skoro zrobił się taki ładny dzień. – Miałam kurczę na zimno i produkty na sałatkę, a także resztę chleba Iris, trochę owoców i wino. I koszyk piknikowy Miry.

– Świetny pomysł – ucieszył się Will. – Wstąpię do delikatesów i coś przyniosę. I znam doskonałe miejsce na terenie twojej posiadłości. Ty też, ale pewnie nie pamiętasz.

– Naprawdę? – Jakoś nic mi nie przychodziło do głowy.

– Odświeżę ci pamięć, kiedy przyjdę. Koło południa? – Wspaniale.

Zerknęłam na zegar. Zbliżała się jedenasta. Pobiełam na górę i wskoczyłam pod prysznic. Potem owinęłam włosy jednym, a siebie drugim ręcznikiem i poszłam do garderoby, gdzie zaczęłam przeglądać moje rzeczy. Zdecydowałam się na dzinsy i gruby kremowy sweter. Znalazłam w szafie długą kolorową apaszkę i zamotałam ją na szyi. Wysuszyłam włosy, umalowałam się i stanęłam przed lustrem. Lepiej już nie będzie.

Dopiero wtedy usłyszałam ciche brzęczenie telewizora. Wyjrzałam z łazienki. Poranny program leciał w najlepsze. Światła się paliły. A rolety zasłaniały okna. Tak jak wczoraj w nocy. Chwila moment... Kiedy się obudziłam, telewizor był wyłączony, światła też, a przez okna wpadało słońce. Prawda?

Patrzyłam na to wszystko w zdumieniu. Czy coś mi się pomieszało w głowie? Ktoś płata mi jakieś dziecinne figle? Gdyby to mnie spotkało w środku nocy, przeraziłabym się, ale za dnia tylko się wściekłam.

– Bardzo śmieszne, dziewczynki! – krzyknęłam. – Nie przestraszycie mnie, jeśli o to wam chodzi. Tylko mnie wkurzacie!

Wyszłam, trzasnąwszy drzwiami, i ruszyłam korytarzem, ale po chwili stanęłam jak wryta. Z mojego pokoju dochodził chichot. Oddech zamarł mi w piersi. Może jednak dałam się przestraszyć. Zbiegłam po schodach do kuchni, nie ośmielając się obejrzeć przez ramię. Pospiesznie wrzuciłam do kosza produkty i aż do przybycia Willa trzymałam się blisko drzwi oraz psów.

Wkrótce siedzieliśmy na łące, skubiąc sałatkę z kurczakiem i popijając białe wino. Will zdawał mi relację z wydarzeń paru ostatnich dni, kiedy zajmował się bardzo bogatą i grymaśną klientką.

– To mi przypomina – zaczęłam – że chciałam cię spytać, jak wróciłeś na wyspę? Myślałam, że prom przybędzie dopiero w piątek.

Will przytaknął.

– Dokładnie tak. O tej porze roku jedyny transport zapewniają łodzie prywatne, z czego skorzystałam. Tę możliwość zapewniła mi klientka.

Ziewnęłam. Nie z powodu znudzenia, ale po winie wypitym w środku dnia. Rozejrzałam się dokoła. Will zaprowadził mnie w tę część posiadłości, której nie znałam. Od przyjazdu nie zapuszczałam się zbyt daleko – wystarczało mi zwiedzanie domu. Za ogrodem i kępą drzew, wysoko na klifie, znajdowała się polanka, z której rozciągał się widok na jezioro, o wiele rozleglejszy niż ten z domu. Ukazały nam się kilometry linii brzegowej.

Najpierw rozłożyłam na ziemi płachtę folii, potem gruby koc, a następnie cienki czerwono-biały obrus od Miry. Usiedliśmy. Dzień był

pogodny, bezchmurny. Na tyle chłodny, że włożyłam kurtkę, ale wystarczająco ciepły, by bez przykrości siedzieć w słonecznym blasku. Psy położyły się nieopodal, wystawiając nosy na wiatr od jeziora.

– A ty czym się zajmowałaś przez ten czas? – spytał Will.

– Zanim ci opowiem, mam pewne pytanie. – Uśmiechnęłam się do niego nad krawędzią kieliszka. – Co sądzisz o duchach?

– Czy w nie wierzę?

– No... tak.

– Nie wiem. – On także pociągnął łyk wina. – Ich istnienie nie wydaje mi się zupełnie wykluczone, ale jeszcze nigdy żadnego nie spotkałem. Choć ludzie twierdzą, że na wyspie się od nich roi. A co?

Już żałowałam, że poruszyłam ten temat. Ale przeżycia ostatniej nocy nadszarpnęły mi nerwy i nie mogłam dłużej udawać. Musiałam się komuś zwierzyć.

– Odkąd tu przyjechałam, spotykają mnie dziwne rzeczy – wyznałam. – Właściwie zaczęły się jeszcze wcześniej.

Will wyprostował się i założył ręce na piersi.

– Jakie rzeczy?

Upiłam spory łyk wina i opowiedziałam mu wszystko. O tonącym człowieku, odcisku ręki na kabinie prysznicowej i o dziewczynce pochylającej się nade mną, kiedy się kąpałam. Potem jeszcze o biżuterii, znikającej i pojawiającej się tego wieczora, kiedy poszliśmy do restauracji po drugiej stronie wyspy. W końcu doszłam do dziewczynki, która pojawiła się za oknem.

– Śpiewała – oznajmiłam. – Wiesz, co? – *Muskrat Love?* – rzucił z uśmiechem.

Nie potrafię wyjaśnić dlaczego – może czułam się głupio, opowiadając Willowi o duchach, a może cały przerażający incydent z poprzedniej nocy stawał się coraz bardziej absurdalny – myśl, że ta upiorna dziewczynka miała śpiewać *Muskrat Love*, tak mnie rozbawiła, że oparłam głowę o koc i parsknęłam śmiechem. Chwycił mnie jeden z tych ataków do łez, który jakby sam się nakręca. Gdy wreszcie zdołałam zaczerpnąć tchu, trąciłam Willa stopą i wykrztusiłam:

– Nie śpiewała *Muskrat Love*.

– A co?

Zanuciłam cicho zapamiętane słowa: „Chodźmy się bawić, wyjdźmy na łąkę...”.

– O kurczę! – Will zadrżał i pokazał mi rękę pokrytą gęsią skórą. – Trochę się przestraszyłem. Na pewno ją widziałaś? Nie przyśniło ci się to?

– Mam co do tego niemal zupełną pewność. No, panie mecenasie, jak można racjonalnie wytłumaczyć wydarzenia ostatnich dni?

– Nie wiem, co ci powiedzieć – westchnął. – Chciałbym móc stwierdzić, że ta dziewczynka to znana na wyspie psotnica, która przepada za straszaniem nowo przybyłych mieszkańców.

– Ale nie możesz, prawda?

Pokręcił głową.

–Nie.

– Wiem, jak to brzmi, ale zastanawiam się, czy to nie jedna z sióstr, o których mi opowiadałaś. Poznałam już trochę historię mojej rodziny i wiem, że dziewczynki zginęły na terenie posiadłości podczas burzy śnieżnej. Myślisz, że...

– Naprawdę nie wiem, co myśleć – przerwał mi Will. – Mogę tylko powiedzieć, że pewnie ponosi cię wyobraźnia. Rozmawialiśmy o trojaczkach tego wieczora, gdy pojechaliśmy do restauracji. Ta myśl zapadła ci głęboko w pamięć. Tę dziewczynkę zobaczyłaś wczoraj, prawda? Spałaś. Może to ci się przyśniło. Możesz stwierdzić z całym przekonaniem, że nie?

– Nie mogę – przyznałam. – Ale rzecz w tym, że widziałam tę samą dziewczynkę w zajeździe, zanim pojechaliśmy do restauracji. Zanim dowiedziałam się o Persephone, Penelope i Patience.

Skinął głową.

– No tak.

– A co z tym, że opuściłam rolety, włączyłam światło i telewizor, a kiedy obudziłam się rano, rolety były podniesione, a światło i telewizor wyłączone?

Will uśmiechnął się tylko.

– To kolejny dowód, że wszystko ci się przyśniło, prawda?

– Można by tak pomyśleć – rzuciłam, coraz bardziej rozgorączkowana – gdybym dziś rano, kiedy wyszłam spod prysznica, nie zastała znowu zaciągniętych rolet i włączonego telewizora i świateł.

Wyprostowałam się, patrząc na niego wyczekująco. Kiedy nie odpowiedział, dodałam:

– Pewnie właśnie uznałeś, że zmyśliłam to sobie, co? Zastanawiasz się, jak się wycofać, żeby nie rozjuszyć wariatki.

Will parsknął śmiechem.

– Nie, raczej nie. Po prostu jestem ciekaw, co tu się, do diabła, dzieje.

– Nie znajduję innego wyjaśnienia, oprócz tego, że popadam w szaleństwo. A ty?

– No, to zawsze jakaś możliwość – przyznał ze śmiechem. –
Niezawodna schizofrenia. Przestałaś brać lekarstwa?

Uszczypnęłam go w ramię.

Przez chwilę chichotaliśmy, a potem Will spoważniał.

– No dobrze. Powiedzmy, że dostałaś ducha w cenie domu. Co teraz?

– Właściwie nie wiem – wyznałam. – Gdybym oglądała to w filmie,
krzyczałabym do siebie, że pora stąd uciekać.

– Aha, ta historia z dziewczynką jest maksymalnie upiorna.

Położyliśmy się na plecach i patrzyliśmy w niebo, które szybko zaczęło
szarzeć.

– I co dalej? – spytał w końcu Will.

Westchnęłam.

– Gdybym to wiedziała...

16

Z nieba spadały ogromne krople deszczu. Zaczęliśmy wrzucać rzeczy byle jak do kosza, gdy z oddali dobiegł basowy pomruk grzmotu. Wpadliśmy przez kuchenne drzwi zupełnie przemoczeni, zaśmiewając się do utraty tchu. Zanim się zorientowałam, co się dzieje, Will trzymał mnie w ramionach, a nasze wargi się zetknęły. Smakował winem, deszczem i nadzieją i przez chwilę niemal dałam się ponieść romantyzmowi chwili. Ale coś we mnie zlodowaciało. Chciałam tylko uwolnić się od jego dotyku.

Odepchnęłam go i oparłam się o ścianę.

– Nie – szepnęłam, kręcąc głową.

Spojrzał na mnie z zaskoczeniem.

– Hallie... – zaczął.

– Przepraszam – mruknęłam ze spuszczoną głową.

– Nie, to ja przepraszam. Nie chciałem... Słuchaj, myślałem. .. – urwał.

Jego słowa zawisły w powietrzu. Nie chwyciłam ich. Nie rozpięłam siatki zabezpieczającej. Niemal usłyszałam łomot, z jakim upadły na ziemię.

– Już pójdę – powiedział cicho, odwracając się do drzwi. Nie spojrzał na mnie. Wyszedł na deszcz, nie obejrząwszy się ani razu. A ja pozwoliłam mu odejść.

Przez chwilę stałam, zastanawiając się, co ja najlepszego zrobiłam.

Padło przez całe popołudnie. Usiłowałam wypełnić czas czytaniem, oglądaniem telewizji i zabawą z psami, ale myślałam tylko o Willu. Wyrzeczony jego oczu, kiedy odchodził, złamał mi serce.

Parę razy do niego dzwoniłam, ale przełączało mnie na pocztę głosową. Potem zaniósłam aparat do salonu, szybko obliczyłam różnicę czasu, usiadłam w fotelu i wybrałam numer Richarda.

– No, cholera, nareszcie! – rzucił opryskliwie. – Ja się tu o ciebie zamartwiam! Zeznawaj! – Jego poczucie humoru i troskliwość sprawiły, że natychmiast poczułam się lepiej.

I opowiedziałam mu wszystko. O domu, psach, Jonahu, Mirze i o samej wyspie, o tym, że matka zostawiła mi swój cały majątek, i o tym, czego się o niej dowiedziałam. Wspomniałam też o Iris, żartując z jej ponurego usposobienia. O piosence, którą ciągle słyszałam, i dziwnych przeżyciach w domu i zajeździe. Nawet o tragedii Julie Sutton.

– Kurczę, jak powieść grozy – oznajmił mój były mąż. – Wielki stary dwór na wyspie w szponach brzydkiej pogody, nierozwiązana sprawa morderstwa, tajemnicze spotkania z duchami i nieuprzejmymi tubylcami, nawet upiorna stara pokojówka.

– Rzeczywiście, powieść grozy – zgodziłam się ze śmiechem. – Dom jest po prostu wspaniały. Musisz mnie wkrótce odwiedzić.

Potem zapadło milczenie, słyszałam tylko ciche dzwonienie łyżeczki o brzeg filiżanki.

– Hallie. – Richard nadal mieszał herbatę, co zawsze robił dla zabicia czasu, kiedy nie wiedział, jak sformułować to, co chciał powiedzieć. – Czego mi nie mówisz? Wiem, że coś pomijasz.

Zawahałam się przez chwilę.

– No dobrze... Poznałam kogoś i właśnie to spałam.

– Aaaa... Więc dlatego dzwonisz. Całe to gadanie o duchach to tylko wstęp.

Zrobiło mi się głupio. Powinnam zadzwonić wcześniej, tak jak obiecałam.

– Muszę z kimś porozmawiać. Z kimś, kto mnie zna. Kogo nie przeraża, że przypominam pewną zmarłą kobietę. Dla wszystkich tutaj jestem dziwadłem, które zginęło trzydzieści lat temu.

Richard zachichotał.

– Dobrze pasujesz do tych upiornych pokojówek i nawiedzonych domów, nie?

– Wreszcie znalazłam swoje miejsce – przyznałam ze śmiechem.

– Dobra, cudaku. Mów. Opowiedz mi o nim. Kto to i co mu zrobiłaś?

– To tutejszy prawnik – zaczęłam. – W dzieciństwie się z nim przyjaźniłam.

– Dobry początek. Słucham dalej.

– Spędziliśmy ze sobą sporo czasu. Moja matka była jego klientką. To on się ze mną skontaktował. Doskonale się rozumiemy, jakbyśmy się znali od zawsze. Dobrze się z nim rozmawia i...

– No, no?

– On ma wszystko, czego szukam w mężczyźnie. Inteligencję, rozwagę, poczucie humoru i upodobania podobne do moich. Sama nie wiem... To świetny facet. W dodatku zabójczo przystojny.

– Ooo... W takim razie już rozumiem, dlaczego go odtrąciłaś. Po prostu potwór.

Uśmiechnęłam się mimowolnie.

– W tym rzecz. Nie znajduję w nim nic, co by mi się nie podobało. Ale kiedy chciał mnie pocałować, zlodowaciałam.

– Jak to?

– Tak to. Nie potrafiłam zareagować.

– Rany boskie, dlaczego?!

Zastanowiłam się nad tym.

– Nie mam pewności. Na pikniku bawiliśmy się świetnie Zaczęło padać, pobiegliśmy do domu...

– Brzmi romantycznie.

– Pewnie. Ale...

– Co? Sprzyjające okoliczności, niewłaściwy facet? Nie zaiskrzyło?

Pokręciłam głową.

– Nie, właściwie nie o to chodzi. Iskrzy jak diabli.

Richard znowu brzęknął łyżeczką.

– A co się stało potem?

Przed oczami stanęła mi twarz biednego Willa.

– Strasznie się speszył, wymamrotał przeprosiny i wyszedł Od tej pory z nim nie rozmawiałam.

Znowu odgłos mieszania herbaty.

– Zadam ci teraz pewne pytanie. Nie spodoba ci się, ale trudno.

Żołądek mi się ścisnął. Richard miał zwyczaj trafiać w sedno problemu i nie silił się na delikatność.

– Czego się boisz?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Nie wygłupiaj się, Hallie. Świetny facet. Doskonale się rozumiecie. Między wami iskrzy. Oboje nie macie partnerów. Dlaczego się nie zdecydujesz? No, proszę cię. Co mogłoby się wydarzyć?

Nagle zrozumiałam, dlaczego chciałam porozmawiać z byłym mężem.

– Mógłby stać się miłością mojego życia, poślubić mnie, a potem dojść do wniosku, że nie jestem w jego typie.

Richard westchnął.

– Żałuję, że nie mogę cię teraz objąć, przeprosić i przysiąc, że to cię nigdy więcej nie spotka.

–Ja też chciałabym mieć cię tu przy sobie. Wiele rzeczy bym chciała.

Richard odkaszlnął.

– Muszę spytać. Spotykałaś się z kimś od naszego rozstania?

– Właściwie nie. Parę razy poszłam na randkę, ale...

– Słuchaj, Hallie – przerwał mi. – Musisz znów rozwinąć skrzydła. Jesteś wspaniałą kobietą, najlepszą, jaką znam. A teraz nie tylko piękną, lecz w dodatku zamożną. Zasługujesz na szczęście, kochanie. Nie wolno ci odmawiać sobie miłości z mojego powodu, to po prostu wykluczone. Nie mów, że zniszczyłem ci życie. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

– Ale ja ci wierzyłam... Ufałam ci, a potem mój świat runął.

– Masz rację. Dokładnie tak było. Chodzi o to, że ten ochronny mur, który wokół siebie wzniosłaś, nie da ci szczęścia. Ta forteca zapewni ci bezpieczeństwo, ale strasznie w niej zimno i samotnie. Musisz się odważyć podjąć ryzyko. Ryzyko, że znowu przeżyjesz dramat. Tylko w ten sposób znajdziesz szczęście, kochanie. Tylko tak.

Rzucałam się niespokojnie przez całą noc. Słowa Richarda rozbrzmiewały mi w głowie. Czy miał rację? Czy naprawdę wniosłam wokół siebie fortecę?

Następnego ranka zadzwoniłam do kancelarii Willa. Nie odebrał. Oczywiście unikał mnie. Czy zniszczyłam to, co powstawało między nami, zanim na dobre się zaczęło? Zastanawiałam się, czy nie pójść do miasta, żeby go odszukać, ale deszcz nie ustał. Za oknem lały się strugi wody.

Iris także nie przyszła i nawet psy się gdzieś schowały. Zostałam całkiem sama. Usiadłam przy oknie w kuchni, spojrzałam na spływające potoki na podwórku i westchnęłam.

Mijały godziny. Snułam się po domu, szukając rozrywek. Obejrzałam film, trochę poczytałam, ale ciągle wracałam do kuchennego okna. Wydawało mi się, że powinnam przez nie wyglądać. Rozpaczliwie chciałam porozmawiać z Willem, ale nie wiedziałam, co miałabym mu powiedzieć.

W końcu zobaczyłam zbliżający się pojazd i po chwili do środka wpadł Will, ociekający deszczem.

– Hallie... – zaczął i urwał.

– Wiem – powiedziałam, natychmiast do niego podchodząc. Odgarnęłam mu z czoła mokre pasmo włosów. – Przepraszam. Tyle ostatnio przeszłam, źle zareagowałam.

Chwycił moje ręce.

– Wiem, że masz za sobą straszne przeżycia, ale ty też musisz zrozumieć, że nie jestem twoim byłym mężem. Ani twoim ojcem. Niczego nie ukrywam. Nie mam żadnych tajemnic, drugiego życia, żadnego planu wobec

ciebie. To tylko ja, mężczyzna, który boi się jak diabli, ponieważ zakochał się w tobie, a ty chyba nie odwzajemniasz jego uczuć.

Serce mi załomotało. Chciałam wybiec z domu, uciec, ale tego nie zrobiłam. Pamiętając o radzie Richarda, rzuciłam się w przepaść, nie myśląc o upadku. Objęłam Willa i dotknęłam ustami jego warg, smakujących deszczem, wiatrem i wiecznością. Na dworze huczały grzmoty i migotały błyskawice, a my poszliśmy na górę do mojej, sypialni i padliśmy sobie w ramiona.

Potem Will otulił się szlafrokiem i zszedł do kuchni po wino. Leżeliśmy w łóżku, rozmawiając o marzeniach, rozczarowaniach, dzieląc się wszystkim, co było w naszym życiu ważne. Jednak nic nie wydawało mi się tak istotne, jak to, co właśnie się działo.

– Przepraszam za wczoraj – odezwałam się w końcu, mnąc w palcach prześcieradło.

Will odgarnął mi pasmo włosów z oczu.

– Wiem, że ci trudno mi zaufać – powiedział łagodnie. – Ale nigdy cię nie opuszczę.

Spojrzałam na niego i zrozumiałam, że mogę mu uwierzyć.

– A, właśnie – dodał, kładąc się na plecach i przeciągając się. – Kiedy zdążyłaś zrobić obiad?

– Jak to? Przecież nie zrobiłam.

– Więc ktoś cię wyręczył. Na kuchni stoi garnek z jakimś jedzeniem. Zauważyłem go, kiedy zszedłem po wino.

Włożyliśmy szlafroki i poszliśmy to sprawdzić. Rzeczywiście, na piecu perkotał wielki sagan gulaszu. W piekarniku czekały kukurydziane bułeczki. Nagle poczułam, że umieram z głodu.

– Fantastycznie wyglądają – mruknął Will.

Nakryłam do stołu, nałożyłam kopiaste porcje i wyjaśniłam:

– To pewnie Iris.

– Już drugi raz o niej wspominasz. Jaka Iris?

Zdziwiło mnie, że na tak malej wyspie istnieje ktoś mu nieznany.

– Gospodyni. Spotkałam ją pierwszego dnia, kiedy przeglądała rzeczy Madlyn. Powiedziała, że prowadzi dom od dziesiątków lat. Przedtem, u pierwszych Hillów, pracowała tu jej matka.

– A, prawda – powiedział Will powoli. – Mgliście ją sobie przypominam. Nie widziałem jej od lat, ale przecież dawno się tu nie zjawiałem. Wszystkie sprawy Madlyn załatwialiśmy w mojej kancelarii. – Zamyślił się na chwilę. – Już trzydzieści lat temu Iris była staruszką, a przynajmniej taką ją zapamiętałem. Teraz pewnie ma... no nie wiem, z osiemdziesiąt lat?

– Chyba nawet więcej. Twierdzi, że w dzieciństwie znała trojaczki, bawiła się z nimi. A od tego czasu minęło dziewięćdziesiąt lat.

– I nadal przychodzi sprzątać?

– Jak tornado! – prychnęłam. – Spójrz tylko, jak tu czysto. Jak widzisz, również gotuje.

Will zerknął na mnie z ukosa.

– Nie wydaje ci się, że pora ją odesłać na emeryturę, ty wyzyskiwaczko?

– Wierz mi, nieraz usiłowałam jej wydrzeć mopa z rąk. Dopadają mnie wyrzuty sumienia, kiedy ona tu haruje, a ja siedzę i oglądam seriale. Ale Iris nie pozwala sobie pomagać i obraża się, kiedy proszę, żeby się oszczędzała.

– Ma swoją dumę.

– O, tak. W pewnym sensie czuje się tu właścicielką i chyba słusznie.

Dorastała tutaj.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Musisz się z nią spotkać. Przysięgam, Iris to najbardziej upiorna osoba świata.

–Jak to?

– Chodzi o to, jak się zachowuje. Jakby wyjęto ją prosto z filmu z Vincentem Price'em. Surowa, blada, w długiej czarnej sukni i z siwym kokiem na czubku głowy. Pojawia się i znika, kiedy się jej podoba. Budzę się rano i odkrywam, że Iris myszkowała po domu. Dziś weszła do kuchni, kiedy my... poszliśmy na górę.

Will parsknął śmiechem.

– Uroczą postać.

– No co, przynajmniej zostawia jedzenie – ujęłam się za gospodynią.

Skończyliśmy gulasz i wróciliśmy na górę, gdzie obejrzeliliśmy film Woodyego Allena. Potem się położyliśmy. W ramionach Willa spałam dobrze, jak jeszcze nigdy na wyspie. Zero duchów, strasznych snów ani kontaktu z kimkolwiek oprócz niego.

Następnego dnia siedzieliśmy w kuchni, pijąc kawę, kiedy odezwał się telefon. Dziwne, ale dzwoniący chciał rozmawiać z Willem, który najwyraźniej podał mój numer w nagraniu na sekretarce. W nasz romans wtargnęło prawdziwe życie w postaci klientki z drugiego brzegu jeziora. A sądziłam, że nie spędzę tego dnia sama.

– Obowiązek wzywa – oznajmił Will i pocałował mnie na pożegnanie. – Nie spodziewałem się tego połączenia konferencyjnego, ale muszę wracać do kancelarii.

Zrobiłam naburmuszoną minę.

– Wszyscy tak mówią.

Will zatrzymał się i wziął mnie w ramiona.

– Kolacja?

– Ja gotuję – oznajmiłam. – Zrobię moją słynną kornwalijską zapiekankę. Będziesz zachwycony.

– Wiedziałem, że wcześniej czy później zmusisz mnie do jedzenia brytyjskich potraw. – Uśmiechnął się i zamknął za sobą drzwi.

Kilka chwil później, kiedy wyszłam spod prysznic, usłyszałam cichy szum – ktoś odkurzał na piętrze. Ubrałam się i poszłam powitać moją gospodynię.

Łypnęła na mnie ponuro.

– Miałaś w nocy gościa.

Nie wiedziałam, czy Iris po prostu ze mną rozmawia – na swój dziwny i niezbyt sympatyczny sposób – czy też wyraża niezadowolenie z tego, że Will spędził tu noc. A właściwie, czy to jej sprawa?

– Tak – oznajmiłam głośno, żeby przekrzyczeć odkurzacza. – Willa Archera. Mam nadzieję częściej się z nim spotykać.

– Oczywiście, jak wolisz – wymamrotała z dezaprobatą i wróciła do pracy.

Już chciałam wygłosić kazanie, że nie należy wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale zmieniłam zdanie. Może namówię Iris na dalsze opowieści? Mogłabym przysiąc, że gdy wyszłam, przez jej twarz przemknął lekki uśmiešek, jakby zdawała sobie sprawę, jaką władzę ma nade mną.

Gwizdnęłam na malamutki i zeszyliśmy z boczem wzgórza po zakupy na dzisiejszy wieczór i nadchodzący weekend. Dobrze było wyrwać się z domu i pójść na spacer w ten pogodny dzień. Psy biegły przodem, dokazując i szczekając. Co jakiś czas wracały do mnie. Nigdy nie oddalały się za bardzo.

Dowiedziałam się, że mieszkańcy wyspy niemający środków transportu mogą zamawiać zakupy z dostawą do domu. Wystarczyło wybrać potrzebne rzeczy, zapłacić, a w ciągu godziny produkty dostarczano pod same drzwi. Z ogromną ulgą zaczęłam się przechadzać między półkami, szukając składników na kornwalijską zapiekankę i zupę z dzikim ryżem. Wzięłam też sery, owoce, krakersy i wino.

Zapłaciłam, wyszłam i gwizdnęłam na psy. Z przerażeniem zauważyłam, że po drugiej stronie ulicy stoją rodzice Julie Sutton. Nie miałam siły na kolejne starcie, więc ruszyłam w kierunku domu, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Niestety, za moimi plecami rozległo się wołanie:

– Halcyon! Proszę, zaczekaj!

A niech to wszyscy diabli. Odwróciłam się i zobaczyłam Suttonów idących przez ulicę w moją stronę. Zacisnęłam zęby i przygotowałam się na walkę.

Ale czekało mnie zaskoczenie.

– Halcyon, jestem Frank Sutton – powiedział ojciec Julie, wyciągając rękę. – Zdaje się, że niedawno spotkałaś moją żonę, June.

Skinęłam głową, zastanawiając się, dokąd zmierza ta rozmowa. – Tak.

– Strasznie mi wstyd, że tak cię potraktowałam – odezwała się June Sutton z oczami pełnymi łez. – Nie miałam prawa tak do ciebie mówić. Chciałam cię przeprosić.

Uścisnęłam jej rękę.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, przez co państwo przeszli. Mogę tylko powiedzieć, że nie wiedziałam o niczym aż do przyjazdu na wyspę.

– Wiem! Niepotrzebnie na ciebie naskoczyłam. Ale po tylu latach...

Znowu zaczęła się rozklejać, więc jej przerwałam:

– Proszę, zapomnijmy o tamtym spotkaniu i zacznijmy od nowa.

Suttonowie przytaknęli – w ich oczach widziałam cierpienie, które zrozumieć mogą tylko ci, którzy utracili dziecko – i się rozeszliśmy. Bardziej niż kiedykolwiek zapragnęłam dowiedzieć się, co naprawdę spotkało ich córkę.

Chodziłam uliczkami miasta, szukając właściwego adresu. W końcu, dwie przecznice od Main Street, znalazłam dwupiętrowy ceglany budynek, dosyć stary, a w nim – posterunek policji.

Nabrałam tchu i otworzyłam drzwi. Za biurkiem siedział mężczyzna zatopiony w lekturze dokumentów. Na mój widok podniósł głowę.

– Chciałam... spytać o możliwość zyskania dostępu do akt zamkniętej sprawy.

Policjant przyjrzał mi się zmrużonymi oczami. Nie wiedziałam, czy mnie rozpoznał. –Jakiej sprawy?

– Chodzi o wypadek, który miał miejsce przed trzydziestu laty i...

– Pani jest Halcyon Crane – przerwał mi bez uśmiechu.

Skinęłam głową i oparłam się o barierkę dzielącą mnie od biurka.

– Owszem. Chciałabym obejrzeć akta sprawy Julie Sutton.

– Sprawy zabójstwa Julie Sutton – poprawił mnie. –Jej śmierci.

Atmosfera na posterunku zgęstniała, jakby sama wzmianka o tym dawnym wydarzeniu obudziła gniew policjanta.

– Nie. – Mężczyzna pokręcił głową. – Niestety, to niemożliwe.

Wiedziałam, że nie dostanę dokumentów od razu, ledwie wejść z ulicy, więc spróbowałam inaczej:

– Czy akta zamkniętych spraw, zwłaszcza tak starych, nie są udostępniane społeczeństwu? – Nie miałam co do tego pewności, ale chyba mówiono o tym w jakimś odcinku *Prawa i bezprawia*.

Policjant skinął głową.

– Słusznie. Społeczeństwo ma prawo wglądu w zamknięte sprawy. Ale ta nie została zamknięta.

– Ale... Przecież to wydarzyło się trzydzieści lat temu i podejrzany nie żyje. Może pan nie słyszał, że mój ojciec zmarł parę tygodni temu.

– Umarł czy nie, jego status nie ma wpływu na dochodzenie. Postępowanie nadal trwa.

– Nie rozumiem. Sprawdzacie innego podejrzanego?

Mężczyzna pokręcił głową.

– W tym stanie wszystkie przypadki zabójstwa uważa się za otwarte, dopóki nie znajdzie się winnego. Nie zajmowaliśmy się tym morderstwem od śmierci pani ojca – a raczej od jego zaginięcia trzydzieści lat temu. Ale to nie znaczy, że zagadka została rozwiązana.

– Czyli nie mogę zajrzeć do akt?

– Niestety, nie. – I policjant wrócił do pracy, a przynajmniej udał, że pracuje.

Pokonana zabrałam torebkę i wyszłam.

Iris znowu przygotowała mi obiad: żeberka, chleb i parującą miskę gulaszu z wczoraj. Stała przy kuchni, gdy wpadłam z psami tylnym wejściem.

– Nie usiądziesz ze mną?

– Nie, panienko, już jadłam. To obiad dla ciebie. – Postawiła przede mną filiżankę gorącej herbaty. Poczułam nieznaną zapach – dziwny ziołowy aromat mchu, liści i jesieni. – Specjalna mieszanka twojej matki – wyjaśniła z uśmiechem. Usiadła przy mnie i zrozumiałam, że nadeszła pora na opowieść.

– Wspominałam już, że Hannah dzielnie otrząsnęła się z rozpacz po śmierci swoich córeczek – zaczęła, gospodyni – ale to tylko część prawdy. Tak, żyła dalej i urodziła Simeonowi kolejne dziecko, twojego dziadka Charlesa Hilla. Mieszkał i zmarł w tym domu. Ale to historia na inny dzień.

Ugryzłam wielki kęs mięsa i siedziałam, żując i słuchając.

– Hannah podniosła się po ciosie, to prawda, ale nie uniknęła cierpienia i szaleństw. Śmierć córek ją zdruzgotała jak każdą matkę. Jednak różnica między nią a innymi kobietami polegała na tym, że Hannah wiedziała, iż poczęła wyłącznie dzięki pomocy wiedźmy z Letniej Polany.

Znowu poczułam dreszcz na plecach. Oczy Iris pociemniały.

– Przez całe tygodnie po ich śmierci Hannah zachowywała się jak szalona. Twierdziła, że choć straciły życie – przecież odbył się pogrzeb, na którym zjawili się wszyscy mieszkańcy wyspy – to nadal pozostają blisko niej. W domu zaczęły się dziać niewytłumaczalne rzeczy: zegar spadał z gzymsu kominka, pękały szklanki, drzwi otwierały się i zamykały bez powodu. Hannah podejrzewała, że to dzieło dziewczynek, i doszła do strasznego wniosku, że jej maleństwa utknęły gdzieś między ziemią a niebem. Bardzo się martwiła ich losem.

– Co o tym sądził Simeon? – wtrąciłam.

– Simeon? – prychnęła pogardliwie Iris. – Dobry był z niego człowiek, to pewne, ale wyjątkowo praktyczny. Nie interesował się tamtym światem. Spadające zegary, pękające szkło, otwierające się i zamykające drzwi – to dawało się łatwo wyjaśnić. W tym domu panowały i nadal panują przeciągi.

Pamiętaj, że twój pradziadek nie wiedział o wizycie Hannah u Martine ani o ziołach. Nie miał pojęcia, że jego córki urodziły się w wyniku rzuconego czaru. Dlatego uważał, że należy ustępować żonie. Zrozpaczona matka musi odbyć żałobę, a rozpacz przyjmuje różne postaci.

Jednak po kryjomu odwiedził miejscowego pastora – pobożnego misjonarza, który nie tolerował żadnych odstępstw od kościelnej doktryny. Spytał o zdanie także lekarza. Ten doradził leczenie żony albo nawet zamknięcie jej w zakładzie, jeśli histeria wkrótce nie ustąpi. Dlatego Simeon czekał na poprawę sytuacji w napięciu, uważnie obserwując Hannah i odzywając się do niej w jak najłagodniejszy sposób.

Pewnego popołudnia, gdy Simeon poszedł do pracy, Hannah wsiadła na konia i pojechała na drugą stronę wyspy. Miała parę pytań i tylko jedna osoba mogła na nie odpowiedzieć.

– Martine – wtrąciłam szybko.

Iris przytaknęła.

– Choć od pierwszego spotkania minęło dziewięć lat, wiedźma na nią czekała. Hannah opowiedziała jej o tragicznej śmierci córek w burzy śnieżnej, a także o tym, że zdołały wskazać jej drogę do domu.

– Nie mam wątpliwości, że nadal przy mnie czuwają – oznajmiła Hannah.

– Skąd wiesz? – spytała Martine i podała jej filiżankę herbaty.

– Czuję to – oświadczyła Hannah, pijąc – Czuję ich obecność. A w domu zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Szklanki pękają, zegar spada, drzwi same otwierają się i zamykają...

– Ale nie skontaktowały się z tobą? Nie przemówiły do ciebie od dnia śmierci?

– Nie – przyznała Hannah – lecz na pewno mi towarzyszą. Nagle poczuła się dziwnie, jakby jej myśli nie należały do niej. Obraz świata zaczął się rozmywać, a potem zniknął, a ona widziała już tylko twarz czarownicy.

– Czego chcesz ode mnie, Hannah Hill?

– Chcę się skontaktować z moimi córkami – odparła. – Chcę im powiedzieć, że nic mi się nie stało. I dowiedzieć się, jak się czują.

– Nie powinno się pochopnie wzywać duchów zmarłych – ostrzegła Martine. – Przywoływanie duchów zmarłych, którzy przyszli na świat za sprawą magii, jest jeszcze bardziej niebezpieczne.

– Dlaczego?

– Bo w ten sposób prosisz, żeby tu zostały. Chcesz to zrobić?

– To moje córki – oznajmiła Hannah uparcie. Głowa ją bolała i ciążyła jej niemiłosiernie. – Co z nimi? Czy mam coś dla nich zrobić? Chcę to wiedzieć. Muszę to wiedzieć.

– Na pewno? – spytała Martine.

– Tak – szepnęła Hannah.

– Zatem niech się stanie. Przyjdę do ciebie, kiedy twój mąż wyjedzie.

Wezwiemy je i dostaniesz to, czego pragniesz.

Słuchałam tej części historii i coś mnie nieustannie niepokoiło.

– Iris – przerwałam. – Skąd ty to wiesz? Jak możesz znać rozmowę Hannah i Martine?

Wydawało mi się, że moje pytanie rozgniewało gospodynię.

– Słuchaj i już. Wszystko się wyjaśni. Nie przeszkadzaj.

– Przepraszam – mruknęłam, sadowiąc się wygodniej, a tymczasem Iris odkaszlnęła, upiła łyk herbaty i przygotowała się do dalszego opowiadania.

– Hannah podziękowała Martine i wyszła. Dopiero gdy oddaliła się od domku i owionęło ją chłodne powietrze lasu, uświadomiła sobie, że nie poprosiła Martine o to, czego naprawdę chciała: pomocy w dopilnowaniu, żeby córeczki dostały należną im nagrodę w niebie. Ale to nie problem. Martine obiecała jej rozmowę z dziewczynkami. Wtedy to załatwi.

Minuty zmieniły się w godziny, a potem w dni, a Hannah niecierpliwie czekała na wizytę Martine. Codziennie gdy Simeon wychodził do pracy, siadała w kuchni, przy tym stole, i wpatrywała się w gościniec za domem.

Iris wskazała artretycznym palcem w stronę okna za moimi plecami. Poruszyłam się nerwowo. Wyobraziłam sobie prababkę, siedzącą na tym samym krześle co ja i czekającą na wiedźmę, która skontaktuje ją z duchami.

Potem przypomniałam sobie zjawę, która niedawno mnie odwiedziła. Zadrżałam. Pociągnęłam łyk herbaty, żeby pozbyć się uczucia chłodu.

– Wreszcie nadszedł ten dzień – podjęła Iris. – Przed kuchennymi drzwiami Hannah stanęła Martine, osłonięta peleryną z kapturem. Trzymała małą aksamitną sakiewkę. „Na pewno nikogo nie ma?” – spytała, rozglądając się po kuchni. Twoja prababka przytaknęła. Ale to nie była prawda. Hannah nie wiedziała, że schowałam się nieopodal wraz z kuzynką z drugiego brzegu jeziora. Moja matka też znajdowała się na terenie posiadłości, robiła pranie w osobnym domku, stojącym na miejscu obecnego ogrodu Madlyn.

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam widmowe zarysy drewnianej szopy. Matka Iris ukazała się w drzwiach z naręczem białych prześcieradeł i podeszła do rozpiętych sznurków. Potrząsnęłam głową. Czy naprawdę to zobaczyłam?

Iris wyrwała mnie z zamyślenia.

– Spójrz uważnie, dziecko. Spójrz w siebie.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz – powiedziała z uśmiechem. – Wizje nabiorą kształtu.

Wkrótce stanę się jedynie narratorką tego, co będziesz widzieć własnymi oczami. A potem przestaniesz mnie potrzebować.

– Co ty opowiadasz?

– Wkrótce się przekonasz. Przypuszczam, że panią Hill tak owładnęło pragnienie, by znowu porozmawiać z dziećmi, że nie pomyślała o służącej i jej córce. A ja bawiłam się z Jane w kępie wielkich cedrów. Wtedy właśnie ujrzałyśmy zbliżającą się Martine. Oczywiście na jej widok natychmiast popędziłyśmy do domu. Chciałyśmy się jej lepiej przyjrzeć. Słyszałyśmy opowieści o wiedźmie z Letniej Doliny, ale za bardzo się bałyśmy, żeby zakraść się do jej chatki jak inne dzieci. A ona zjawiała się nagle u nas! Zakradłyśmy

się do kuchennego okna i zobaczyłyśmy, że Martine otwiera małą sakiewkę ze szkarłatnego aksamitu i wyjmuje z niej różne rzeczy: koronkowy obrus, świece, suszone zioła. Potem usłyszałyśmy, jak wiedźma mówi: „Potrzebuję osobistych przedmiotów należących do dziewczynek”. Hannah wyszła z kuchni i po chwili wróciła z trzema jedwabnymi wstążkami, które trzymała jak relikwie. „Nosił je we włosach” – szepnęła.

Zabrakło mi tchu. Jedwabne wstążki!

Tymczasem Iris ciągnęła:

– Martine skinęła głową z aprobatą i położyła wstążki na środku stołu. Wokół nich ustawiła świece. W płomień jednej z nich nasypała jakieś rozdrobnione zioła, które dały szkarłatny dym i intensywny, drażniący zapach, tak mocny, że poczułyśmy go, nawet stojąc za oknem. Potem zaczęła mówić w języku, którego nie rozumiałam. Wypowiadała dziwne słowa – pewnie zaklęcie. Chyba wpadła w jakiś trans, bo jej oczy wywróciły się białkami do góry.

Spojrzałam na Hannah, siedziała w milczeniu, skupiona. Wyglądała jak zahipnotyzowana. Wpatrywała się pustym wzrokiem w przestrzeń, nie zwracając uwagi na Martine ani nas. Mnie także zaczęło z wolna ogarniać odrętwienie. Usiłowałam się poruszyć, ale nie mogłam, uwięziona przy oknie, ze wzrokiem utkwionym w wiedźmę przyzywającą duchy zmarłych. Nagle zrozumiałam jej słowa. Czarownica powtarzała imiona dziewczynek: „Persephone, Patience, Penelope; Persephone, Patience, Penelope”. Nakazywała im powrócić.

Słuchając Iris wołającej dziewczynki, poczułam, jakbym to ja stała się dzieckiem podglądającym wiedźmę przez okno. Przez zamgloną szybkę zobaczyłam jej pomarszczoną twarz, puste oczy Hannah, kuchnię wyglądającą

tak jak sto lat temu – bez mikrofalówki w kącie i lodówki z galwanizowanej stali.

– Persephone! Patience! Penelope! – ciągnęła Iris z grymasem, jaki pewnie wykrzywił twarz Martine.

Poczułam muśnięcie wstążki na policzku. Chciałam krzyknąć, żeby Iris przestała. Czy wzywała te dziewczynki tak, jak niemal wiek wcześniej Martine? Nie chciałam się tego dowiedzieć. Usiłowałam poprosić ją, żeby zamilkła, ale nie mogłam się poruszyć ani odezwać, pochwycona w sieć słów, którą utkała.

Raptem scena się zmieniła. Nie byłam już dziewczynką za oknem, lecz Hannah. Mgliście, jakby z wielkiej odległości, dostrzegałam Iris z oczami wywróconymi białkami do góry, wzywającą trzy zmarłe dziewczynki. O wiele wyraźniej widziałam Martine, siedzącą po drugiej stronie stołu. Patrzyłam oczami mojej prababki, która znajdowała się tu prawie pięćdziesiąt lat temu.

Trzask, który dobiegł z salonu, sprawił, że wizja rozwiała się w powietrzu jak para unosząca się znad filiżanki. Potrząsnęłam głową, żeby oprzytomnieć. Drzwi kuchni otworzyły się gwałtownie i zatrzasnęły, a potem jeszcze raz i znowu. Iris ocknęła się i spojrzała na mnie przejrzystymi, ciemnymi oczami.

Poderwałam się z krzesła.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęłam, rozglądając się dziko.

Parę szklanek spadło z półek i rozbiło się na blacie. Na szczęście drzwi przestały hałasować. Iris potrząsnęła głową z uśmiechem.

– Chcę tylko skończyć tę historię. Zostało jeszcze wiele do opowiedzenia.

– Nie wiem, czy mam ochotę tego słuchać – wykrztusiłam, mocno zaciskając palce na grzbiecie krzesła. – Rozejrzyj się po kuchni. Te szklanki same spadły?

– Później posprzątam.

– Nie o to mi chodzi. Chciałaś wezwać dziewczynki, tak jak Martine?

Iris przeszła mnie wzrokiem i odezwała się głosem, który brzmiał, jakby nie całkiem należał do niej:

– Nie muszę ich przyzywać. One już tu są. Kiedy tamtego dnia wiedźma je sprowadziła, zostały.

Usiadłam ciężko. A więc to prawda.

– To jeszcze nie koniec historii, dziecko. Musisz tego wysłuchać.

Skinęłam słabo głową.

– Gdy Martine wypowiadała imiona sióstr, szklanki zaczęły pękać, drzwi trzaskać, a Hannah, gdy wreszcie zdołała się wyrwać spod czaru, który rozsnuwała czarownica, zerwała się i krzyknęła: „Dziewczynki! Dziewczynki! To ja, wasza mama!”. Ale trojaczki nie dbały o matkę. Jak wspomniałam, nie przypominały ówczesnych dzieci. Były psotne do granic możliwości, nawet za życia. I złośliwe. Całkiem jakby nie miały duszy. Ani sumienia.

Martine i Hannah nie widziały mojej kuzynki i mnie, przycupniętych i drżących ze strachu za oknem kuchennym, ale Persephone, Patience i Penelope nas dostrzegły. Rzuciły się na moją biedną kuzynkę. Nadal nie rozumiem, dlaczego dały mi spokój. Może dlatego, że za życia się ze mną bawiły? Słyszałam ich chichot i szepty, gdy obstąpiły nieszczęsną Jane. Popychały ją, szturchały i kopały, szczypały i podstawiały jej nogę. Powinnam jakoś pomóc, bronić jej, ale skamieniałam ze strachu. Ukryłam się

za krzakiem i patrzyłam, jak ucieka z krzykiem przed niewidzialnymi dręczycielkami. A potem runęła z klifu.

Przez chwilę siedziałam w osłupieniu.

– Jak to... runęła?

– Jane zginęła tego dnia, Halcyon. Znaleziono jej ciało w tym samym miejscu, w którym parę miesięcy wcześniej straciły życie córki Hannah.

TTLR

19

Chyba już wiem, dlaczego ojciec mnie stąd zabrał– powiedziałam Willowi przy kolacji.

Gdy parę godzin po odejściu Iris stanął w moich drzwiach, rzuciłam mu się w ramiona. Dygotałam ze strachu przez resztę popołudnia. Historia o mojej prababce, Martine i dziewczynkach – i biednej Jane! – rozstroiła mi nerwy. To było z pewnością straszniejsze niż opowieści, których ciekawie słucha się na imprezie. Czułam się jak w koszmarze. Nagle stałam się nie-szczęśnikiem, który trafił na dzieci kukurydzy, podróżnikiem, którego samochód psuje się w krainie wampirów. Aż do przyjścia Willa zostałam z małamutkami w kuchni. Nie chciałam się zapuszczać w inne części domu, gdzie mogły się czaić trzy złośliwe siostry. Zająłam się przygotowywaniem posiłku. Psy wyczuły mój niepokój i trzymały się blisko, tuląc się do moich nóg.

Podalam Willowi kawałek kornwalijskiej zapiekanki i opowiedziałam mu, jak Hannah i Martine wezwały duchy, jak Iris przyglądała się temu przez okno i jak upiorne dziewczynki spowodowały śmierć Jane.

– Niewiarygodna historia – mruknął Will, kręcąc głową. – Ciekawe, czy cokolwiek jest tu zgodne z prawdą.

Zatrzymałam łyżkę w pół drogi do ust.

– Myślisz, że Iris zmyśla? Dlaczego miałyby to robić?

Will uniósł ręce w przeproszającym geście.

– Nie twierdzę, że kłamie, ale to wydarzyło się bardzo dawno temu, w czasach jej dzieciństwa. Stara czarownica, zaklęcia, magia, wzywanie zmarłych – musisz przyznać, że brzmi to jak bajka. Coś prosto w dziecięcej wyobraźni.

– Chciałabym wierzyć, że to urojenia Iris, ale widziałam te dziewczynki.

W każdym razie jedną z nich.

Skinął głową.

– Albo kogoś, kogo za nią uważasz.

– Kogo za nią uważam? – Spojrzałam na niego ze zdumieniem. – Nie oszalałam, jeśli o to ci chodzi.

– Wiem, że nie. – Znowu uniósł ręce, jakby broniąc się przed moim gniewem. – Dobrze. Przyjmijmy teoretycznie, że wszystko, co dziś usłyszałaś, to szczerą prawdą, bez upiększeń i przesady. Co dalej?

– To by wyjaśniało, dlaczego ojciec mnie stąd zabrał.

Will zaczął niedowierzająco kręcić głową, ale zanim zdążył się odezwać, rzuciłam pospiesznie:

– Tylko mnie wysłuchaj! A jeśli tata jakoś dowiedział się o tej historii? Może zobaczył trojaczki na własne oczy, tak jak ja. Może... – urwałam. Miałam nadzieję, że Will dokończy to zdanie.

– Dobrze, pociągnę tę myśl. Może ci zagrażały. To z całą pewnością wystarczyło, żeby podjął drastyczne kroki, by ratować córkę.

– Otóż to – powiedziałam. Na wspomnienie taty w oczach stanęły mi łzy. Chciałabym, żeby pomógł mi zrozumieć, żeby mi wyjaśnił, dlaczego przed laty mnie stąd wywiózł.

Will wziął mnie za rękę.

– Przypomniałaś sobie coś z tamtych czasów?

Pokręciłam głową.

– Nic a nic.

– To także może coś znaczyć – zastanowił się. – Ja wiele pamiętam z dzieciennych lat, ty nie. To znaczy, że przeżyłaś jakąś traumę, którą postanowiłaś zapomnieć.

Mnie też to przyszło do głowy, kiedy kuliłam się w kuchni, przerażona, czekając na jego przyjście. Ten ogromny strach wydawał mi się jakoś znajomy, jakbym już go doznała w tym samym miejscu.

– Jakie masz wspomnienia z wizyt w tym domu? – spytałam.

Uśmiechnął się, zamyślony.

– Świetnie się bawiliśmy. Dokazywaliśmy na dworze, budowaliśmy domki na drzewach, pływaliśmy.

– Czy kiedyś widziałaś... no, wiesz... Dziewczynki? – Pokręcił głową.

– Nie. O ile pamiętam, mieliśmy całkiem normalne dzieciństwo.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć, Will chyba też, więc postanowiłam zmienić temat na mniej nadprzyrodzony.

– Poszłam dziś na policję – oznajmiłam.

– Po co?

– Chciałam zajrzeć do akt sprawy Julie Sutton. Will skończył zapiekankę i pokręcił głową.

– Niech zgadnę. Nic z tego nie wyszło.

– Skąd wiesz?

– Nigdy ci nie dadzą tych dokumentów, Hallie uprzedzałem.

Westchnęłam.

– To jak mam się dowiedzieć, co się wydarzyło? Tylko ja z uczestników tego zajścia zostałam przy życiu, ale niczego nie pamiętam. Myślałam, że jeśli spojrzę na akta, doznam jakiegoś olśnienia.

– Powiedziałem, że nie dadzą ich tobie.

– Ale tobie już tak?

Will uśmiechnął się łobuzersko.

– Nie mam pewności. Ale to bardzo małe miasto i dokumentów nie trzyma się tu w twierdzy. Sprawdzę, co da się zrobić.

TTLR

Dziś poznasz historię swojego dziadka – oznajmiła Iris następnego dnia przy porannej kawie.

– Pracował jako miejscowy weterynarz, prawda?

– Tak. Ale ja opowiem ci o jego dzieciństwie. Charles urodził się w drugą rocznicę śmierci swoich sióstr – powiedziała gospodyni, przymykając oczy w zamyśleniu. – Był wesołym niemowlakiem, pyzaty, błękitnookim, z jasnymi włoskami. Bardzo go lubiłam, spędzaliśmy razem dużo czasu. Widzisz, powierzono mi opiekę nad nim.

Wyobraziłam sobie młodą, pełną życia dziewczynę o długich, rozwianych na wietrze włosach, pchającą w ogrodzie wózek i śpiewającą dziecku. Iris?

– Miałam wtedy jedenaście lub dwanaście lat – od śmierci dziewczynek bardzo dorosłam – i matka zaproponowała, żeby zatrudniono mnie jako nianię. To ucieszyło Hannah, która miała wiele zajęć na głowie. Po tamtym strasznym dniu nie spotkała się już z Martine, choć nie ona podjęła tę decyzję. Wiedźma znikła, jej chatka opustoszała. Nikt nie wiedział, co się stało z czarownicą, dokąd odeszła ani jak odpłynęła z wyspy, niezauważona nawet przez kapitana promu. Z czasem Hannah zaczęła powątpiewać w swoje wspomnienia i nawet zastanawiała się, czy Martine w ogóle istniała.

– Dobrze ją rozumiem – mruknęłam, upijając łyk kawy. Ledwie ją przełknęłam, przed oczami stanęła mi wizja: Charles jako niemowlak pod czujnym okiem Iris. Spojrzałam pytająco na moją gospodynię.

– Zawsze potrafiłaś dostrzec duchy czekające za zasłoną. Teraz ci się ukazują w ważnych chwilach swojego życia.

– Ale jak...

– Musisz zaczekać – ucięła. – To opowieść na inny dzień. Dziś mówimy o Charlesie.

Słusznie. Upiłam kolejny łyk.

– Charles był dobrym dzieckiem, posłusznym i miłym, zawsze roześmianym, szczebioczącym i promiennym. Może dlatego nikogo nie dziwiło, że w wieku dwóch lat nie wypowiedział jeszcze ani słowa.

– Dwóch lat? Dzieci chyba zaczynają mówić wcześniej?

Iris skinęła głową.

– W istocie. Po drugich urodzinach Hannah zaniepokoiła się jego milczeniem. Towarzyszyłam jej w kilku wyprawach do lekarzy na drugim brzegu jeziora. Żaden nie zdołał postawić diagnozy, która wyjaśniałaby, dlaczego malec nie mówi. Dlatego postanowiłam mu pomóc. Czytałam mu, uczyłam go alfabetu i podstawowych działań. Wskazywałam litery i wymawiałam je. Charles nie odpowiadał, ale widziałam, że słucha i zapamiętuje.

Kiedy miał cztery lata...

– Cztery? – przerwałam. – W wieku czterech lat nadal nie mówił?

– Otóż to. I ku mojemu strapieniu zaczął sam wychodzić z domu. Zrozpaczona szukałam go wszędzie. W ogrodzie, na klifie. Ale wkrótce okazało się, że zawsze można go znaleźć w dwóch miejscach – w stajni albo na trawniku.

W powietrzu nad stołem ukształtował się blady, falujący obraz blondynka o błękitnych oczach siedzącego na trawie z dwoma psami. Obok stał zaciekawiony jelen, a nad nimi krążył jastrząb.

– Zwierzęta? – spytałam Iris, nie wierząc własnym oczom.

– Ze zwierzętami łączyła go jakaś niezwykła więź. Chłopiec miał wrodzony talent. Jakby potrafił czytać im w myślach i rozumieć, co mu przekazywały. Mówił ich językiem, choć nie wydawał żadnego dźwięku. Zastawałam go w zagrodzie z krową, na trawie w otoczeniu drozdów lub leniwie głaszczącego zabłąkanego skunksa. Nigdy mu wtedy nie przeszkadzałam –ciągnęła Iris. – Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, ale wiedziałam, że nie powinnam. Dlatego tylko przyglądałam się ze zdumieniem.

– To wspaniałe... magiczne – szepnęłam, wyobrażając sobie ogromnego jastrzębia lądującego na malej, wyciągniętej rączce chłopca.

– To prawda. – Iris uśmiechnęła się do mnie z błyskiem w oku. – Raz znalazłam pięcioletniego Charlesa leżącego na trawie z pumą!

Gardło mi się zacisnęło.

– Nie miałam pojęcia, że na wyspie żyją drapieżniki! – Czy podczas wędrówek groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo?

– W tamtych czasach było ich sporo, ale już dawno wyginęły. Wiedzieliśmy, co potrafią pumy – niektórzy nazywali je panterami – zwłaszcza głodne. Oczywiście się przeraziłam, więc zawołałam Hannah, która krzyknęła i zemdląła na widok swojego dziecka z wielkim kotem. Pobiełam po Simeona, kazałam mu przyjść ze strzelbą. Twój pradziadek ruszył szybkim krokiem w stronę syna, celując w wielki łeb pumy. „Nie bój się – odezwał się spokojnie do Charlesa. – Tata jest przy tobie. Nie ruszaj się”.

Ale chłopiec pierwszy raz w życiu nie posłuchał rodzica. Wstał, zasłonił sobą drapieżnika i szeroko rozłożył ramiona. „Dlaczego chcesz zastrzelić tego kota?! – zawołał. – Bella mnie chroni jak wszystkie zwierzęta, teraz przypada jej kolej”. Tak brzmiały jego pierwsze słowa. Słyszając głos syna, Simeon rzucił

strzelbę i osunął się na kolana. „Nie płacz, ojciec” – powiedział Charles, pobiegł do twego pradziadka i zarzucił mu rączki na szyję.

Simeon wziął go na ręce i mocno przytulił, a tymczasem wielki kot wstał i podszedł do nich. Simeon już chciał chwycić broń – widziałam jego przerażenie – gdy syn odezwał się znowu: „Nie bój się, ojciec. Wyjaśniłem Belli, że nie zrobisz mi krzywdy”. I puma otarła się o nogi Simeona niczym domowy kotek, a potem znowu zajęła swoje miejsce na podwórku.

– Zdumiewające – szepnęłam. Widziałam to wszystko jasno i wyraźnie. Iris skinęła głową.

– Tak, my też patrzyliśmy na to z niedowierzaniem. Później, po kolacji, gdy już przyzwyczailiśmy się do tego, że Charles siedzi przy stole i nie przestaje paplać, Simeon spytał: „Synu, dlaczego aż do dziś nie mówiłeś?”. Chłopiec spojrzał na niego ze zdziwieniem. „Nie rozumiem, ojciec”. Simeon powtórzył pytanie: „Aż do dziś nie wypowiedziałeś ani słowa. Zastanawialiśmy się, czy kiedykolwiek się odezwiesz”. Charles tylko pokręcił głową. „Mówiłem od lat. Nie słyszeliście?”. Przy stole zapadła cisza. Nikt nie wiedział, jak zareagować. Przecież chłopiec przez całe życie milczał jak grób. Simeon odpowiedział mu najlepiej, jak potrafił: „Nie, nie słyszeliśmy cię. Bardzo cię przepraszam. Chyba nie słuchaliśmy dość uważnie”. Charles uśmiechnął się promiennie i wziął ojca za rękę. „Nie szkodzi. Słuchałem za was wszystkich”.

Zrozumienie w głosie mojego dziadka, wtedy chłopca – którego słowa słyszałam tak wyraźnie, jakby stał tuż obok mnie – ścisnęło mnie za serce. Otarłam oczy chusteczką.

– Charles był chyba wspaniałym dzieckiem.

– Dzieckiem o magicznych zdolnościach.

– Czy potem zwierzęta nadal do niego przychodziły?

– O, tak. Zwłaszcza wilki i wielkie koty. Żaden z tych drapieżników nie skrzywdził naszych psów, kur ani krów. Przybywały w jednym celu: żeby chronić Charlesa.

– Przed czym?

Na twarzy Iris powoli rozlał się uśmiech. . . .

– Dziecko, nie pamiętasz, co ci powiedziałam wczoraj?– Oczywiście, że tak.

– I jak ci się zdaje, z czyjej strony chłopcu groziło niebezpieczeństwo?

Odpowiedź uderzyła mnie jak lodowata fala. Przed oczami ujrzałam trzy upiorne dziewczynki. Mój dziadek potrzebował ochrony przed zmarłymi siostrami!

Postanowiłam nie powtarzać Willowi ostatniej historii Iris. Jej gawędy mnie fascynowały, ale kiedy wyszła, wspomniałam słowa Willa i zastanowiłam się, ile z tego, co usłyszałam, było prawdą. Wiedziałam, jak to brzmi: niemy chłopiec nawiązuje nadprzyrodzoną więź ze zwierzętami. Przecież o czymś takim czyta się w bajkach.

Nie, zanim opowiem Willowi coś więcej, muszę znaleźć jakiś dowód. Koniecznie. W sobotni rano wyprawiłam się na drugie piętro, zdecydowana odszukać jakieś stare rodzinne fotografie. Do tej pory nie zapuszczałam się tak daleko. Miałam wiele powodów, żeby tego nie robić – wszystkie niewątpliwie głupie. Na górę można było się dostać tylko kuchennymi schodami, ponieważ mieszkali tam kiedyś służący – tak przynajmniej sądziłam. Chodziło o to, by kursując między kuchnią i pralnią, nie przechodzili przez reprezentacyjną część domu.

Już same schody wydawały mi się upiorne. Wolalam sobie nie wyobrażać, co znajdę u ich szczytu. Okazało się, że są tam zamknięte na głucho drzwi. A ja nie potrafiłam ich otworzyć. Oczywiście mogłabym po prostu spytać Iris, gdzie leżą klucze. Na pewno je miała albo wiedziała, gdzie ich szukać, bo od czasu do czasu słyszałam, jak krząta się na górze, sprzątajac. Jednak miałam dziwne wrażenie, że nie powinnam się tu zapuszczać – pewnie jakieś echo z dzieciństwa. To, co spotkało mojego ojca i Julie Sutton, musiało się stać tutaj. Na myśl, że znowu może wydarzyć się coś podobnego, robiło mi się niedobrze.

Ale tego dnia ciekawość zwyciężyła. Oczywiście nie spodziewałam się, że znajdę zdjęcie Martine w trakcie wywoływania duchów, ale liczyłam na fotografię Charlesa ze zwierzętami. A może nawet na portret dziewczynek...

Zaczęłam szukać klucza i w końcu, niemal po godzinie, przesunęłam ręką po framudze okna nad kuchennym zlewem i poczułam coś chłodnego – stary uniwersalny klucz na łańcuszku. To na pewno ten! Zacisnęłam palce na metalu i poszłam na paluszkach na drugie piętro. Serce biło mi gwałtownie, gdy wkładałam klucz do zamka. Drzwi otworzyły się bez trudu.

Stałam w długim korytarzu, podobnym do tego piętro niżej. Otoczył mnie mrok, żaluzje w oknach po obu stronach były opuszczone. Wcisnęłam włącznik. Nic. Odsloniłam jedno okno, a potem drugie. Ukośne, wąskie promienie słońca oświetliły przestrzeń. Nie zauważyłam nic przerażającego. Ta część domu prezentowała się skromniej. Zwyczajny czerwony chodnik na podłodze, ściany pomalowane zwyczajną kremową farbą, teraz pożółkłą ze starości.

Ujęłam klamkę pierwszych drzwi i ją nacisnęłam. Za progiem ujrzałam pokój z wąskim łóżkiem (bez pościeli, wyłącznie z materacem) oraz małą nocną szafką. Pod ścianą stała komoda, całkiem pusta. Na końcu znajdowała się mała łazienka. Wyobraziłam sobie Iris i jej matkę mieszkające w tych klitkach w czasach, kiedy panował tu porządek.

W pobliżu drzwi na końcu korytarza puls mi przyspieszył. Czy wypadek Julie Sutton – jeśli to był wypadek – wydarzył się w tym pokoju? Wstrzymałam oddech i otworzyłam drzwi.

Pod ścianami zobaczyłam dwa łóżka nadal nakryte żółto-czerwonymi kołdrami. Na środku stał konik na biegunach, z którego miejscami łuszczyła się farba, a w kącie pod zasłoniętym żaluzjami oknem bujany fotel. Ściany

pokrywała spłowiała żółta tapeta przedstawiająca kaczkę, gęsi i kury zmierzające na podwórko. Nawet teraz był to śliczny pokój dziecienny. Poczulałam się jak w domu. Czy dawniej się tu bawiłam?

W kącie zauważyłam pudła, skrzynie i walizki. Sukces! Pudła miały wyraźne oznaczenia: „zabawki”, „ubrania”, „płaszcz”. W jednym z kufrów znalazłam albumy ze zdjęciami, opisane i uporządkowane. Już miałam zacząć przeglądać fotografie wielu pokoleń mojej rodziny, kiedy zobaczyłam pudło z napisem: „Noah”, a obok niego drugie: „Hallie”. Znieruchomiałam. Zapomniałam, po co tu przyszłam, osunęłam się na podłogę i otworzyłam pierwsze z nich. Ujrzałam schludnie złożone rzeczy: ubrania, książki, krawaty i inne przedmioty osobistego użytku oraz – co zainteresowało mnie najbardziej – dwa albumy ze zdjęciami.

Z zapartym tchem zaczęłam przewracać kartki. Tęsknota i żal ścisnęły mi serce, kiedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłam rodziców razem. Tak młodego ojca oczywiście nie pamiętałam, ale najbardziej zaskoczyła mnie radość w jego oczach. Przerzuciłam jeszcze parę stron. Mama i tata na pikniku, nad jeziorem, koło Wielkiego Kanionu (miesiąc miodowy?). Bardzo młoda Madlyn wyglądała jak moje lustrzane odbicie. Byli wtedy szczęśliwi, w tych pierwszych latach małżeństwa. Zdjęcia nie kłamały.

Odsunęłam pudełko ojca i otworzyłam to z moim imieniem. Pluszowy fioletowy skunks jeszcze lekko pachniał bzem. Przypomniałam sobie, że tak właśnie się nazywa – Bez. Szmaczana lalka leżała obok białego pieska, którego – podobnie jak aksamitnego królika – uważałam w dzieciństwie za żywą istotę. Chyba dlatego, że tak bardzo go kochałam. Przypomniało mi się jego imię: Psiuńcio. Rozłożyłam malutki biały sweterek i długą, również białą koszulkę – musiałam je mieć na sobie w dniu chrztu. Znalazłam kraciasty

blezerek. Skojarzył mi się z jesienią, zaostrzonymi ołówkami numer dwa oraz drogą do przedszkola w dół zbocza z pudełkiem z drugim śniadaniem w ręku. Wyjęłam jeszcze parę książeczek: *Mała syrenka* (wersja Hansa Christiana Andersena), *Hans Brinker i srebrne łyżwy* oraz cała seria *Domku na prerii* w sztywnych, nietkniętych okładkach. Wszystkie te rzeczy należały do mnie.

Tutaj także kryły się zdjęcia. Nie wiedziałam, jak wyglądałam w pierwszych latach życia, jako niemowlak i trochę starsze dziecko, szczęśliwe i roześmiane. Urodziny, święta i letnie pikniki. Ale przeglądając te fotografie, z wolna uświadomiłam sobie, że coś się nie zgadza, że nie rejestrują one wyłącznie radości i bez troski. W miarę jak stawałam się coraz większa, tchnęła z nich coraz większa groza. W moich oczach kryło się poczucie winy, tajemnica i strach.

Widok tych przedmiotów z mojego zapomnianego dzieciństwa, rzeczy, które moja zrozpaczona matka musiała tu schować na pamiątkę utraconego męża i córki, bardzo mnie poruszył. „Nic dziwnego, że nie otwierała tych drzwi – pomyślałam. – Lepiej ukryć bolesne wspomnienia”.

Ja też tego zapragnęłam: uciec od zakurzonej przeszłości i wrócić w tę część domu, która istniała w teraźniejszości. Zabrałam pudełko ze starymi rodzinnymi zdjęciami. Chciałam zanieść je na werandę i poszukać dowodu, o który mi chodziło. W ostatniej chwili wzięłam pod pachę Psiuńcia. Zamknęłam drzwi korytarza i zeszłam po schodach. Z każdym krokiem robiło mi się lżej na sercu.

Przez prawie cały weekend przeglądałam zdjęcia. Jeśli szukałam dowodu, to mi się udało. Znalazłam ziarniste ujęcie młodej pary na klifie: ona miała rozwiane włosy, on – zawadiacko przekrzywiony kapelusz. Najbardziej zaskoczyło mnie, że rozpoznałam ich twarze – Hannah i Simeona. Znałam je.

A zatem to nie igraszki wyobraźni. Naprawdę ich widziałam, gdy Iris snuła swoją opowieść. Jak to możliwe? Nie miałam pojęcia.

Ostrożnie wzięłam do ręki małe zdjęcie chłopca. Byłam pewna, że to Charles. Rzeczywiście otaczały go zwierzęta, choć nie widziałam ich dokładnie. Zmrużyłam oczy i nagle obraz powiększył się, otoczył mnie i wciągnął w swój czarno-biały świat. Leżący na klepisku stodoły Charles podniósł się i wziął książki. „Chodźmy!” – zawołał do swojej menażerii. Miał słodki, wesoły głosik, od którego serce zabiło mi mocniej. Poszłam za nim, aż w końcu znowu go zobaczyłam. Tym razem siedział przy biurku koło okna jednoizbowego budynku, który wyglądał na szkołę. Zauważyłam, że na parapetach przysiadły ptaki, psy zwinęły się w kłębek pod drzwiami, a w lesie stanął jeleni. A więc to prawda. Zwierzęta go strzegły.

Scena zmieniła się i zobaczyłam uczniów kpiących z Charlesa: „Grajek z Hamelin znowu przyprowadził zwierzęta!”. Ale chłopiec, niezrażony, biegł radośnie w środku stada. Przez chwilę pole widzenia przysłoniła mi chmara zwierząt – nietoperzy, szopów, wiewiórek – a potem znowu ukazały się dzieci, które przed chwilą prześladowały chłopca. Uciekały z płaczem. Jednego goniła wiewiórka, drugiemu nietoperz wczepił się we włosy.

Wpatrywałam się w to zafascynowana scenami z życia mojego dziadka, małego doktora Dolittle'a. Wstrzymywałam oddech w nadziei, że wizja się nie rozwieje, ale wkrótce znalazłam się we wnętrzu kościoła wypełnionego żałobnikami po ostatnie ławki. W pierwszym rzędzie siedziała Hannah, ubrana w czerń, z wdowim welonem na twarzy, u jej boku zobaczyłam przystojnego dorosłego Charlesa. Zrozumiałam, że to pogrzeb Simeona.

W ułamku sekundy znalazłam się przy kuchennym oknie. Ujrzałam Hannah w nocnej koszuli, z rozczochranymi włosami, rozbieganym

spojrzeniem, poruszając bezgłośnie ustami. Wyszła na deszcz, pocierając dłonie, jakby zmywała z nich krew. W końcu ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę klifu. „Nie!” – krzyknęłam, rzucając się za nią, ale oczywiście mnie nie usłyszała. Nie należałam do tego świata, byłam tu tylko obserwatorem. Mogłam jedynie patrzeć, jak moja prababka staje na krawędzi przepaści, pochyła się i spada w zwolnionym tempie, po czym z łomotem uderza o ziemię. Znieruchomiała, z dziwnie rozrzuconymi kończynami, niemal w tym samym miejscu, gdzie przed laty zginęły jej córki.

Otworzyłam oczy. Leżałam na szezlongu na werandzie. Wstałam i potrząsnęłam głową, usiłując zrozumieć, co się stało. Podłoga wokół mnie usłana była zdjęciami. Pudełko, z którego je wyjęłam, stało z boku. Zasnęłam? Czy to mi się przyśniło?

Później, podczas kolacji z Willem, otworzyłam jeden z albumów.

– Mój dziadek – powiedziałam, pokazując zdjęcie Charlesa ze zwierzętami.

Przyjrzał mu się z lekkim uśmiechem.

– Wiesz, że całkiem dobrze go pamiętam? Oczywiście dużo starszego.

– Jeszcze żył w czasach naszego dzieciństwa? – Nie przyszło mi to do głowy.

Will skinął głową.

– Mieszkańcy wyspy powierzali twojemu dziadkowie swoje konie, zwierzęta domowe i trzodę.

– Iris twierdzi, że od początku miał rękę do zwierząt. Podobno zaczął mówić dopiero jako pięciolatek, a wówczas od razu wypowiadał całe zdania.

– Historię o pumie pominęłam.

Will wziął mnie za rękę.

– Lubisz słuchać tych opowieści o rodzinie, prawda? Przytaknęłam.
Nawet nie wiedział jak bardzo.

– Wiele dla mnie znaczą.

I zamknęłam album. Z Iris mogłam snuć wspomnienia o przeszłości, ale przy Willu interesowała mnie tylko terażniejszość.

TTLRR

W poniedziałek rano, po śniadaniu, w moich drzwiach kuchennych stanęła Iris.

– Will Archer twierdzi, że znał Charlesa – oznajmiłam. Skinęła głową.

– Oczywiście. Wszyscy na wyspie go znali. Ale wtedy twój dziadek był już stary. Mam ci jeszcze wiele do opowiedzenia o jego życiu.

I po tym wstępie zabrała się do sprzątanía. Wiedziałam, że historia musi poczekać do obiadu, gdy Iris uzna pracę za zakończoną. A więc włożyłam kurtkę, która wisiała przy kuchennych drzwiach, i poszłam do stajni. Jeszcze jej nie odwiedzałam. Konie nadal znajdowały się u sąsiadów Madlyn. Do tej pory miałam na głowie zbyt wiele rzeczy, żeby się tym zająć. Teraz otworzyłam drzwi, a kiedy zamknęły się za mną, od słodkiego zapachu siana niemal zakręciło mi się w głowie. W stajni panował mrok, ale przez okno na stryszku wpadały promienie słońca, w których wirowały pyłki kurzu. W kącie zauważyłam damski rower z koszykiem na kierownicy. Nie najnowszy, choć na chodzie. „Musiał należeć do mamy” – pomyślałam. Z jego opon jeszcze nie zeszło powietrze. Cudowny dzień na przejażdżkę po wyspie! Wyprowadziłam rower na dwór, wskoczyłam na siodełko i pojechałam w stronę szosy.

Nie miałam ochoty odwiedzać miasta – wjazd po zboczu wzgórza uznałam za zbyt trudny – więc zawróciłam i ruszyłam w przeciwną stronę. Domy stawały się coraz mniejsze, aż wreszcie znikły w oddali, a ja znalazłam się wśród pól. Lubię każdą porę roku, ale późna jesień wydaje mi się najpiękniejsza. Liście już odegrały efektowną scenę pożegnania ze światem, drzewa przygotowały się na nadejście chłodu, wszystko pożółkło, zbrązowiło, wyschło. To czas przed martwością zimy i odrodzeniem wiosny.

Wkrótce dotarłam do lasu pełnego potężnych cedrów i sosen, wznoszących się wysoko nade mną. Zauważyłam zarośniętą piaszczystą ścieżkę, biegnącą głęboko w las, i przypomniałam sobie słowa Iris. Czy to naprawdę droga do Letniej Polany? Pojechałam nią, rozkoszując się słodką wonią roślin i ciepłym promieni przebijających się między grubymi konarami.

Ścieżka doprowadziła mnie do trawiastej polanki okolonej ogromnymi starymi drzewami i usianej najróżniejszymi polnymi kwiatami. Łubiny, stokrotki, maki, splątane krzaki dzikich róż... Skąd się tu wzięły o tej porze roku? Zauważyłam niskie, wybujałe rośliny, których nie potrafiłam zidentyfikować. Otoczył mnie upajający zapach. Zostawiłam rower i weszłam na tę dziwną łąkę. Znalazłam stare zrujnowane palenisko i ślady po domu. Zaczęłam podejrzewać, że to naprawdę Letnia Polana.

„Fantastyczne” – pomyślałam, wstrzymując oddech i ostrożnie stąpając po trawie, by hałasem nie spłoszyć wspomnień, jakie tu z pewnością mieszkały. Zamknęłam oczy i usiłowałam się posłużyć „darem”, o którym mówiła Iris. Niemal natychmiast zobaczyłam bogate damy z towarzystwa, zakradające się tutaj w opończach z kapturami kryjącymi ich twarze. Pomyślałam o mojej prababce, tak pragnącej dziecka, że uciekła się do magii. Drgnęłam, zrozumiałam, że nikt z nas by się nie urodził – ani Charles, ani moja matka, ani ja – gdyby nie zioła, które Martine dała Hannah właśnie w tym miejscu.

Jakiś głos szepnął mi do ucha: „Dzieci poczęte za sprawą czarów są czarownikami, podobnie jak ich dzieci i dzieci ich dzieci”. Pomyślałam o nadnaturalnej więzi łączącej Charlesa ze zwierzętami. Czy to także zasługa czarów? A te moje „wizje”?

Nagle poczułam, że nie jestem sama. W powietrzu wokół mnie unosiły się jakieś istoty. Muskały mnie i trącały. Całkiem jakbym znalazła się w środku tornada duchów. Pobiełam w stronę roweru, ale krzaki róż rozrosły się i zagroziły mi drogę, chwytając mnie za nogi wężlastymi gałęziami. Przedarłam się przez raniące kolcami chaszczę, aż dotarłam do roweru. Wskoczyłam na niego i oddaliłam się, pedałując ze wszystkich sił. Kiedy znalazłam się w bezpiecznej odległości, zahamowałam, żeby obejrzeć ręce i nogi. Myślałam, że krwawią, ale nie znalazłam nawet draśnięcia.

Powoli wróciłam do domu, zastanawiając się, co się wydarzyło na polanie – i czy w ogóle coś się wydarzyło.

Pojechałaś na polanę – powiedziała Iris, gdy wpadłam do kuchni. Wyjmowała właśnie z piekarnika zapiekankę z kurczakiem i brokułami.

Skinęłam głową, pochylając się, żeby złapać oddech. Mięśnie nóg mi pulsowały, gardło wyschło. Nalałam szklanek zimnej wody i wypiliśmy duszkiem.

– Nie powinnaś tam wracać. Jeszcze nie – oznajmiła gospodyni surowo.

– Co to za miejsce? – spytałam, znowu napełniając szklankę i odgarniając z twarzy mokre włosy. – Czuję się, jakbym... – – urwałam. – Nie potrafię tego nazwać.

Łakomie przyjrzałam się zapiekance, nagle głodna. Po tym, co przeszłam, chciałam tylko zanurzyć się w bezpiecznej, znajomej opowieści Iris. Usiadłam i zjadłam kawałek parującego dania, a Iris, odkaszlnąwszy, zaczęła mówić.

– Po śmierci Hannah życie w domu toczyło się nadal. Przez parę lat czuliśmy się ze sobą jak starzy przyjaciele. Charles robił karierę, a ja prowadziłam dom, nadzorując prace trojga służących. Codziennie stawiałam na stole śniadanie, obiad i kolację. Charles wyrósł na wspaniałego mężczyznę.

Oczywiście nigdy nie przestał opłakiwać ukochanych rodziców. Sądzę, że to właśnie przyciągnęło go do Amelii, dziewczyny, która została twoją babką. Moim zdaniem uderzająco podobnej do Hannah. Miały takie same płomienne oczy.

Rodzice Amelii – Fisterowie, bogaci Irlandczycy z Chicago – parę lat wcześniej zbudowali na wyspie letni dom. Charles ich znał. Parę razy spotkał Amelię, ale niewiele o niej myślał. Jednak w roku śmierci jego matki Amelia

przyjechała na wyspę z rodzicami. Jej ojciec, niegłupi jegomość, pokładał wielkie nadzieje w tym przystojnym, bogatym i wolnym weterynarzu, dlatego urządził przyjęcie, na którym zamierzał go poznać ze swoją córką. Gdy parę dni później zjawiała się tu z chorym kotem, usiłowałam ją odesłać. Wiedziałam, o co jej naprawdę chodzi. Ale była dla mnie za sprytna. Sama znalazła Charlesa w stajni.

Oczy Iris pociemniały i spochmurniały. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie podkochiwała się w moim dziadku. Tak, opiekowała się nim w dzieciństwie, ale dzieliło ich tylko dziesięć lat. Wszystko się zgadzało. Dlatego odważyłam się spytać:

– Niewiele mówisz o sobie w tych historiach. Miałaś męża?

– Męża? – rzuciła gwałtownie. – Moje miejsce było tutaj, w tym domu, przy rodzinie Hillów. Nie miałam czasu ani głowy myśleć o małżeństwie.

– Przepraszam, nie powinnam...

– Nieważne. Wkrótce Charles i Amelia wzięli ślub. Ona była szczupłą, drobną kobietką o krótkich ciemnych włosach i głębokich błękitnych oczach. Często chodziła w spodniach, na co wówczas odważało się niewiele pań, i miała zamiłowanie do wszelkich sportów: golfa, tenisa. Lubiła spacerować z Charlesem i tymi zwierzętami, które akurat mu towarzyszyły. Gdy zjawiała się w tym domu jako jego żona, od razu dałam jej do zrozumienia, że to ja rządę służbą. Przecież zajmowałam się Charlesem od lat, towarzyszyłam mu, gdy Simeon umarł, a biedna Hannah straciła rozum. Ja mu gotowałam i prałam.

W oczach Iris pojawiła się determinacja, a jej policzki zabarwił delikatny rumieniec, który zawsze towarzyszył jej w chwilach gniewu. A więc naprawdę go kochała. Przeszedł mnie dreszcz. Nie zazdrościłam Amelii, która musiała stawić jej czoła.

– Oczywiście wszystko się zmieniło – podjęła Iris z goryczą. – Nasze ciche, proste życie dobiegło końca. Wieczorami Charles zwykle czytał w gabinecie. Przynosiłam mu herbatę i czasem przy nim trochę siedziałam z robótką. To się skończyło po przybyciu Amelii, nadmiernie gadatliwej, tryskającej energią. Charles stał się towarzyski jak nigdy, ciągle się śmiał, zwłaszcza przy niej. Zakochał się, to było widać.

W jej głosie zabrzmiała rezygnacja.

– Zaczęły się kolacje, podróże, przyjęcia. Aż pewnego dnia powiedziała mi, że ich życie znowu się zmieni. Akurat robiłam na obiad gołąbki według przepisu mojej mamy, pamiętam to jak dziś.

Poczułam zapach gotowanej kapusty, zobaczyłam parę unoszącą się znad pieca.

– „Iris” – odezwała się do mnie, wpadając bez tchu do kuchni. „Widziałaś mojego męża?”. Promieniała radością, oczy jej się iskrzyły. Oczywiście natychmiast zrozumiałam, na co się zanosí. „Oczekujesz dziecka” – stwierdziłam rzeczowo, zaglądając do garnka. A ona zrobiła wielkie oczy. „Tak! Rzeczywiście! Właśnie wracam od doktora. Skąd wiesz?”. Śmieszne dziewczynisko. Każdy by się zorientował. „Znajdziesz Charlesa w stajni” – powiedziałam, a ona wybiegła na dwór. Nie widziałam jej upadku.

Przez twarz Iris przemknął złośliwy uśmiezek, natychmiast zastąpiony zatroskaną miną.

– Upadła? – powtórzyłam. – Gdzie? Na drodze do stodoły? Przecież ścieżka jest równa.

Iris pokręciła głową.

– Jakoś dotarła na klif.

– Spadła z urwiska? Jak to możliwe?

– Nie mam pojęcia. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, biegła do stajni powiedzieć mężowi, że zostanie ojcem.

– Zabiła się? – Dlaczego historie Iris, choć zaczynały się uroczo i niewinnie, zawsze przybierały zły obrót?

– Nie – oznajmiła gospodyni. – Pamiętaj, dziewczyno, Amelia to twoja babka, matka Madlyn. Nie zginęła tamtego dnia na dnie urwiska. Charles ją znalazł. Żyła, ale straciła dziecko.

Od tej pory Charles zaczął się z nią obchodzić jak z jajkiem. Jeśli wcześniej się nad nią trząsał, to i tak nie dało się tego porównać z tym, co się zaczęło. Spodziewał się, że wraz z resztą służby będzie na każde jej wezwanie. I tak się oczywiście stało. – Iris prychnęła ironicznie. Ledwie panowała nad niechęcią.

– Po paru miesiącach znowu zaczęła wic gniazdko, by się tak wyrazić.

– Tym razem donosiła ciążę, prawda? Urodziła Madlyn? – spytałam, ale ledwie skończyłam mówić, zrozumiałam, że się pomyliłam.

Iris pokręciła głową.

– Cała troska Charlesa nie uchroniła jej przed upadkiem ze schodów.

– Chyba żartujesz. Znowu upadła?

– Tak. W środku nocy – wyjaśniła gospodyni z chytrym błyskiem oka. – Najwyraźniej lunatykowała. Do wypadku doszło na głównych schodach. Miała pecha.

Ale ja nie sądziłam, żeby o to chodziło. Ktoś popchnął moją babkę. Dziewczynki? A jakby zrobiło się nie dość ponuro, do głowy przyszła mi jeszcze straszniejsza myśl. Zobaczyłam Iris skradającą się ciemnym korytarzem.

– Ty chyba nie... – Bałam się dokończyć.

Gospodyni uciszyła mnie chłodnym spojrzeniem i podjęła opowiadanie:

– Po utracie dwojga dzieci Amelia wylała wiele łez. To Charles dał jej siłę, by walczyć dalej. Gdyby nie jego łagodność i dobroć, twoja matka nie przyszłaby na świat.

Iris odstawiła filiżankę zdecydowanym ruchem.

– Jutro przyjdę tu znowu – oznajmiła, przyjrzawszy mi się uważnie, jakby próbowała się czegoś dopatrzeć w moich oczach. – Chciałaś usłyszeć opowieść o życiu pradziadków i dziadków, ale widzę, że najbardziej pragniesz dowiedzieć się czegoś o matce.

Zabrała starą wytartą torebkę i parasolkę i odeszła. Dopiero jakąś godzinę później dotarło do mnie, że podjęła opowiadanie w miejscu, w którym urwała się moja wizja z werandy.

Wskoczyłam na rower i zjechałam do miasta. Kiedy czar słów Iris przysł, poczułam głód ludzkiego towarzystwa. Zatrzymałam się przed kawiarnią Jonaha.

– Cześć – odezwał się do mnie z uśmiechem, gdy weszłam do pustego wnętrza. – Cieszę się, że cię widzę. Wiszę ci latte.

– Wspaniale – rzuciłam, siadając na wysokim stołku. Stęskniłam się za rozmową z nim. Ale moje pragnienie nie zostało zaspokojone, bo w tej samej chwili do kawiarni weszło parę mieszkanek wyspy. Zamówiły cappuccino i oznajmiły, że to pora cotygodniowego spotkania klubu książki. Rozpoznałam wiele twarzy, które zobaczyłam tu pierwszego dnia. Kobiety odnosiły się życzliwie do Jonaha, ale mnie powitały tak samo jak wtedy: zimnymi spojrzeniami i szeptanymi komentarzami. Usiadły i wyjęły lektury, o których zamierzały dyskutować.

Naprawdę nie wiem, co we mnie wtedy wstąpiło. Może po doświadczeniach z trzema złośliwymi duchami przestałam się bać towarzystwa zwykłych ludzi. Podeszłam do nich.

– Witam panie – odezwałam się. Pochyliłam się i oparłam dłonie na stole. – Jeśli na tej wyspie została jeszcze jakaś osoba, która o mnie nie słyszała, to się przedstawię. Jestem Halcyon Crane, wasza przyjaciółka i nowa sąsiadka. Czy zamierzacie mnie traktować jak człowieka, czy zawsze już będziecie się na mnie gapić i szeptać?

Odpowiedziało mi milczenie, tak jak się spodziewałam. Mówiłam więc dalej:

– Bo to się zaczyna robić męczące. Nie wiem, jak długo tu zostanę, ale na pewno nie wyjadę szybko. Proponuję, żebyście do mnie przywykły i zaczęły się zachowywać przyzwoicie.

I odeszłam, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Nieźle – mruknął rozbawiony Jonah, podając mi latte. A potem dodał cicho: – Zadzwoń do mnie po godzinach pracy. Muszę ci coś powiedzieć. Chciałem to zrobić tamtej nocy, kiedy spotkaliśmy się na drinka, ale nie umiałem... to skomplikowane.

Skinęłam głową, wyszłam ze sklepu z kubkiem kawy i po paru krokach wpadłam na Willa.

– Cześć. – Uśmiechnął się i pocałował mnie w policzek. – Właśnie wracam z posterunku, gdzie zaniósłem pewne dokumenty. Chcesz zobaczyć, co przy okazji znalazłem?

Podał mi reklamówkę. Zerknęłam do niej i zobaczyłam na kopercie napis: „Sutton, Julie. Rok 1979”.

– Will... – zaczęłam, ale zamknął mi usta pocałunkiem.

– Teraz muszę już lecieć, ale wrócę później i razem to przejrzymy. – Mrugnął do mnie i poszedł w stronę kancelarii. Włożyłam kopertę do koszyka roweru i ruszyłam w długą drogę powrotną do domu.

Przez resztę popołudnia zerkałam lękliwie na kopertę, zastanawiając się, co w sobie kryje. Kiedy tuż przed kolacją pojawił się Will, doszłam do wniosku, że pora poznać jej zawartość. Zanim zajrzałam do środka, Will pogroził mi palcem.

– Muszę to powiedzieć: choć akta leżą na stole, nigdy ich nie widziałem. Ani ty. – Podał mi kopertę.

– Rozumiem – westchnęłam. Nadeszła ta chwila. Pociągnęłam spory łyk wina i otworzyłam dokument.

Najpierw zobaczyłam artykuł opisujący moją śmierć. Na pożółkłej stronie miejscowej gazety pod zdjęciem ojca i moim widniał tytuł:

NOAH CRANE WRAZ Z CÓRKĄ HALCYON

PRAWDOPODOBNIIE UTONAŁ W WYNIKU NIESZCZĘŚLIWEGO WYPADKU NA JEZIORZE

Miejscowy nauczyciel matematyki Noah Crane (37 lat) oraz jego córka Halcyon (5 lat) zaginęli w piątek podczas wyprawy kajakiem. Policja podejrzewa, że utonęli.

Crane wyszedł rano z domu na Klifie Hillów, by wraz z córką popływać kajakiem wokół wyspy. Gdy nie wrócili do wieczora, zaniepokojona Madlyn Crane, matka dziewczynki, zgłosiła ich zaginięcie.

Policja szybko zorganizowała grupę poszukiwawczą, złożoną z około trzydziestu osób dysponujących własnymi środkami transportu – motorówkami, kajakami, łódkami – która zaczęła przeszukiwać przybrzeżne wody. W akcji uczestniczyła także załoga promu.

Szeryf Chip Norton twierdzi, że mieszkanka wyspy, Mira Finch, zauważyła przewrócony kajak koło Pierścienia, skalnego tworu na północnej stronie wyspy, popularnego celu wycieczek kajakami i jachtami. Ciało Crane'a ani jego córki nie znaleziono.

Po bezskutecznym przeszukaniu linii brzegowej wyspy poproszono o pomoc Straż Wybrzeża oraz inne jednostki patrolują –ce wodę między wyspą i lądem. Jednak wraz z upływem czasu malały szanse na to, by ofiary wypadku przeżyły.

„Sądźmy, że ojca i córkę porwał prąd, bardzo silny po tej stronie wyspy” – twierdzi Norton. „Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy ich całych, ale po takim czasie musieli utonąć lub umrzeć z wyiębienia. Dlatego zmieniliśmy status akcji z ratowniczej na poszukiwawczą”.

– No, trochę mnie zmroziło – odezwałam się po chwili osłupienia. Nie chodzi o to, że wiadomość mnie zaskoczyła. Doskonale wiedziałam, że ojciec zainscenizował naszą śmierć. Ale kiedy przeczytałam o tym w gazecie, czarno na białym, historia nabrała realności, której dotąd nie czułam.

– Mira wspomniała, że to ona zobaczyła kajak? – spytał Will.

– Nie, nie mówiła o tym dniu. Ani słowa. Ciekawe dlaczego.

Will wzruszył ramionami.

– Dobrze pytanie.

– Może to bardzo przeżyła?

– Ale nie sądzisz, że mogła coś powiedzieć, kiedy dowiedziała się, kim jesteś? „Brałam udział w poszukiwaniach. To ja znalazłam wasz kajak” – coś w tym stylu.

– Masz rację, powinna. – Mimo to nie wiedziałam, co o tym myśleć.

– Mój prawniczy nos czuje tu coś podejznanego – oznajmił Will, ale zaraz się wycofał: – Oczywiście ja wszędzie wyczuwam coś podejznanego. Może Mira po prostu nie chce wracać do przeszłości.

Odłożyłam artykuł i spojrzałam na wycinek znajdujący się pod nim. Reporter opisywał historię mojego ojca, morderstwo Julie i naszą śmierć oraz snuł domysły, w jaki sposób te trzy fakty mogą być ze sobą powiązane.

– Nie wiem, czy chcę to czytać – powiedziałam.

– Podobno chcesz wiedzieć wszystko – odparł łagodnie. – Więc i to, niestety. Pamiętaj, to przeszłość. Nie stanie ci się nic złego.

Oczywiście miał rację, więc zebrałam się na odwagę i wzięłam kartkę do ręki.

TAJEMNICZA ŚMIERĆ

NOAHA CRANE'A I JEGO CÓRKI

W zeszłym tygodniu odbyło się nabożeństwo żałobne za Noaha i Halcyon Crane'ów. Ich śmierć nadal budzi wiele pytań. Policja ma podstawy podejrzewać, iż dziecko zginęło z ręki ojca, który następnie popełnił samobójstwo.

Noah Crane stanowił obiekt zainteresowania policji w sprawie pierwszego od ponad pięćdziesięciu lat zabójstwa na wyspie. Julie Sutton (6 lat), córka Franka i June Suttonów, została w lipcu znaleziona na terenie posiadłości Crane'ów. Policja początkowo podejrzewała wypadek, lecz wkrótce dowody zaczęły wskazywać na czyjś udział w sprawie.

Dziewczynka wypadła z okna drugiego piętra dworu Crane'ów. Noah Crane znalazł jej ciało i wezwał policję, która w trakcie dochodzenia zabezpieczyła kilka dowodów. W pokoju, z którego wypadło dziecko, panował ogólny nieporządek – zbite lampy, przewrócone meble, stłuczone talerze – wskazujący na to, że stoczono tam walkę. Dziewczynka miała rozdartą sukienkę, prawdopodobnie w wyniku szarpaniny, ślady na jej szyi świadczą zaś o tym, że była duszona.

„Gdy zaczęliśmy zestawiać ze sobą dowody na to, co wydarzyło się tamtego wieczora, nabraliśmy przekonania, że pan Crane ma związek ze śmiercią tej biednej małej” – powiedział szeryf Chip Norton, kierujący dochodzeniem. Wyjaśnił, że Crane zostawił ślady stóp wokół jej ciała, a jego odciski palców znaleziono na parapecie okna, z którego wypadła. Ofiara

zaciskała w palcach włosy, prawdopodobnie należące do Crane'a, co sugeruje, że walczyła z nim przed śmiercią.

Podejrzany nie przyznał się do winy. Policja nie zdążyła zakończyć dochodzenia przed jego śmiercią.

Żona Crane'a, Madlyn, w chwili wypadku znajdowała się na drugim brzegu jeziora, dokąd udała się w sprawach zawodowych. Jedynek świadkiem wypadku była pięcioletnia Halcyon Crane. Od tamtej pory nie wypowiedziała ani słowa. Rodzice zabrali ją do psychologów, ale żaden nie mógł określić przyczyny nagłego zamilknięcia dziecka.

Stowarzyszenie Amerykańskich Lekarzy Psychiatrów twierdzi, że to dość typowa reakcja dziecka, które stało się świadkiem przestępstwa lub padło ofiarą fizycznej czy emocjonalnej przemocy.

Spojrzałam na Willa z niedowierzaniem. Nie miałam o tym pojęcia.

– Wiem. – Wziął mnie za rękę. – Ja też się zdziwiłem.

– Przestałam mówić? Pamiętasz to?

– Nie przypominam sobie, żebym się z tobą widział od czasu śmierci tej dziewczynki. Nie mam pewności, ale rodzice pewnie nie pozwolili mi już do ciebie przychodzić. Spytam ich. – Dolał wina do kieliszków.

Zacząłam dostrzegać w tej historii jakiś przewrotny sens.

– To by wyjaśniało, dlaczego nie pamiętam niczego z życia na wyspie – powiedziałam w zamyśleniu. – Śmierć przyjaciółki to silna trauma.

– Zastanawiam się, co wtedy widziałaś.

– Ja też – mruknęłam i wróciłam do czytania.

Ostateczny cios dochodzeniu zadała śmierć Noaha i Halcyon Crane.

„Był naszym jedynym podejrzanym w tej sprawie i zamierzaliśmy go oskarżyć – potwierdził Norton. – Jego śmierć, a także śmierć jedyne go świadka zbrodni, położyła kres wszystkiemu”.

Choć policja zastrzega, że to tylko spekulacje, istnieje duże prawdopodobieństwo, że Noah Crane zabił siebie i córkę, by uniknąć konsekwencji swoich czynów.

Madlyn Crane odmówiła udzielenia wywiadu, ale wydała przez prawnika oświadczenie, w którym broni męża. „Podejrzenie, że Noah Crane zabił to dziecko i własną córkę, to makabryczne, obrzydliwe pomówienie niekompetentnych policjantów, dopatrujących się morderstwa w obu sprawach, będących w oczywisty sposób wypadkami. Oskarżenia pod adresem mojego męża bezczeszczą jego pamięć, na co nie zamierzam się godzić”.

Odłożyłam artykuł na stół i otarłam oczy.

– Trudno nie kochać mojej matki za to, jak się zachowała. Ciekawe, jak potraktowali ją tutejsi.

Will podniósł się, stanął za moimi plecami i otoczył mnie ramionami.

– Jak już wspomniałem, niewiele pamiętam z tamtych czasów, ale rodzice mówią, że ludzie uważali Madlyn za kolejną ofiarę. Nie obwiniali jej.

– A Frank i June Suttonowie? Ciekawe, jakie miała z nimi układy. Mieszkali przez trzydzieści lat na tej samej małej wyspie, pamiętając o śmierci Julie.

– Ona także straciła córkę – przypomniał mi Will cicho.

Rzeczywiście.

Zacząłam przeglądać żałośnie niekompletne akta. Powierzchnowy raport opisywał miejsce zdarzenia. Noah wezwał policję. Byłam świadkiem. Matka wyjechała. Nic nowego.

Raport zawierał także streszczenie przesłuchania Franka i June Suttonów. Rano June przywiozła córkę do naszego domu, gdzie Julie miała zostać aż do wieczora. Poza tym, że zaniemówiłam, ten dzień wydawał się zupełnie zwyczajny.

Ale zmieniłam zdanie, gdy znalazłam zdjęcie miejsca zdarzenia. Fotografia przedstawiała pokój dziecienny na drugim piętrze. Ten, w którym wczoraj znalazłam pudełka z pamiątkami. Raport policyjny nie kłamał. Pomieszczenie wyglądało jak pobojuwisko: przewrócone lampy, kołdry ściągnięte z łóżek, porozrzucane książki. Najwyraźniej stoczono tu walkę.

Nagle poczułam dłoń zaciskającą się na moim gardle. Rozkaszałam się, najpierw cicho, potem gwałtownie. Ktoś mnie dusił, odcinał mi dopływ powietrza. Wstałam, przewracając krzesło, i spojrzałam rozszerzonymi oczami na Willa.

– Hallie! – Poderwał się i chwycił mnie za ramiona. – Co się stało? Co się dzieje?

Nie mogłam zaczerpnąć tchu. Czułam silny nacisk na pierś, jak nurek, któremu pękła butla z tlenem. Łapałam powietrze otwartymi ustami, ale nie mogłam nim napełnić płuc. Umierałam – tu i teraz, w kuchni mojej matki.

A potem – ulga. Wszystko znikło.

– Hallie! – krzyknął Will przerażony. – Mam dzwonić po doktora?

Pokręciłam głową i usiadłam.

– Gardło mi się zacisnęło – wykrztusiłam. – Jakby ktoś mnie dusił. Nie dałam rady odetchnąć. Dosłownie nie potrafiłam nabrać powietrza.

Will podszedł do zlewu i nalał wody do szklanki.

– Proszę. – Wcisnął mi ją w dłonie. – Jak się czujesz teraz?

Wypiłam do dna.

– Chyba dobrze.

– Wiesz... – odezwał się z namysłem – patrzyłaś na zdjęcie z miejsca zbrodni, kiedy zaczęłaś się dusić.

Skinęłam głową.

– Nie wiem, co się wtedy wydarzyło, ale widziałas to i przeżyłaś taki wstrząs, że straciłaś mowę. Może widok tego zdjęcia przywołał wspomnienie tragedii sprzed lat. Najlepiej zamknijmy na razie te akta.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Muszę zobaczyć resztę.

Może nie powinnam była tego robić, bo zaraz potem mój wzrok padł na zdjęcie martwej dziewczynki leżącej na ziemi pod oknem. Rozpoznałam ją. To była ta w białej sukience. Miała długie warkocze, a na jednym – białą kokardę.

Upuściłam fotografię, która sfrunęła na podłogę. Zasłoniłam twarz i odwróciłam się do ściany z otwartymi ustami, z których nie wydobywał się żaden dźwięk. Nie wiem, ile czasu trwałabym w tym dziwnym stanie, gdyby nie Will, który objął mnie i mocno przytulił. Z oddali usłyszałam, jak powtarza moje imię.

– Hallie, co się stało? Co się z tobą dzieje?

Z trudem wydobyłam z siebie głos. Do tej pory usiłowałam ukrywać przed Willem niestworzone opowieści Iris, jej fantastyczne bajki o duchach. Ale teraz przestałam się przejmować.

– To ona – powtarzałam raz po raz.

– Rozpoznałaś Julie. Widziałas jej śmierć. Przypomniałaś sobie?

Pokręciłam głową.

– Nie, Will, to nie Julie. To dziewczynka, którą zobaczyłam niedawno za moim oknem. To dziewczynka, która ukazała mi się w zajeździe. Wygląda tak samo, nawet ma wstążkę we włosach.

Will pochylił się, wziął zdjęcie i spojrzał na nie uważnie.

– Jaką wstążkę?

– W warkoczu.

Pokręcił głową.

– Hallie, ona nie ma wstążki. Ani warkoczy. Zaskoczona wyjęłam mu fotografię z rąk. Ujrzałam leżącą na ziemi dziewczynkę z rozpostartymi kończynami. Jej twarz wydała mi się znajoma. Miała kędzierzawe włosy do ramion, była ubrana w dzinsy i podkoszulek. Wpatrywała się w niebo otwartymi oczami. Wokół jej głowy zastygła kałuża krwi. Ani śladu białej sukienki i wstążki.

Osunęłam się na podłogę, przytuliłam zdjęcie do piersi i zaczęłam drżeć.

Will zaprowadził mnie na piętro, napełnił wannę gorącą wodą i usiadł obok. Byłam w rozsypce. Nie mogłam przestać płakać. Widok tego zdjęcia – właściwie zdjęć, tego przedstawiającego miejsce zbrodni i fotografii martwej dziewczynki – włączył we mnie coś nieczynnego od trzydziestu lat. Ramiona dygotały mi jak w febrze.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – wybełkotałam ze szlochem.

– Cii... – Will głaskał mnie po plecach. – Nie martw się tym. Po prostu jesteś w szoku.

Pociągnęłam nosem.

– Bardzo przepraszam.

– W dzieciństwie doznałaś niewyobrażalnej traumy. A teraz znowu jej doświadczasz. Każdym by to wstrząsnęło.

Pod wpływem jego kojącego głosu zaczęłam oddychać spokojniej. Will mówił dalej:

– Nic dziwnego, że odkąd przybyłaś na wyspę, wszędzie widziałaś twarz tej dziewczynki. Wspomnienia zaczęły wracać.

Zastanowiłam się nad tym, co mnie spotkało. Czy naprawdę można to wytłumaczyć powrotem stłumionych wspomnień?

– Znalazłaś się w domu, w którym doszło do tragedii. Twoja przyjaciółka zginęła, z czyjejś ręki bądź w wypadku, a ty to widziałaś. Wydaje mi się całkiem prawdopodobne, że ciągle ukazuje ci się ta sama osoba.

Chyba nie wyglądałam na przekonaną, bo dodał:

– Wszystko dzieje się w twojej głowie. Przypominasz sobie urywki wydarzeń, składasz je w całość.

– Nie. Dziewczynka, która mi się pojawiała, to nie Julie Sutton. Na zdjęciu zobaczyłam... – Głos mi zamarł. Jak miałam mu wytłumaczyć, że na fotografii ukazała mi się inna twarz?

Will pokręcił głową.

– Nie wydaje ci się możliwe, że psychika płata ci figle? Przebłyski wspomnień wracają, bo znalazłaś się w miejscu tragedii.

To miało sens – w pewien pokrętny sposób. Ale nie do końca.

– I co mam teraz zrobić? – spytałam.

Will zastanowił się przez chwilę.

– Nie musisz nic robić. Nie od razu. Ale na twoim miejscu zastanowiłbym się nad terapią regresywną. – Czyli hipnozą?

Skinął głową.

– Psychiatra może cię cofnąć do tamtej nocy. Odkryć, co się naprawdę wydarzyło. W ten sposób zamkniesz tę sprawę. Może nawet zaczniesz sobie przypominać dzieciństwo na wyspie i zyskasz parę wspomnień o mamie.

To mi się spodobało.

– Trzeba będzie znaleźć psychiatrę na drugim brzegu – zastanowił się Will. – Jim Allen, tutejszy doktor, mógłby kogoś polecić.

A zatem tak wyglądała prawda. Wszystko, co mnie spotkało od chwili przybycia na Grand Manitou, stanowiło rezultat stłumionej traumy. Nie widziałam upiorów, nie miałam nawiedzonego domu, to w mojej głowie straszył duch dziewczynki, która zginęła na moich oczach. Postanowiłam zapomnieć o dziwnej sytuacji ze zmieniającą się twarzą na zdjęciu. To nieważne. Ogarnęła mnie fala spokoju. Z ulgą zanurzyłam się w wodzie. To uczucie nie trwało długo.

Wyszłam z wanny i szybko zasnąłam w ramionach Willa. Obudziłam się gwałtownie i zrozumiałam, że leżę sama. Nieprzytomnie spojrzałam na zegarek. Zamglone cyfry z wolna się wyostrzyły. Prawie druga trzydzieści. Gdzie Will? Pewnie w łazience. Czekałam parę minut, omal znowu nie zapadając w drzemkę.

– Will? – zawołałam stłumionym głosem. Brak odpowiedzi. Usiadłam i rozejrzałam się, ale nigdzie go nie było. Wtedy zauważyłam otwarte drzwi.

Wyszłam na ciemny korytarz.

– Will?

Znowu cisza.

Blask księżyca kładł się na podłodze na końcu korytarza jak srebrny strumień zdający się żyć własnym życiem. A przy oknie stała dziewczynka. Biała sukienka. Na jednym warkoczku – kokarda. Potem się rozplynęła jak mgiełka w słońcu.

W tej samej chwili rozległ się straszny hałas. Natychmiast zrozumiałam, co się stało. Rzuciłam się w stronę schodów, wołając Willa. Zobaczyłam go – leżał bezwładnie na dole. Przypadłam do niego.

– Boże, Boże – mamrotałam. – Proszę, uratuj go..

Will jęknął i chwycił się za głowę.

– Chwała Bogu! – Odetchnęłam z ogromną ulgą. – Coś złamałeś?

– Nie wiem – powiedział oszołomiony. – Nieźle grzmotnąłem. Solidnie się uderzyłem w głowę.

Pomogłam mu dojść do kuchni, zapalając po drodze wszystkie światła. Posadziłam go przy stole i podałam szklanekę wody.

Potem zaczęłam zaglądać do szafek. Wiedziałam, że gdzieś tu musi być jakiś środek przeciwbólowy.

– Masz. – Wręczyłam mu dwie tabletki. – Wezwać lekarza?

Nie wiedziałam, co robić. Bałam się, że to wstrząśnienie mózgu, ale nie widziałam jego objawów. Will pokręcił głową.

– Nie zemdleję. Spokojnie. Nie warto budzić Jima w środku nocy.

– Co się stało? Dlaczego wstałeś?

– Wydawało mi się, że coś słyszałem. Dziwne. Coś mnie obudziło. Nie wiem co. Ty spałaś mocno. Nawet chrapałaś. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Kiedy znowu zamknąłem oczy, usłyszałem... wiem, to trochę dziwne, ale usłyszałem, jak ktoś wypowiada moje imię.

– Twoje imię – powtórzyłam.

– Więc wstałem. Wyszedłem na korytarz i nikogo nie znalazłem, ale głosy nadal skądś dochodziły. Rozmawiały. Przekomarzały się cicho.

– Jakie głosy? – spytałam, choć dobrze znałam odpowiedź.

– Dziecięce. Chyba nie całkiem się obudziłem. Wiesz, lunatykowałem. Głowa mi pęka od tych opowieści o nieżyjących dziewczynkach, których się od ciebie nasłuchałem, i może tak na to zareagowałem. Nie wiem. W każdym razie poszedłem za głosami na krawędź schodów i stanąłem, trzymając się balustrady i nasłuchując. Zdawały się dochodzić z salonu.

Nie chciałam poznać końca tej historii. Nie chciałam, żeby dotarła tam, dokąd zmierzała. A jednak...

– Zacząłem schodzić w dół – mówił Will. – Wiem, że to zabrzmiało absurdalnie, ale przysięgam, że ktoś mnie popchnął. Nie wiem, czy mi się coś przyśniło, czy znajdowałem się w sennym oszołomieniu, ale z całą pewnością poczułem na plecach czyjeś ręce.

– Ktoś cię popchnął?

Will pokręcił głową bezradnie.

– Tak sądzę.

Zasnąłam, wierząc, że duchy tego domu to tylko wspomnienia wyłaniające się na powierzchnię mojego umysłu, i ta myśl bardzo mi się podobała. Ale teraz opowieści Iris znowu zawirowały mi w głowie. Sugestia, że to dziewczynki zepchnęły jej kuzynkę z klifu, nagłe upadki biednej Amelii, a teraz Will... To z całą pewnością nie były wytwory mojej wyobraźni.

– Powinniśmy stąd natychmiast odejść – powiedziałam. – Jedźmy do twojego domu.

Will pokręcił głową.

– Stoi po drugiej stronie wyspy. Poza tym już prawie rano. Zróbmy kawę i zaczekajmy na wschód słońca.

W kuchni, w której lampa broniła mrokowi dostępu – w domu zbudowanym na tajemnicach, pełnym duchów, wspomnień i strasznych wydarzeń – poczułam, że granica między fantazjami Iris i rzeczywistością zaczyna się zacierać. Czy Will i ja jakoś daliśmy się wciągnąć w tę ponurą, krwawą baśń dziejów mojej rodziny?

Następnego ranka prosiłam Willa, żeby nie szedł do kancelarii, ale się uparł. Bałam się, że zemdleje po nocnym upadku ze schodów.

– Myślałam, że poza sezonem nie masz pracy.

– Bo nie mam. – Uśmiechnął się, wkładając džinsy i sweter.

– To po co idziesz? Moglibyśmy spędzić dzień na czytaniu albo spacerze po posiadłości.

– Zaplanowałem połączenie konferencyjne...

– Możesz je wykonać stąd. – Nie zamierzałam zrezygnować.

– Mógłbym. I zrobiłbym to, gdyby moje dokumenty i komputer nie znajdowały się w kancelarii. Poza tym i tak muszę kupić w mieście paszę dla Belli. Wkrótce wrócę, obiecuję.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą? – spytałam, tłumiąc ziewnięcie.

Uśmiechnął się i otoczył mnie ramionami.

– Lepiej tu zostań i się zdrzemnij. Wrócę na obiad. Dobrze?

– Dobrze – skapitulowałam.

– Masz jakiś pomysł na kolację?

Pokręciłam głową.

– Może zrobię chińszczyznę? – zaproponował.

– Świetny kochanek i jeszcze do tego potrafi gotować. – Udało mi się uśmiechnąć. – Jesteś za dobry, żeby być prawdziwy.

Zeszliśmy po schodach i odprowadziłam go do drzwi, gdzie zimny wiatr rozwiał nadzieję na to, że znowu się zdrzemnę. Patrzyłam, jak Will odjeżdża w stronę miasta. Włożyłam kurtkę i usiadłam na werandzie z filiżanką mocnej

kawy. Wpatrywałam się we wzburzone jezioro, myśląc o wszystkim, co mnie do tej pory spotkało.

– Dzień dobry, panienko. – Z kuchni dobiegł mnie głos Iris.

Chciałam spytać, czy według niej wypadki Willa i Amelii miały coś wspólnego. Chciałam natychmiast poruszyć ten temat, ale – nie wiem dlaczego – nie zrobiłam tego. Iris zaczęła opowiadać kolejną historię, a ja dałam się przenieść w przeszłość. Obecne wydarzenia stały się ulotne jak moje wizje.

– Madlyn Hill urodziła się pewnego wiosennego dnia, gdy bzy na wyspie stały w pełnym rozkwicie. Przyszła na świat w złym położeniu i obie – matka i córka – omal nie straciły życia. W końcu Amelia zdołała urodzić dziewczynki z pomocą...

– Zaraz – przerwałam. – Powiedziałaś „dziewczynki”. Liczba mnoga.

Gospodyni skinęła głową.

– Bliźniaczki. Maddie pojawiła się pierwsza, zdrowa, różowa i płacząca. Dopiero wtedy doktor uświadomił sobie, że to nie koniec, i wkrótce wydobył na świat drugą siostrę, Sadie.

Zajmowałam się Maddie, gdy Sadie się rodziła. Amelia była wyczerpana i niemal nieprzytomna po trudnym porodzie. Gdy pielęgniarzka pobiegła powiedzieć Charlesowi, że ma dwie córki, omal nie oszalał ze szczęścia. Jednak jego radość trwała krótko. Zgasła, gdy zobaczył dziecko.

Iris na chwilę przymknęła oczy, jakby nie chciała oglądać zbyt bolesnego obrazu. ;

– Nigdy nie zapomnę Sadie – sinej, malutkiej, kruchej jak ptaszek. Żyła tylko parę chwil, otwierała i zamykała buzię jak rybka wyrzucona na brzeg. Wiedziałam, że nie przynależy do tego świata.

Jak wyjaśnił lekarz, w łonie matki to Madlyn dostawała większość pokarmu. Stała się większa i silniejsza, a jej siostra z każdym dniem słabła i ginęła z głodu. Strach o tym myśleć. Całkiem jakby Madlyn pochłonęła życie Sadie. Źle, że Amelia usłyszała słowa doktora. Może potem byłoby jej łatwiej.

Zadrżałam, zasłaniając oczy przed wizją, która – czułam to – miała się wkrótce przed nimi utworzyć.

– Pochowaliśmy Sadie następnego dnia w rodzinnym grobie, obok Hannah i Simeona. Nabożeństwo trwało krótko, odmówiono parę modlitw. Amelia nie miała sił, żeby się na nim zjawić. A choć Charles opłakiwał utraconą córkę, z czasem znowu zaczął żyć pełnią życia. Z Amelią sprawa wyglądała inaczej. Zawsze już dręczyła ją myśl o śmierci Sadie. W głębi duszy, w najczarniejszych, najbardziej pokrętnych zakamarkach serca wierzyła, że Maddie zabiła siostrę.

– Zabiła? Celowo? Przecież to szaleństwo.

– Masz całkowitą rację. Po porodzie Amelia pogrążyła się w czymś rodzaju szaleństwa.

– Depresja poporodowa?

– Coś gorszego. Nie wstawała z łóżka, nie myła się, nie jadła. Nie chciała widzieć córeczki, wziąć jej na ręce, nakarmić. Przez całe dni rzucała się na posłaniu, a nocami wędrowała po domu w białej koszuli, z rozczochranymi włosami. Biedny Charles zastawał ją w środku nocy nad łóżeczkiem Maddie, gdy mamrotała coś niezrozumiale. Pewnego razu przyłapał ją, jak niosła dziecko ku schodom.

Pamiętając dobrze obłęd matki, Charles wzdragał się przed oddaniem młodej żony do szpitala. Dlatego nie powiadomił lekarza, nikomu nie wspomniał o dziwnym zachowaniu Amelii. Sądzę, że popełnił błąd. Amelia

zamierzała skrzywdzić swoje dziecko, wszyscy domownicy to wiedzieli. Charles na pewno. Ale postanowił sam opanować sytuację, więc co mogłam poradzić?

Zrobiłam, co w mojej mocy, by ochronić małą Maddie przed matką. Tuż po zachodzie słońca stawiałam pod pokojem dziecinnym krzesło, z którego nie ruszałam się aż do rana. Noc w noc Amelia pojawiała się tam z dzikim spojrzeniem i twarzą białą jak prześcieradło, a ja nakazywałam jej wracać do łóżka. Na ogół – Bogu niech będą dzięki – słuchała mnie. Ale czasem musiałam ją wyciągać przemocą na korytarz.

– Czy moja babka w końcu trafiła do szpitala?

Iris pokręciła głową.

– Trwało to długo, ale wreszcie wróciła do siebie. Zmiana nastąpiła nagle i nikt nie rozumiał, co ją spowodowało. Pewnego ranka Amelia po prostu wstała z łóżka, wykąpała się i zeszła do kuchni, jakby przebudziła się ze śpiączki lub długiej choroby. Ta chmura, która nad nią wisiała, rozwiała się. Twoja babka wyszła z pokoju z uśmiechem, pytając, gdzie się podziewają jej mąż i córka, jakby nie pamiętała o swoich wybrykach.

Charles nie posiadał się z radości. Stał, trzymając żonę w objęciach, i płakał, nie wstydząc się łez. Z serca spadł mu wielki ciężar. Odzyskał Amelię. Sądzę, że wyzdrowiała głównie dzięki jego łagodności i miłości. Miał do niej tyle cierpliwości podczas tych długich miesięcy!

Jednak Amelia nie była już tą samą osobą, co przed urodzeniem dzieci. Gdy Charles ją tulił, zauważyłam dziwny grymas na jej twarzy. Nie chcę go nazwać złowieszczym, ale od tego dnia nieustannie jej towarzyszył. Niepokoiło mnie, w jaki sposób patrzyła na córkę.

Wkrótce mała Maddie zaczęła raczkować, potem chodzić. W przeciwieństwie do ojca bardzo wcześnie nauczyła się mówić i trajkotała jak katarynka. Ale, ku naszemu zmartwieniu, najchętniej toczyła rozmowy z jedną osobą – swoją siostrą.

Pewnego razu ojciec przyniósł jej zabawkowy telefon i Maddie dzwoniła z niego do Sadie. „Pora na obiad! Chodź do stołu!”. Przerazała rodziców, bo oczywiście nie powiedzieli dziewczynce, że miała bliźniaczkę, i na pewno nie zdradzili jej imienia. A jednak jakoś się dowiedziała. „Do kogo mówisz, kochanie?” – pytał Charles. A Maddie odpowiadała z prostotą: „Do siostry”.

Rodzice odbyli na temat tego dziwnego zachowania wiele szeptanych rozmów za zamkniętymi drzwiami, ale w końcu Charles uznał, że muszą się nauczyć z tym żyć. Dziewczynki były razem w łonie matki i Maddie jakimś cudem zachowała o tym wspomnienie. Sądził, że w innych rodzinach zdarzają się dziwniejsze rzeczy. Pomyślałam: „Tak, zwłaszcza w tym domu”, ale oczywiście tego nie powiedziałam.

Wzdrygnęłam się, widząc moją matkę rozmawiającą z martwą siostrą.

– Ani Charles, ani Amelia nie wiedzieli, co naprawdę dzieje się z ich córką. – Iris uśmiechnęła się, a jej oczy błysnęły. – A ja tak. Jeszcze przed przyjściem na świat, gdy biedna Sadie traciła siły, a Maddie je zyskiwała, dziewczynki zawarły umowę. Jedna miała umrzeć w chwili przyjścia na świat, by druga mogła żyć za nie obie. W cichych wodach płodowych podały sobie rękę i Maddie przywołała do siebie duszę siostry.

Iris urwała, patrząc na mnie wyczekująco.

– Przyzwała duszę siostry? W jaki sposób? – spytałam pochmurnie.

– To dar, który twoja matka posiadała przez całe życie. Nazywano ją „Łowczynią Dusz”. Taki przydomek zyskała jako fotografka.

– Słyszałam o tym. Ale sądziłam, że to dlatego, iż potrafiła oddać na fotografii wewnętrzny stan swego modela.

– Dokładnie – zgodziła się Iris, kiwając głową. – Oczywiście zdjęcia zaczęła robić później. W dzieciństwie kolekcjonowała strzępki ludzkich dusz, tak jak inne dzieci zbierają motyle czy żaby. Pozostawały przy niej, unosiły się wokół, aż nauczyła się zamykać je na fotografiach.

– Nie całkiem rozumiem.

– Miała taki dar, talent – podkreśliła Iris. – Nie zdarzyło ci się spojrzeć na jej zdjęcie i dokładnie wiedzieć, co czuje sfotografowana osoba?

Skinęłam głową, przypomniawszy sobie, jak po raz pierwszy znalazłam stronę internetową Madlyn. Widziałam wyraźnie – a czasem nawet słyszałam – myśli osób, które uwieczniła.

– Ale uprzedzam wypadki. Do tego jeszcze dojdziemy, a ty najpierw musisz się dowiedzieć czegoś jeszcze. – Iris spojrzała na wąską tarczę swojego zegarka. – Na dziś wystarczy. Wrócę jutro.

Wstała i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Otrząsnęłam się z zasluchania i przypomniałam sobie, że zamierzałam powiedzieć jej o nocnym wydarzeniu.

– Wczoraj znalazłam Willa leżącego u stóp schodów – zaczęłam. – Wydawało mu się, że słyszał głosy, dziecinne głosy. Wiem, że to niewiarygodne, ale sądzi, że ktoś go popchnął. Po tym, co opowiedziałś o Amelii...

Iris spojrzała mi głęboko w oczy. Poczułam się bardziej niż nieswojo.

– Zastanawiasz się, czy w domu znajduje się ktoś odpowiedzialny za te nieszczęśliwe wypadki?

–No... tak.

– I co o tym sądzisz?

– Przypuszczam, że to bardzo dziwny zbieg okoliczności, który może mieć całkiem rozsądne wytłumaczenie – powiedziałam słabym głosem. Wcale tak nie myślałam.

Iris przytaknęła z uśmiechem.

– Wszyscy tak mówią na początku.

Potrzebowałam konkretów, nie uników.

– Słuchaj, jeśli wydaje ci się, że Willowi – albo mnie – zagraża coś, co znajduje się w tym domu, to chcę o tym natychmiast wiedzieć. Czy jesteśmy tu bezpieczni?

– Panienko, zadajesz mi pytania, na które nie znam odpowiedzi – odparła gospodyni ze smutkiem. – Ja tylko opowiadam rodzinne historie. To moja rola. Nie potrafię przewidzieć przyszłości. Nie znam jej. Nikt jej nie zna.

Nie zamierzałam dać za wygraną.

– Ale wnioskując z tego, co usłyszałam o dawnych wydarzeniach – o Charlesie, który potrzebował ochrony, o upadkach Amelii, nawet o twojej biednej kuzynce – czy teraz dzieje się to samo?

Iris uśmiechnęła się tak, że przeszedł mnie dreszcz.

– Dziewczynki nigdy nie lubiły obcych.

Po tych słowach odwróciła się i poszła do kuchni.

Nagle zrobiło mi się zimno. Temperatura na ganku musiała wynosić nie więcej niż pięć stopni, a ja od jakiegoś czasu siedziałam tu w samej kurtce, słuchając opowieści. Nabrałam ochoty na gulasz, który Iris tak często przyrządzała i, o dziwo, kiedy weszłam do kuchni, znalazłam go na piecu. Może gospodyni przyniosła go ze sobą i postawiła na płycie, zanim przyszła ze mną porozmawiać. Zjadłam parę łyżek prosto z garnka, myśląc z tęsknotą o chwili, kiedy Will w końcu wróci.

Godzinę później (spędziłam ją, gapiąc się w okno i czekając) dzwonek telefonu wyrwał mnie z transu.

– Wiem, wiem – powiedział Will. – Powinienem już wrócić, ale zatrzymało mnie coś, co mi zajmie trochę czasu.

–Jak się czujesz? Jak głowa?

– Dobrze. Boli tylko trochę – zapewnił, a potem obiecał, że przyjedzie wczesnym wieczorem. Odłożyłam słuchawkę. Rozejrzałam się po kuchni, niepewna, co właściwie zrobić. Zadzwoiłam do Miry. Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o tym dniu, w którym znalazła przewrócony kajak taty. Miałam nadzieję, że spotkamy się i porozmawiamy. Nic z tego. Usłyszałam nagrany na sekretarkę komunikat o jej wyjeździe na parę dni na drugi brzeg.

Przez jakiś czas snułam się po domu, z kuchni do jadalni, z jadalni na werandę, ale nigdzie nie mogłam znaleźć spokoju. Zaczęłam się zastanawiać nad słowami Willa, który uznał opowieści Iris za zbyt fantastyczne, by mogły być prawdziwe. Stwierdził, że upiększa fakty albo wręcz zmyśla. Ale wczorajszej nocy poczułam, że muszę poznać prawdę. Czy ponosi mnie wyobraźnia, czy też w tym domu grasuje duch, który ma zwyczaj spychać ludzi ze schodów?

Nagle mnie olśniło. Ze schodów i z o k i e n!

Zawołałam psy i wybiegłam kuchennymi drzwiami na wiatr, chwytając po drodze gruby kardigan wiszący na krześle w kuchni. Musiałam się wydostać z tego domu. Myśli wirowały mi w głowie. Chciałam się przewietrzyć. Otuliłam się swetrem i ruszyłam podjazdem w stronę szosy. Tundra i Tika szły tuż za mną. Pod butami chrzęścił mi piasek.

Idąc przez bezlistny, surowy krajobraz, myślałam, że jedno nie ulega wątpliwości. Mam przed sobą tylko dwie wysoce nieprzyjemne opcje: albo odkryję jakieś niesympatyczne wspomnienia z dzieciństwa, które wywołują moje wizje, albo wypędzę z domu trzy duchy zmarłych dzieci.

Jak ja się w to wszystko wpakowałam? Co bym teraz robiła, gdyby Will do mnie nie napisał? Może siedziałabym w salonie, piła herbatę i słuchała szczekania fok nad cieśniną Puget? Może błąkałabym się po ulubionej księgarni?

Szłam dalej, nie wiedząc, dokąd mnie prowadzą nogi. Dokądś zmierzałam, choć wokół zaczęła się zbierać mgła, osiadająca wilgocią na mojej twarzy.

Niespodziewanie dotarłam do cmentarza. Świetnie. Chciałam mieć jakiś dowód, że Iris mówi prawdę, a nie ma nic realniejszego niż nagrobki z nazwiskami i datami. Brama z czarnego, kutego żelaza była zardzewiała, łuszczyła się ze starości. Otworzyłam ją i weszłam. Psy zostały na zewnątrz, popiskując niespokojnie. Chodziłam alejkami, z szacunkiem dotykając każdego nagrobka.

W końcu znalazłam to, o co mi chodziło. Na widok marmurowego pomnika ze słowami: „Madlyn Hill Crane, 1938–2009–Ukochana córka, żona i matka”, zamarłam z wrażenia.

Usiadłam przy grobie, zastanawiając się, dlaczego nie odwiedziłam go wcześniej.

– Cześć, mamo – powiedziałam głośno.

Oparłam głowę o kamień i zapłakałam. Moje łzy mieszały się z lodowatym deszczem, który właśnie zaczął padać. Nie wiem, ile czasu minęło. Może minuty, może godzina. W pewnej chwili szczekanie psów wyrwało mnie z zamyślenia. Zrozumiałam, że nie mogę dłużej siedzieć na tej mokrej ziemi.

Wtedy zauważyłam płytę z napisem: „Halcyon Hill Crane, 1973–1979. Ukochane dziecko”.

Widok własnego grobu zapiera dech w piersiach. Aż do tej chwili nie przyszło mi to do głowy, ale oczywiście musiałam go mieć. Wszyscy uważali, że nie żyję.

Obok znajdował się kolejny: „Noah Thomas Crane, 1940– –1979– Oddany mąż i ojciec”. A, więc stąd ten Thomas. Ciekawe, skąd wziął Jamesa.

Stałam zatem przy kwaterze rodziny Hillów. Spojrzałam na inne nagrobki. Byli tu wszyscy: Hannah, Simeon, Sadie, Charles – który zmarł zaledwie parę lat wcześniej – i Amelia. A potem dostrzegłam imiona dziewczynek: Patience, Persephone i Penelope. Ich kamień lśnił jaskrawą bielą, choć miał ponad sto lat.

Usiadłam wśród moich przodków i poczułam się dziwnie spokojna. Dzięki Iris znałam już tych ludzi. Widziałam ich: Hannah, młodą i piękną, gdy

urodziły się jej dzieci, małego Charlesa porozumiewającego się ze zwierzętami i moją matkę szepczącą do zmarłej bliźniaczki.

Wszyscy ci Hillowie mieszkali na wyspie. Tu się urodzili, dorośli i zmarli. A teraz ja znalazłam się między nimi. Po raz pierwszy w życiu miałam pewność, że gdzieś przynależę. Tak, oni nie żyli, ale to byli moi krewni, krew z mojej krwi, moje korzenie. Nawet patrząc na własny nagrobek, czułam, jakbym w końcu wiedziała, kim jestem.

Wstałam i znowu się rozejrzałam. Będę tu często przychodzić, by dbać o te groby. Zostałabym dłużej, ale czekała mnie nieprzyjemna droga powrotna w lodowatym, marznącym deszczu.

Gdy wreszcie dotarłam do domu, William stał w kuchni z telefonem w ręku. Spojrzał na mnie zdumiony, a potem powiedział do słuchawki:

– Dzięki, Jonah, ale właśnie przyszła. Przepraszam, że cię niepokoiłem.
– Potem zwrócił się do mnie: – Gdzieś ty się włóczyła, do cholery?

Mój uśmiech zbladł. Do tej pory nikt z wyjątkiem Richarda nie martwił się o mnie. Odgarnęłam z twarzy mokre włosy.

– Poszłam na spacer.

Will zamarł z otwartymi ustami. W końcu gwałtownie wskazał okno.

– W tym deszczu?!

Malamutki weszły za mną do ciepłej kuchni i otrząsnęły się z wody. Zdjęłam wilgotny sweter. Nic nie cuchnie bardziej niż przemoczona wełna i mokry pies.

– Nie była to najlepsza decyzja świata, choć kiedy wychodziłam, jeszcze nie padało. Deszcz zaskoczył mnie parę kilometrów za domem.

– Obdzwoniłem wszystkich! – Will nadal stał z telefonem w dłoni. – Jonaha, Henry'ego, Mirę, sklep spożywczy. Nawet winiarnię. Pomyślałem, że

może tam wstąpiłaś. Nie mogłem zgadnąć, gdzie jeszcze cię szukać. – Objął mnie i poczułam jego serce bijące szybko, jak u ptaka. – Tak strasznie się o ciebie martwiłem – szepnął w moje mokre włosy.

Nagle zadygotałam. Stałam w ciepłej kuchni i uświadomiłam sobie, jak okropnie zmarzłam.

– Drżysz – mruknął i popatrzył na mnie. – Boże, masz sine wargi. Naprawdę sine.

Przez chwilę mi się przyglądał, najwyraźniej zastanawiając się nad różnymi scenariuszami postępowania. Potem podał mi brandy. Spłynęła mi w gardło, gorąca i ostra, rozgrzewając mnie od środka.

– Dobrze – powiedział, prowadząc mnie na górę. – Chodźmy do łazienki.

Kiedy on napełniał wannę, zdjęłam przemoczone ubranie. Pachniało torfem i prastarą ziemią. Może powinnam je wyrzucić? Weszłam do parującej wody i zanurzyłam się pod jej powierzchnię. Szum w uszach mnie odprężył. Poczułam się bezpieczna, chroniona.

Dopiero potem, kiedy wróciliśmy do kuchni na kolację, Will spytał, dokąd poszłam.

– Wiem, że jesteś dorosła, ale bardzo się martwiłem, kiedy nie zastałem cię w domu – wyznał. – Po wczorajszej nocy prawie spodziewałem się, że leżysz u stóp schodów.

– Albo pod oknem drugiego piętra.

Zerknął na mnie.

– Hm... A to ciekawe.

Nawinęłam parę nitek makaronu i zastanawiałam się, co powiedzieć dalej. Jeszcze sobie tego nie ułożyłam w głowie. Will przerwał milczenie.

– Twierdzisz, że śmierć Julie Sutton ma związek z tym, co mnie wczoraj spotkało?

– Nie wiem, co sędzę... o czymkolwiek.

– O czymkolwiek? – Trącił mnie widelcem.

Oddałam mu.

– No dobrze, ciebie jestem pewna – odpowiedziałam z uśmiechem. – Wszystko inne budzi wątpliwości. Iris powiedziała, że jej kuzynka spadła z klifu, bo została zepchnięta albo zmuszona do skoku. Dziewczynka niestety zginęła. A potem moja babka Amelia miała w ciąży podejrzane wypadki. Straciła dwoje dzieci!

W miarę jak mówiłam, krystalizowała mi się w głowie pewna myśl.

– Trzydzieści lat później w tym domu zginęło dziecko, wypchnięte z okna. Teraz ty spadłeś ze schodów. Albo mamy tu epidemię niezdarności, albo coś innego.

– Jakie „coś innego”? – chciał wiedzieć Will. Czułam się jak idiotka, ale musiałam to powiedzieć.

– Ducha, który prześladowuje żyjących.

Przez parę chwil jedliśmy w milczeniu, oswajając się z osobliwością tej rozmowy.

– Słuchaj – odezwał się w końcu Will. – Wiesz, co sędzę o tej awanturze z duchami, ale nie zawadzi wezwać księdza.

– Nie zawadzi – przyznałam. – Niech pobłogosławi mój nowy dom. Zróbmy to jutro.

Znowu milczenie.

– Zastanawiałam się nad innym podejściem – zaczęłam. – Może powinniśmy znaleźć medium?

Will uniósł brwi i włożył widelec do ust.

– Naprawdę. Istnieją ludzie, którzy się tym zajmują – kontaktowaniem się ze zmarłymi. Może trzeba sprawdzić, czy jest tu jakiś duch, a jeśli, to jaki.

– No, nie wiem...

– Czy ksiądz egzorcyzmujący dom aż tak się różni od medium?

Will myślał przez chwilę.

– Oprócz tego, że stoi za nim autorytet Kościoła – pewnie nie. Jednak nadal nie wiem, czy tego nie da się jakoś rozsądnie wyjaśnić. Ale cokolwiek zechcesz zrobić, pomogę ci.

Uścisnęłam jego dłoń.

– Chciałabym to załatwić jak najszybciej. Może jutro.

Skinął głową.

– Jak sobie życzysz.

Wstałam i zaczęłam myszkować po kuchni.

– Czy media ogłaszają się w książce telefonicznej? Czy ja w ogóle mam książkę telefoniczną miast na drugim brzegu?

– Nie potrzebujesz jej – odparł z uśmiechem. – Znam pewne medium.

Ty też.

– Jeśli mi powiesz, że ciebie, to oberwiesz.

Prychnął śmiechem.

– Nie, głuptasie. Nie mnie. Mirę.

Otworzyłam szeroko oczy z niedowierzaniem.

– Chyba żartujesz.

Potrząsnął głową.

– Żeby tak jutra nie doczekał. Nie wiem, czy osiągnęła wyższy poziom wtajemniczenia, ale twierdzi, że ma – jak ona to określa? – wrażliwość – przeciągnął to słowo i unióśł brwi w komicznym przerażeniu.

Prychnęłam śmiechem.

– Serio! W sezonie turystycznym dorabia sobie stawianiem tarota i oprowadzaniem gości po nawiedzonych rejonach wyspy. Cieszy się sporym powodzeniem. Ludzie nabierają upodobania do upiornych historii, ledwie tu przybędą. Mira to wykorzystuje.

– Ale czy naprawdę ma jakieś zdolności? Oprócz nosa do interesów, oczywiście.

– Tego właśnie nie wiem. Zawsze uważałem, że jest trochę szalona. Ale możemy przynajmniej zacząć od niej, jeśli się na to zdecydujesz.

Posprzątałyśmy w kuchni i poszliśmy na górę. Na razie czekały nas ważniejsze zajęcia.

Co się wkłada na seans spirytystyczny: spodnie, sukienkę, korale? W końcu doszłam do wniosku, że duchom mój strój jest zupełnie obojętny, więc zdecydowałam się na dzinsy i sweter. Zeszłam na dół, gdzie Will czekał na mnie w salonie z winem, serem i innymi przekąskami.

Tego ranka zadzwoniłam do Miry i po chwili pogawędki na temat jej pobytu na drugim brzegu palnęłam nagle:

– Słuchaj, Miro... Jak rozumiem, zajmujesz się... no, chodzi mi o to, że pełnisz tu funkcję...

– Medium? – dokończyła ze śmiechem. Westchnęłam.

– No tak. Wiem od Willa.

– Rozumiem... Naprawdę mam pewną wrażliwość. – Omal nie zachichotałam, słysząc to słowo. – Dlaczego pytasz?

Zebrałam się w sobie. No to teraz albo nigdy. Rzuciłam jednym tchem:

– Pytam, bo wydaje mi się, że w moim domu jest duch. Chciałabym się co do tego upewnić. A jeśli zyskam pewność – pozbyć się go.

Mira milczała przez chwilę i zaczęłam podejrzewać, że ma mnie za idiotkę. Zresztą sama się tak czułam. Ale w końcu powiedziała:

– Wiesz, zawsze sądziłam, że w tym domu przebywa jakaś istota, albo nawet dwie.

– Możesz to sprawdzić?

– No pewnie. Kiedy?

Postanowiłyśmy, że przyjdzie wieczorem na kolację. Chciałam, żeby Will był świadkiem tego, co się wydarzy. Odłożyłam słuchawkę.

Will poszedł do pracy, surowo nakazując mi zostać w domu, a jeśli zechcę wyjść, zadzwonić po niego, by mógł mnie zawieźć swoją bryczką. Właśnie zmywałam po śniadaniu, kiedy usłyszałam trzask kuchennych drzwi.

Iris!

W całym tym zamieszaniu zapomniałam o jej dzisiejszej wizycie. Inaczej niż wczoraj, najpierw zabrała się do sprzątania.

– Usłyszysz historię matki przy obiedzie – powiadomiła mnie opryskliwie.

„Świetnie” – pomyślałam. Wzięłam książkę i poszłam na werandę.

Gospodyni dołączyła do mnie po paru godzinach. Przyszła z miską gulaszu i kubkiem parującej herbaty.

– Iris – odezwałam się, przełknąwszy łyżkę potrawy. – Mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale zastanawiałam się, czy to, co mi opowiadasz, to prawda, czy też podkolorowane historie z odrobinką prawdy.

Przez jej twarz przemknął uśmiech.

– Przypuszczam, że to twój kawaler nakładł ci do głowy takich rzeczy.

– No... – Jak miałam odpowiedzieć?

Iris skinęła głową, przymknęła oczy i przez chwilę milczała.

– Czy widzisz swoich krewnych, kiedy o nich opowiadam? – spytała wreszcie.

– Widzę. Naprawdę ich widzę. – Słuszna uwaga. Nie wyjawiałam tego Willowi z obawy, że uzna to za zbyt dziwne.

– W takim razie wiesz, że nie kłamię. Wszystko ukazuje ci się tak, jak było. – Spojrzała mi prosto w oczy. Usiłowała się przekonać, co sędzę?

– W takim razie... no, dobrze – wymamrotałam z zażenowaniem. – Chciałam tylko wiedzieć... – Tak naprawdę chciałam jedynie, żeby Iris

przestała mnie przeszywać wzrokiem i zaczęła opowiadać to, co przygotowała na dziś.

– Wspominałam ci o darze Madlyn – zaczęła wreszcie gospodyni. – O jej umiejętności pochwytywania kawałków dusz osób, które fotografowała. Wiesz, że wiele starych ludów – a także niektóre niezbyt stare – wierzyło w moc luster?

Powoli pokiwałam głową.

– Brzmi znajomo...

– Sądzono, że potrafią pokazywać przyszłość, więzić ludzkie dusze i przynosić pecha – gdy zostaną zbite.

To ostatnie słyszałam na pewno. – Siedem lat nieszczęścia.

– Dokładnie. Niektóre ludy uważają je za drzwi do świata duchów, przez które istoty nadprzyrodzone i ludzie mogą podróżować do innego wymiaru.

– I co z tego? – spytałam prowokacyjnie. – Co to ma wspólnego ze zdjęciami mojej matki?

– Aparaty fotograficzne, moja droga, są wyposażone w lustra. I w przeciwieństwie do ulotnych odbić utrwalają obraz.

– Oczywiście – przypomniałam sobie – podobno Indianie nie pozwalają sobie robić zdjęć. Szalony Koń nigdy do tego nie dopuścił, nawet na łożu śmierci.

Iris uśmiechnęła się jak nauczycielka, której uczennica wreszcie błysnęła intelektem.

– Tak, dziecko. A dlaczego?

– Bo aparat ukradłby mu część duszy.

– Właśnie. I się nie mylił. Aparat naprawdę potrafi pochwytać duszę fotografowanego tak jak lustro. Ale musi się znaleźć we właściwych rękach.

Takich jak ręce twojej matki. Na tym polegał jej dar. O, nie od razu to zrozumiała. Ale od dzieciństwa pociągało ją robienie zdjęć. Już jako pięciolatka poprosiła rodziców o aparat. Oczywiście Charles nie potrafił odmówić niczego córce, więc spełnił jej prośbę. Sądził, że to kaprys, o którym mała wkrótce zapomni, i że ostatecznie to on będzie robił zdjęcia.

Ale Madlyn nie rozstawała się z aparatem. Wszędzie go ze sobą nosiła. Gdy twój dziadek wywołał pierwsze fotografie, zdziwił się ich jakością i wyrazistością. Spodziewał się dziecinnych ujęć: uciętych głów, zamglonych krajobrazów. Tymczasem okazało się, że jego córeczka zrobiła piękne – choć odrobinę niepokojące – portrety jego samego, Amelii i wszystkich gości.

Szczególnie przypadły mu do gustu zdjęcia zwierząt – koni i psów. Zdumiało go, że przedstawiają jego ulubieńców tak, jak tylko on ich widział.

Jak pewnie się domyślasz, Madlyn od początku chciała zajmować się tylko tym. Wkrótce po skończeniu liceum zaczęła pracować dla dużych pism. Zatrudniono ją na podstawie zdjęć, które zrobiła, dorastając. I tak się to zaczęło.

– Opowiedziałas mi o talencie mojej matki, ale nie o niej samej. To także chciałabym wiedzieć.

– Madlyn była skomplikowana. Czasami cudowna, czasem okropna – jak wiele dzisiejszych nastolatek. Stawała się ponura i nie rozmawiała z nikim z wyjątkiem (gdy sądziła, że nikt jej nie słyszy) swojej bliźniaczki. Wydawało się, że duch siostry przygniata ją do ziemi. Miewała te mroczne nastroje przez całe życie, nawet po poznaniu Noaha. Sadie nigdy jej nie opuściła. Ale czasem, jak już wspomniałam, Madlyn okazywała się zachwycająca. Przypominała Charlesa. Była serdeczna, radosna i dobra. Wkrótce spotkała twojego ojca.

Uśmiechnęłam się na myśl o moich młodych rodzicach. A potem coś mnie zastanowiło.

– Nigdy nie wspomniałaś, żeby trojaczki uprzykrzały życie mojej mamie. Charlesa chroniły zwierzęta, a kto bronił jej?

Iris pokiwała głową.

– Bardzo dobre pytanie. Oczywiście Sadie stała między dziewczynkami a twoją matką. Ale tak naprawdę onieśmiał ją aparat fotograficzny i talent Madlyn do łowienia dusz. Trojaczki wiedziały, że nie powinny się zanadto zbliżać. W każdym razie tak było w dziewczęcych latach Madlyn. Potem, gdy twój ojciec zjawił się w domu, sytuacja nieco się zmieniła.

Tego lata Madlyn skończyła dwadzieścia lat. Już zyskała renomę jako fotograf. Mieszkała w Nowym Jorku, podróżowała po świecie, pracując dla „National Geographic” i innych pism. Ale tego lata wróciła na wyspę, ponieważ Amelia podupała na zdrowiu. Toczył ją rak, choć nikt wtedy tego nie wiedział. Z każdym dniem słabła, a Charles, rozgorączkowany i już chyba przygotowujący się do żałoby, skontaktował się z córką i kazał jej wrócić.

Madlyn stała się dla nich wielką pociechą. Wykorzystywali dany im czas jak najlepiej, nie rozstając się ze sobą. Czasem po prostu siedzieli i czytali w domu, czasem zabierali Amelię, w owym czasie już przykutą do fotela inwalidzkiego, na piknik na klifie. Całkiem jakby chcieli wycisnąć każdą chwilę do ostatniej kropelki. Amelia zmarła w sierpniu. – Iris westchnęła głęboko. – Charles opłakiwał ją do końca życia. Nigdy nie otrząsnął się po tej stracie, choć rzucił się w wir pracy. W tych pierwszych strasznych dniach zajmowanie się zwierzętami stanowiło dla niego jedyny ratunek.

Tymczasem Madlyn miała wrócić w następnym miesiącu do swojego nowojorskiego apartamentu i pracowitego życia. Zastanawiała się, co zrobić z ojcem – może zabrać go ze sobą – kiedy poznała Noaha Crane'a.

Uśmiechnęłam się i podkuliłam nogi. Podobały mi się wszystkie opowieści Iris, ale teraz miała się zacząć najlepsza.

– Noah pracował przez lato w jednym z hoteli na wyspie wraz ze swoimi kolegami ze stałego lądu. Twoja matka poznała go pewnego wieczora w pubie. Oczywiście natychmiast wpadła mu w oko, jak każdemu. Z tą różnicą, że i on się jej spodobał.

Natychmiast zrozumiała, że nie wróci do Nowego Jorku, a on, że nie przyjmie posady, która czekała na niego od jesieni w szkole na drugim brzegu jeziora. Po paru dniach randek oboje postanowili zostać na wyspie i zacząć tu wspólne życie. Widzę, że chciałabyś się dowiedzieć czegoś więcej o początkach ich znajomości.

– Iris przyjrzała mi się z ukosa. – Zachowywali się typowo. Kolacje, tańce, pikniki i spacer. Ale przede wszystkim rozmawiali ze sobą – głębiej i intymniej niż z kimkolwiek innym.

Brzmiało to znajomo. Tak samo czułam się z Willem.

– Twój ojciec poprosił o pracę w miejscowej szkole – ciągnęła Iris. – Akurat potrzebowali nauczyciela matematyki. Madlyn zadzwoniła do redaktorów naczelnych wszystkich pism, które ją zatrudniały. Powiadomiła ich, że obecnie jej bazą wypadową będzie wyspa Grand Manitou, nie Nowy Jork. Mimo to zamierzała nadal przyjmować zlecenia, tak jak kiedyś.

Ich życie ułożyło się pięknie i bez przeszkód. Madlyn zawsze podejrzewała, że jej zmarła matka miała w tym swój udział. I rzeczywiście. Wiem z całą pewnością, że tej nocy w pubie Amelia szepnęła Noahowi do

ucha: „Odwróć się, odwróć się natychmiast...”, gdy Madlyn miała przejść obok niego. Gdyby tego nie zrobiła, moja droga, nie przyszlabyś na ten świat.

Szeptala im takze: „Zostańcie, zostańcie na wyspie”, dbając o to, by ta myśl się w nich zakorzeniła. Tak to za sprawą Amelii Noah i Madlyn poznali się i tu osiedlili. Amelia zrobiła to oczywiście dla swojego ukochanego Charlesa. Bała się, że będzie sam, i wiedziała, jak bardzo potrzebował obecności córki.

O, Amelia miała mnóstwo roboty w tych miesiącach tuż po śmierci. Ale kiedy Madlyn wyszła za Noaha i przyszłość Charlesa została odpowiednio zabezpieczona, twoja babka zwróciła się ku światłu, które zawsze jej towarzyszyło, i zobaczyła stojącą w nim małą sylwetkę. Sadie. Podbiegła do niej, po raz pierwszy uścisnęła swoje ukochane maleństwo i razem uleciały w blask.

Twarz Iris złagodniała jak nigdy, może dlatego, że od paru minut płakałam jak dziecko.

– Jakie to piękne – chlipnęłam, wycierając nos w chusteczkę. – Jednak nie rozumiem. Byli tacy szczęśliwi. Co mogło się tak strasznie zepsuć przez te pięć lat, że ojciec mnie stąd porwał?

Gospodyni znowu spochmurniała, ale wzięła mnie za rękę, kręcąc głową, i oznajmiła zdecydowanie:

– To, moja droga, historia na inny dzień. To twoja historia. Historia Halcyon Crane.

– Nie możesz mi jej opowiedzieć już teraz?

– Spodziewasz się gości. Musisz się przygotować. A ja muszę odejść.

Wiedziałam, że nie ma sensu się jej sprzeciwiać, kiedy mówiła takim tonem. „Niech idzie – pomyślałam. – Czeka mnie seans”.

Zrobiłam makaron z kurczakiem, karmelizowaną cebulką, suszonymi pomidorami i sosem z serem gorgonzola – przepis święty z mojej ulubionej restauracji w Seattle. Will przyniósł świeży chleb i parę butelek wina (zdecydowanie mieliśmy go potrzebować) i snuł się ze skrepowaniem po kuchni, gdy ja gotowałam.

O siódmej przed drzwiami stanęła Mira. Miała na sobie... no, to co zwykle. Dżinsy i pasiastą bluzkę, a na ramionach sweter. Zabawne okulary na łańcuszku wiszącym na szyi, włosy ściągnięte w koński ogon. Wyglądała tak normalnie, że aż się zdziwiłam. A to ją rozbawiło.

– Spodziewałaś się, że wparuję tu w aksamitnej opończy? , Parsknęłam śmiechem.

– Wejdz, *Madame Miro*.

Przy posiłku rozmawialiśmy o wielu sprawach – od pogody po mój związek z Willem i plotki z wyspy. Omijałam jedyny temat, który chciałam poruszyć. Will to widział. Od czasu do czasu zerkał na mnie z taką miną, jakby chciał powiedzieć: „No już, pytaj”.

Po paru niezręcznych wstępach: „Miro, zastanawiałam się...”, „Słyszałam, że...”, „Pomyślałam...”, w końcu wykrztusiłam:

– Ostatnio dowiedziałam się, że w dniu, gdy zniknęłam wraz z ojcem, to ty zauważyłaś nasz kajak.

Will mrugnął do mnie. Mira nawijała makaron na widelec, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Co to był za dzień... – odezwała się w końcu. – Niemal cała wyspa was szukała. Wydawało mi się, że wiem, dokąd poszedł Noah – po prostu to

czułam – i okazało się, że miałam rację. A jednak na widok tego kajaka serce we mnie zamarło. Bardzo chciałam się mylić. – Spojrzała na mnie z żalem i pretensją. – Twój ojciec postawił nas wszystkich na nogi przez ten swój figielek.

Najwyraźniej chciała odwrócić moją uwagę od swojego udziału w sprawie. Ale nie dałam się nabrać.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Miałyśmy wiele okazji.

– Tak naprawdę nie wiem – przyznała z zażenowaniem. – Kiedy zjawiałaś się na wyspie, kompletnie mnie zaskoczyłaś. Zginęłaś trzydzieści lat temu, Hallie. A potem, w miarę upływu czasu... sama nie wiem, jakoś nie wydawało mi się ważne, że tamtego dnia brałam udział w poszukiwaniach. Mnóstwo osób pomagało, nie tylko ja.

Słowa Miry brzmiały rozsądnie. Skinęłam głową, gotowa zmienić temat, ale ona pochyliła się i dodała niemal konspiracyjnym tonem:

– Rzecz w tym, że przez cały czas miałam wrażenie, iż w tej historii kryje się coś więcej, niż nam mówią.

Zaintrygowała mnie.

– Naprawdę? Jak to?

– Chodzi o śmierć Julie Sutton. I wasze zniknięcie tuż po niej. Wszyscy, zwłaszcza policja, sądzili, że Noah popełnił samobójstwo, przerażony oskarżeniami, a ciebie zabił, bo byłaś świadkiem jego zbrodni. Ale mnie to nie przekonywało. Gdyby chciał sobie odebrać życie w obliczu bliskiego aresztowania, proszę bardzo, ale po co by mordował ciebie? Kochał cię nad życie. A gdyby rzeczywiście był winien śmierci Julie Sutton, Noah Crane, jakiego znałam, wzięłby na siebie odpowiedzialność za ten czyn.

– Thomas James, jakiego znałam, postąpiłby tak samo –dodałam.

– No dobrze – odezwała się Mira po jakimś czasie, gdy odłożyliśmy sztućce. – Wezwałaś mnie tutaj, żeby zrobić porządek z duchami.

Roześmiałam się nerwowo. Wzięliśmy wino i przeszliśmy do jadalni, gdzie uprzednio zapaliłam świece w kandelabrze. Łagodny migotliwy blask odbijał się w szybach i otulał cały pokój. Usiedliśmy przy stole. Mira wyprostowała się i odkaszlnęła. Teraz to ona przejęła kontrolę nad sytuacją. Czułam, że ta rola przychodzi jej z łatwością.

– Zaczniemy od tego, co właściwie działo się w domu – zarządziła.

Odetchnęłam głęboko i opowiedziałam jej o ukazującej mi się dziewczynce w białej sukience, o znikającej biżuterii, o telewizorze i roletach.

Mira kiwała głową, spoglądając na nas. – Wygląda mi to na nawiedzenie.

Wiem, że właśnie dlatego ją wezwałam, ale i tak od jej słów przeszedł mnie dreszcz.

– Naprawdę trudno znaleźć inne wytłumaczenie – dodała. – Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Will spojrzał na mnie znacząco.

– No, ale być może istnieje inne wyjaśnienie – zaczął ostrożnie.

Widziałam, że nie ma pewności, czy się w to wtrącać, ale dałam mu znak, żeby mówił dalej.

– Podejrzewam, że Hallie zaczyna odzyskiwać wspomnienia. Wiesz, z powodu śmierci koleżanki przeżyła taki wstrząs, że przestała mówić do czasu, kiedy ojciec wywiózł ją daleko stąd.

– Pamiętam – przytaknęła Mira. – Zupełnie zamilkłaś. Rodzice szaleli z niepokoju.

– W świetle tych wydarzeń sądzę, że sam powrót do domu mógł przywołać jej wspomnienia – dodał Will.

– Zgodziłabym się z tą teorią, gdyby nie inny fakt – odpowiedziała Mira po chwili namysłu. – Co z pojawiającą się i znikającą biżuterią? Z roletami i telewizorem?

– Właśnie dlatego cię zaprosiliśmy – przyznał. – Tego nie potrafię wyjaśnić. Gdyby Hallie widywała tylko tę dziewczynkę w białej sukience, doradzałbym jej spotkanie z psychologiem.

– Widzisz – włączyłam się do rozmowy – te drobne wydarzenia – kolczyki, telewizor i tak dalej – nie zaalarmowałyby mnie tak bardzo, gdybym nie poznała ostatnio pewnej niepokojącej informacji o mojej rodzinie.

Mira spojrzała na mnie z nowym zainteresowaniem. –Jakiej informacji?

– Okazuje się, że w minionych latach w tym domu dochodziło do licznych... no cóż, chyba można powiedzieć „podejrzanych wypadków”, do których można zaliczyć upadek Julie Sutton z okna.

– Opowiedz mi o nich.

Pochyliłam się i przekazałam jej to, czego dowiedziałam się od Iris.

– Oj, niedobrze – mruknęła Mira z grymasem.

– Niedobrze. – Nabrałam tchu przed ostateczną rewelacją. – Ale naprawdę przestraszyłam się, kiedy poprzedniej nocy Will spadł ze schodów.

Mira spojrzała na niego z przerażeniem. Will opowiedział jej o głosach, które zaczęły go wzywać w środku nocy, i o tym, jak poczuł na plecach czyjeś ręce.

– Właśnie dlatego poprosiliśmy cię o pomoc – zakończyłam. – Robi się niebezpiecznie. Jeśli grasuje tu złośliwy duch, chcę go wypędzić. Muszę spokojnie żyć w moim domu.

– Wiesz, czyj to duch? – spytała Mira, zapalając wotywnie świece.

Wymieniliśmy z Willem ukradkowe spojrzenia.

– Podejrzewam, że to jedna lub wszystkie dziewczynki, które zginęły podczas sztormu w 1913 roku: Penelope, Patience i Persephone.

Mira popatrzyła na mnie.

– Nic nie wiem o tym wydarzeniu. Co to za sztorm?

I tak opowiedziałam jej, jak niemal sto lat temu niespodziewana listopadowa zawierucha zaskoczyła bawiące się trojaczki, które umarły w swoich ramionach u stóp klifu.

– Czyli nie sądzisz, że to duch dziewczynki, która zginęła tu trzydzieści lat temu?

Znowu spojrzałam na Willa. Tego nie brałam pod uwagę.

– Myślałam, że to któraś z sióstr, ponieważ niedawno się o nich dowiedziałam. Moi krewni uważali, że trojaczki tu pozostały. Zwłaszcza ich matka. Zamartwiała się, że nie trafiły do nieba. Wierzyła w to do śmierci i nawet raz usiłowała się z nimi skontaktować. I te wypadki...

Mira skinęła głową.

– Chciałam się tylko upewnić. Dobrze jest znać tożsamość ducha. Gdy to tylko możliwe, trzeba się kontaktować z konkretnymi osobami po tamtej stronie.

Następnie wyjaśniła, co się dziś wydarzy. Po jej krótkiej medytacji – zapadnięciu w trans? – weźmiemy się za ręce, a ona wezwie dziewczynki, zapraszając je do naszego kółka.

Oddechnęła głęboko i zamknęła oczy. „No, to się zaczyna” – pomyślałam, ale Mira znowu uniosła powieki. Coś przyszło jej do głowy.

– Macie jakiś przedmiot, który należał do sióstr? To bardzo pomaga, gdy usiłuję się z kimś skontaktować.

Pokręciłam głową.

– To historia sprzed stulecia. Ich rzeczy pewnie znajdują się w jakimś pudle, ale nie mam pojęcia, gdzie ich szukać.

Mira skupiła się, głęboko oddychając, wzięła nas za ręce i ścisnęła je mocno, a ja myślałam tylko o tym, że dobrze, iż nie mamy tych wstążek...

– Penelope, Patience, Persephone – odezwała się Mira głosem, który brzmiał dziwnie obco. – Dziewczynki, wzywamy was. Zapraszamy was do naszego kręgu. Przybądźcie do nas. Usiądźcie przy naszym stole. Penelope, Patience, Persephone. Penelope, Patience, Persephone.

Mówiła całkiem jak Iris. Jej głos stał się ochrypły i dziwnie piskliwy, jakby nie należał do niej. Zaczęłam coś czuć; elektryczne napięcie mrowiło mnie na karku i ramionach.

– Penelope, Patience, Persephone.

Najpierw usłyszałam nieokreślony odgłos w odległych rejonach domu, jakby coś się przebudziło do życia. Wiatr sprzed stulecia, uśpiony na drugim piętrze, wtargnął do salonu, otoczył stół jak cielsko węża i zacisnął się wokół nas. Wszystkie świece – te na stole i w kandelabrze – zgasły za jednym podmuchem. Znaleźliśmy się w nieprzeniknionych ciemnościach. I wtedy się zaczęło.

„Chodźmy się bawić, wyjdźmy na łąkę”.

Chciałam krzyknąć, ale głos zamarł mi w gardle. Usiłowałam otworzyć oczy, lecz miałam wrażenie, że moje powieki się skleiły. Próbowalam puścić ręce Miry i Willa – nie zdołałam rozchylić palców. Ich dłonie zlodowaciały, stały się twarde jak kamień. Jakbym dotykała zmarłych.

Z oddali dobiegało mnie mamrotanie Miry:

– Jesteś zimna jak lód. Zamarzasz. Zamarzłaś. Umarłaś.

Nagle poczułam ten zapach. Wypełnił cały pokój. Mocny, uderzający do głowy aromat róż.

– Hej! – Głos Willa zabrzmiał piskliwie i nerwowo. – Przestań.

Mira szeptała dalej:

– Jesteś zimna jak lód. Zamarzasz. Zamarzłaś. Umarłaś.

– Au! – Will poderwał się, usiłując się nam wyszarpnąć. Otworzyłam oczy, ale zobaczyłam tylko mrok.

Z kuchni wpadły psy, warcząc i szczekając. Czulałam, że okrążają stół, dysząc głośno. W końcu – minęło pewnie tylko parę chwil, ale miałam wrażenie, że wieczność – Mira puściła mnie i pobiegła do kontaktu. Włączyła światło i wszyscy jęknęliśmy jednocześnie.

Na stole pojawiła się sterta białych wstążek. Wznosiła się między nami, pokrywając aksamitny obrus, zgaszone świece i cały blat. Leżały na podłodze. Jedna leniwie tańczyła w powietrzu. Psy warczały na nią cicho.

Mira stała przy włączniku. Miała szeroko otwarte oczy i przyspieszony oddech. Dopiero wtedy zobaczyłam twarz Willa. Pokrywały ją zadrapania, małe ranki. Po policzkach spływały strużki krwi. Will stał jak skamieniały, z otwartymi ustami, nie pojmując, co go spotkało.

Usiłując ukryć przerażenie, podeszłam do niego i lekko położyłam mu rękę na ramieniu.

– Chodźmy do kuchni, opatrzę cię.

Wszyscy troje wyszliśmy z jadalni. Posadziłam Willa przy stole, wyjęłam czystą szmatkę z szuflady i zwilżyłam ją wodą, a potem zaczęłam delikatnie ocierać krew. Will patrzył na mnie jak przerażone dziecko.

– Pod umywalką leży apteczka – odezwałam się, wskazując łazienkę. Mira po chwili wróciła z zestawem pierwszej pomocy, w którym znalazłam antybakteryjną maść na skaleczenia. Posmarowałam nią twarz Willa. Na szczęście żadna z ranek nie była głęboka. Wyglądały jak zadrapania małych pazurków. Albo dziecięcych paznokci. Ciekawe, czy zostaną po nich blizny.

Tymczasem Mira trzęsącymi się rękami otworzyła kolejną butelkę czerwonego wina. Dobry pomysł. Nalała go do trzech kieliszków i natychmiast osuszyła jeden. Ponownie go napełniła. Dopiero teraz zaczęliśmy rozmawiać.

– Wiele widziałam w życiu, ale czegoś takiego nigdy – odezwała się Mira.

– Nie mogłam puścić waszych rąk! – wyznałam.

– W tym pokoju był ktoś oprócz nas – wymamrotał Will, dotykając pokaleczonej twarzy.

– Opowiedz, co się wydarzyło – zwróciła się do niego Mira. – Kiedy się to zaczęło?

Will zastanawiał się przez chwilę. – Gdy poczułem zapach róż. Też go czułyście? Przytaknęliśmy.

– Więc zaczęły cię ranić, kiedy weszły do pokoju – szepnęła Mira. – Wiecie, co oznaczają te wstążki?

– Rodzinna legenda głosi, że dawno temu inne medium wzywało dziewczynki za pomocą wstążek, które siostry nosiły codziennie we włosach.

Will spojrzał na mnie z zaskoczeniem, ale Mira przyjęła tę wiadomość spokojnie.

– W ten sposób kontaktują się z nami duchy zmarłych – odezwała się w zamyśleniu. – Podsuwają nam jakiś ważny dla nich przedmiot, żebyśmy

zauważyli ich obecność. To dość powszechne zjawisko. Czasami to motyl, unoszący się w pobliżu przez nietypowo długi czas. Pewna moja znajoma widuje na drzewie za oknem orła i wie, że to zmarły syn daje jej znak, że nad nią czuwa. Inna rodzina znajduje w różnych miejscach pieniądze: w butach, w salaterce z makaronem, zamrożone w lodzie. Oto, jak zmarli mówią nam, że pozostali przy nas, że na nas patrzą.

Will i ja nie odpowiedzieliśmy. Siedzieliśmy tylko, trzymając się za ręce i kręcąc głowami z niedowierzaniem. Gdyby chodziło tylko o motyle czy monety!

– No, to przynajmniej osiągnęliśmy dziś jedno – oznajmiła Mira po chwili. – A mianowicie? – mruknęłam.

– Nie ulega wątpliwości, że masz tu ducha. A dokładnie trzy. Penelope, Patience i Persephone.

– I co teraz? – spytałam bezradnie. Nie miałam pojęcia, jak postąpić. Raptem ogarnęło mnie ogromne zmęczenie. Chciałam tylko zasnąć w ramionach Willa i nie myśleć o żadnych złośliwych i niebezpiecznych zjawach.

– Jutro przejdziemy do fazy drugiej – oznajmiła Mira z uśmiechem.

– Czyli?

– Do wypędzenia duchów. Bo zakładam, że nadal masz zamiar tu mieszkać?

– O, tak.

– I chcesz, żeby dziewczynki odeszły?

– Zdecydowanie.

– Istnieją na to sposoby. – Mira wstała energicznie. – Ale chyba mieliśmy dość przeżyć na jedną noc.

Przyznaję, że nie chciałam się z nią rozstawać. Bałam się tego domu. Nagle wpadłam na pewien pomysł.

– Czy Will i ja możemy spędzić noc w twoim zajeździe? Jakoś mi się nie uśmiecha myśl o zostaniu tutaj.

– Twój pokój czeka – powiedziała Mira, klepiąc mnie po ramieniu.

– Moglibyśmy pojechać do mnie – zauważył Will, ocierając twarz.

Pokreśliłam głową.

– Mieszkaś na drugim końcu wyspy, a Mira – w sąsiedztwie. Poza tym Tundra i Tika nie zmieszczą się do twojej bryczki, a nie zostawię ich tu samych. – Spojrzałam na Mirę. – Możemy je zabrać do ciebie, prawda?

Szybko przytaknęła.

– Na ogół nie przyjmuję zwierząt, ale dla nich zrobię wyjątek.

I tak zaczęliśmy się przygotowywać do opuszczenia domu. Teraz już wiem, że to był błąd. Mądrość po szkodzie miewa gorzki smak. Może gdybyśmy odważyli się zostać na noc i stawili czoła dziewczynkom, oszczędzilibyśmy sobie wydarzeń następnego dnia. Ale skąd wiadomo, co by nas spotkało w domu, w którym grasowały trzy wezwane, przebudzone i psotne duchy? Kto wie, jakiego rodzaju koszmar stałby się naszym udziałem?

CZEŚĆ TRZECIA

30

Nie wrócisz tam sama – oznajmił Will następnego dnia przy śniadaniu. Poprzedniego wieczora dotarliśmy do zajazdu Miry przemoczeni deszczem i po prostu padliśmy na łóżko. Natychmiast zasnęliśmy z psami zwiniętymi w kłębek u naszych stóp i obudziliśmy się dopiero w południe. Nie miałam nawet ubrania na zmianę, więc chciałam wrócić za dnia do domu i spakować parę rzeczy.

– Przecież świeci słońce – powiedziałam głupio. – Nic mi się nie stanie. Poza tym mieszkam tam od dwóch tygodni. Gdyby chciały mi zrobić krzywdę, miały mnóstwo okazji. Już się nie boję. Wczoraj się wystraszyłam, ale mi przeszło. Naprawdę.

Czy to nie brzmi jak bełkot śmiertelnie przerażonej osoby?

Mira pojechała do miasta po zakupy, więc nie mogła mi tego wyperswadować, ale Will też nie dał się nabrać na moją rzekomą odwagę. Kręcił głową. Dopiero wtedy to zaważyłam: ranki na jego twarzy niemal znikły. Zostały po nich ledwie widoczne ślady. Całkiem jakby one także należały do świata duchów i w jasnym świetle dnia się rozplynęły.

– Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do miasta – mruknął, wiedząc, że nie wygra tej walki.

– Taki piękny dzień... – oznajmiłam, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie w tej dyskusji.

A dzień naprawdę był śliczny. Czasem, gdy cały świat przygotowuje się na śnieg i mróz, pojawiają się takie zaskakujące przełyski lata, chwilowe wytchnienie od nieuniknionej brzydkiej pogody, która już nadchodzi.

– Zrobię tak – zaczęłam pojednawczo. – Spakuję niektóre nasze rzeczy na wypadek, gdybyśmy postanowili zostać u Miry jeszcze jeden dzień. Posprzątam po seansie i poczekam na zewnątrz, aż wrócisz. I nie puszczę psów od siebie na krok. Co ty na to?

Niebo miało kolor czystego szafiru, a temperatura podniosła się pewnie do piętnastu stopni. Nie upał, ale jak na późny listopad na wyspie wyjątkowy dar pogody. Gdy ruszyliśmy piechotą do domu, oparłam głowę na ramieniu Willa. Psy biegały wokół nas.

– Wiesz, co mi się właśnie przypomniało? – odezwałam się nagle. – Iris tam przyjdzie! Nie będę sama.

Will uśmiechnął się lekko.

– Kiepska pociecha. Czy Iris zdoła pomóc, kiedy duch zepchnie cię ze schodów? No, ale zawsze to coś.

Pocałował mnie i poszedł do stodoły, żeby osiodłać Belle, która spędziła tam całą noc.

Wbiegłam po schodach, odetchnęłam głęboko i otworzyłam drzwi. Iris już przyszła. Umyła i schowała kieliszki, ustawiła porządnie krzesła. Weszłam do jadalni i zastałam ją zamiatającą wstążki. Zapach róż nadal unosił się w powietrzu.

Rzuciła mi ostre spojrzenie.

– Co się tu wydarzyło?

Nagle poczułam się jak dziecko przyłapanie na jakiejś zakazanej zabawie. Czy rzeczywiście przesadziliśmy? Niemal bałam się odpowiedzieć na jej pytanie.

– Próbowaliśmy się skontaktować z dziewczynkami.

– Próbowaliście? Powiedziałaabym, że wam się udało. – Gospodyni prychnęła, idąc do kuchni z szufelką pełną białych tasiemek. – Popełniliście błąd. Kiedy ostatnio kontaktowano się z tymi dziećmi, ktoś umarł.

Przypomniałam sobie seans Hannah i zadrżałam na myśl biednej Jane o

– Pora, żebyś usłyszała opowieść o Halcyon Crane – oznajmiła Iris i wyszła z domu, zostawiając mnie samą z moimi lękami i wątpliwościami.

Przez chwilę zwlekałam, zanim za nią poszłam. Psy ułożyły się na swoich legowiskach w kuchni. Iris dotarła już do ogrodu, gdzie usiadła na kamiennej ławeczce. Pobiełam za nią truchtem.

– Musisz w pełni zrozumieć swój dar – odezwała się, kiedy usiadłam obok niej. – Musisz go opanować i wykorzystać, skoro już przyzwałaś dziewczynki. Masz więcej mocy niż one i jakiegokolwiek rzekome medium, które tu sprowadziłaś. Pora, żebyś zrozumiała, kim jesteś.

Westchnęłam.

– Nie mam pojęcia, jak to zrobić. Próbowalam, ale...

– Właśnie po to się tu znalazłam, dziecko: żeby cię uczyć, opowieściami obudzić twój dar widzenia. Ale teraz sędzę, że tę ostatnią historię – twoją historię – powinnaś zobaczyć sama. To jedyny sposób.

Wyjęła z kieszeni fartucha parę czarno-białych fotografii i podała mi je.

– Popatrz uważnie, a potem oczyść umysł ze zbędnych myśli. Niech twój duch uleci w eter. Kiedy znajdziesz się między światami, przyzwij duchy matki i ojca. Oni pokażą ci to, co musisz ujrzeć. – Gospodyni zamilkła.

Pozostało mi tylko spojrzeć na zdjęcia, leżące w moich rozchylonych dłoniach.

Zobaczyłam siebie jako niemowlaka oraz szeroko uśmiechniętych rodziców. Urodziny, jedna świeczka na torcie. Mój ojciec leżący na trawie ze mną, śpiącą na jego piersi. Zapomniałam o wszystkim, wpatrując się w te zdjęcia, aż niemal poczułam to, co wtedy. Zapach trawy, smak lukru... Zamknęłam oczy i spróbowałam nie myśleć o niczym innym. Usłyszałam dźwięki, moją twarz muskał lekki wietrzyk, aż w końcu owionął mnie nowy zapach: znajoma woda kolońska. Woda kolońska taty.

Otworzyłam oczy, ale nie zobaczyłam ani ławeczki, ani ogrodu, klifu czy Iris. Tylko mojego tatę, młodszego ode mnie, siedzącego przy biurku – zapewne w swoim gabinecie. W roztargnieniu wpatrywał się w okno, przesuając ręką po włosach. Miał je wtedy takie gęste! Moja matka – w ciąży – właśnie weszła do pokoju. Ubrana była w długą fioletową suknię, w jej uszach wisały kolczyki. Pocałowała go w czoło.

– Nie chodzi o pieniądze, Madlyn, przecież wiesz – odezwał się ojciec z westchnieniem. – Martwię się, jakim będę ojcem. Czy jestem na to gotowy? Czy obydwójce jesteśmy?

Madlyn roześmiała się – melodyjnie i słodko.

– Nikt nigdy nie jest gotowy na dziecko, głuptasie. One przychodzą do nas wtedy, gdy same chcą.

Noah spojrzął w oczy żony. Jej optymizm go rozbroił.

– Pewnie masz rację. To dziecko się urodzi, nie pytając nas o zdanie.

Scena rozwiała się jak smużka dymu na wietrze, a na jej miejscu pojawił się obraz mnie machającej nóżkami w łóżeczku. Ojciec pochylał się nade mną rozpromieniony.

– Daj jej już spać – poprosiła mama z uśmiechem i wyprowadziła go z pokoju.

Potem zobaczyłam inną scenę. Mama – z długimi kasztanowymi włosami przewiązanymi chustką – siedziała przy biurku w sypialni, przyglądając się rzędom zdjęć. Zgarnęła je pospiesznie do teczki, gdy mój ojciec wszedł do pokoju.

– Martwię się o Halcyon – powiedział.

– Nic nowego. – Wstała i objęła go czule. – Jesteś chyba najbardziej troskliwym ojcem świata. Co tym razem, ukochany?

– Wiem, że już o tym rozmawialiśmy, ale musisz mnie wysłuchać. Usiłowałem ci to wytłumaczyć. Nasza malutka nie widzi.

Co proszę?

– Z nikim, nawet z tobą, nie nawiązuje kontaktu wzrokowego. Nie reaguje na zabawki, twarze ani zwierzęta. Musisz się z tym pogodzić. Trzeba ją zawieźć do lekarza.

Jego błagalny ton sprawił, że po plecach przebiegł mi znajomy dreszcz. Zobaczyłam, jak kędzierzawa dziewczynka, jeszcze nie całkiem pewnie trzymająca się na nogach, zderza się ze ścianą. Ale ten obraz kontrastował z innym, przedstawiającym mnie spoglądającą wprost na kobietę, w której rozpoznałam Hannah. Prababka zabawiała mnie, zasłaniając twarz rękami i nagle ją odsłaniając z okrzykiem: „A kuku!”. Rozpłynęła się, gdy moja matka weszła do pokoju. Potem – jak na pokazie przezroczy – ujrzałam kilka scen, gdy rozmawiam, śmieję się i bawię z Hannah, Simeonem i Amelią. Ich zatem widziałam, ale nie to, co się działo bezpośrednio przed moimi oczami.

Umiałam patrzeć przez zasłonę oddzielającą nasz świat od krainy umarłych.

– Madlyn, zdaje się, że mamy kolejny problem z Hallie – powiedział Noah pewnego popołudnia. – Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale słyszałem, jak nasza córka rozmawiała dziś z twoją matką. I to nie pierwszy raz.

– Absurd! – rzuciła Madlyn ze śmiechem. – Po prostu wyobraża sobie, że ma przyjaciółkę.

Ale znałam jej myśli. Sama także przez całe dzieciństwo kontaktowała się ze zmarłą bliźniaczką, więc nie dziwiło jej takie zachowanie.

– Jak może mówić o ładnych białych wstążkach, brązowym pluszowym misiu i czerwonych liściach w ogrodzie, skoro nie widzi? – chciał wiedzieć Noah.

– Kochanie, nie zastanawiaj się tyle. – Madlyn zaczęła mu masować barki. – Ten dom ma dziwny wpływ na ludzi. Nie przejmuj się tak bardzo. Mój tata nie mówił przez pięć pierwszych lat życia, a teraz – tylko go posłuchaj!

Kolejny obraz: Will jako chłopiec. Razem ze mną w ogrodzie, w którym teraz siedziałam. Gonił mnie wokół ławki, a ja nagle zatrzymałam się, odwróciłam, spojrzałam mu prosto w oczy i skoczyłam na niego. Zrozumiałam, że to chwila, w której odzyskałam wzrok. Pierwsza ludzka twarz z tego świata, którą zobaczyłam, należała do Willa. Zrobiło mi się ciepło na sercu. Roześmiałam się, widząc siebie leżącą na Willu i łaskoczącą go niemiłosiernie. Pomyślałam o wczorajszej nocy. Niewiele się zmieniło.

– Nie do wiary – szepnął Noah, trzymając mnie mocno w ramionach. W oczach miał łzy.

– Całkiem jak z nagłym przemówieniem mojego ojca – odszepnęła Madlyn nad moim ramieniem. – Nie obchodzi mnie, dlaczego i jak się to stało. Najważniejsze, że Hallie widzi. Tylko to się liczy.

Jak się dowiedziałam z następnej wizji, nie straciłam zdolności dostrzegania świata duchów. A ojciec coraz bardziej niecierpliwił się zapewnieniami matki, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego.

– Hallie! Halcyon Crane! – wołał, raz jeszcze szukając mnie w zagajniku przed domem. Znikałam tam popołudniami. Lubiłam odkrywać nowe zakamarki i poznawać lasy wokół naszej posiadłości. Najczęściej ojciec zastawał mnie leżącą na trawie i przyglądającą się żaglówkom pływającym po jeziorze. Czasem znajdował mnie w stajni, gdzie pomagałam dziadkowi czyścić konie, lub w cieniu wielkich dębów koło klifu. Ale tego dnia nie było mnie w żadnym z tych miejsc, a już zaczęło się ściemniać.

Coraz bardziej zdyszany biegł, wołając moje imię. Sękate gałęzie chwyciły go za koszulę i włosy. Przedarł się przez zagajnik przed domem. Łzy zaślepiły go na myśl, że nigdy więcej mnie nie zobaczy.

– Hallie! – krzyknął przeraźliwie.

– Tutaj, tato – rozległ się mój głos. Noah zatrzymał się i rozejrzał dziko, ale nigdzie mnie nie dostrzegł.

– Nie tam! Tutaj! – Szelest w krzakach. – Uuuu! – krzyknęłam, przypadając do niego i obejmując jego nogi. Ojciec, na którego czoło wystąpił pot, wziął mnie na ręce. Dopiero teraz zauważyłam, że znalazłam się niebezpiecznie blisko skraju klifu. Dzielily mnie od niego trzy, cztery kroki.

Ojciec przytulił mnie mocno. Poczułam unoszący się z moich włosów zapach dziecięcego szamponu zmieszany z wonią polnych kwiatów, lawendy, wody i nocy.

– Co się stało, tato?

Noah postawił mnie i ukląkł. Spojrzał mi prosto w oczy.

– Wiesz, co powiedziałem o klifie.

Wzruszyłam ramionami.

– Ja się tylko bawiłam...

– Nie obchodzi mnie to, moja panno. Nie wolno ci chodzić samej na klif.

Spojrzałam na niego niewinnie.

– Ale ja nie byłam sama.

Noah pokręcił głową i westchnął, wyraźnie zatroskany.

– A z kim?

– Z przyjaciółkami – wyjaśniłam. – Bawiłyśmy się w „ciepło–zimno”.

Przez twarz ojca przemknął cień. Dziecinne zabawy stały się niebezpieczne. Zwabiły mnie na skraj klifu.

To, co ujrzałam następnie, przejęło mnie nagłym dreszczem. Siedziałam na klifie z trzema duchami dziewczynek. Klaskałyśmy, śpiewając:

„Chodźmy się bawić,

wyjdźmy na łąkę.

Przynieś laleczki.

Wejdź na jabłonkę!”.

Ta melodia zacisnęła mi się na gardle jak lodowata dłoń. Zobaczyłam przerażonego ojca, który porwał mnie w ramiona. Dziewczynki do mnie pomachały.

– Ale, tato, ja się z nimi ciągle bawię! I z innymi też! Zwłaszcza z babcią i prababcią. Babcia upadła i straciła dzidziusia...

Serce mi podeszło do gardła, oddychanie sprawiało coraz większą trudność. „Już za chwilę – pomyślałam. – Zaraz dowiem się wszystkiego”. Miałam ochotę wstać i uciec, otrząsnąć się z transu, bo wiedziałam, że ukażą mi się zapomniane wydarzenia z dnia, w którym zginęła Julie Sutton.

Te wspomnienia nie bez powodu kryły się gdzieś w głębi mojego umysłu. Może nie powinnam wiedzieć, co się stało. Aż do tej chwili byłam z tym szczęśliwa. Czy jest sens rozdrapywać stare rany? Ale z drugiej strony, po co miałabym słuchać tych opowieści Iris, gdybym nie poznała – nie zobaczyła – mojej własnej historii?

Jakby z oddali dobiegł mnie głos Iris:

– Nie odwracaj oczu, Halcyon. Patrz!

Ale to nie była Julie – jeszcze nie. Wizja przedstawiała matkę, pochłoniętą fotografowaniem, nieświadomą tego, co się działo wokół niej. Łowienie dusz uderzało jej do głowy, upajało ją. Widziałam to w jej oczach. Wywołując zdjęcia, zachowywała się jak narkomanka, nieustannie głodna tego, co zobaczy. Ten dar, ta obsesja, nie zostawiała jej czasu na inne sprawy, jak mąż i dziecko. Dlatego nie dostrzegła, że coś mi grozi. I zrozumiałam, że to ostrzeżenie. Muszę pamiętać o sprawach naprawdę ważnych.

– I co z tego, że spotyka się z poprzednimi mieszkańcami domu? – rzuciła matka niecierpliwie. – To przecież moi krewni, na miłość boską!

– Maddie, powinniśmy wyjechać – odparł błagalnie mój ojciec. – Uciekajmy stąd.

– Chyba żartujesz – warknęła. – Miałabym zostawić ojca? Nie. Pod żadnym pozorem.

Potem zobaczyłam jeszcze inne klótnie. Trzaskanie drzwiami, łzy w jego i jej oczach.

– Przecież to wspaniałe miejsce na dorastanie – tłumaczyła mama. – Hallie ma przyjaciół, świetną szkołę, może chodzić po całej wyspie i nie boję się, że przejedzie ją samochód. Ty pracujesz, ja mogę stąd zarządzać moimi

sprawami. Tu są moje korzenie i korzenie Hallie. Nie możesz żądać, żebym jej to odebrała, bo wydaje ci się, że widzi duchy!

Ostatnie słowa rzuciła z nietypowym dla siebie jadem. Zobaczyłam zgnębioną minę ojca. Wyjazd nie wchodził w rachubę. Zrozpaczony, zdesperowany, przerażony, obiecał mi szeptem czuwać nade mną najlepiej, jak potrafi.

Scena zmieniła się i ujrzałam młodą kobietę, która niedawno przybyła na wyspę. Robiła zakupy w sklepie. Poszła za mną i moim ojcem i lekko dotknęła jego ręki. Odwrócił się gwałtownie. Popatrzyła mu prosto w oczy i szepnęła:

– Widzę, że pańska córka ma wielki dar.

Niemal usłyszałam łomot jego serca. Ojciec odetchnął głęboko i odpowiedział równie cicho.

– Jaki dar?

– Dar widzenia. Ja też go mam.

Noah chwycił ją za ramię i pociągnął w cichy zaułek.

– Nie wiem, kim pani jest ani skąd się pani tego dowiedziała, ale musimy porozmawiać – rzucił.

Dopiero teraz mogłam przyjrzeć się jej twarzy. Mira? Niemożliwe. A jednak to była ona, choć młodsza i pogodniejsza niż dziś.

Zobaczyłam, jak spotykają się potajemnie wieczorem na kolacji. Oczywiście nie mogli sobie pozwolić na to, żeby ich widziano razem – plotki dotarłyby do mamy w okamgnieniu – więc wybrali leżącą na uboczu restaurację nieopodal przystani promu. Ojciec opowiedział Mirze wszystko: że przez trzy pierwsze lata życia byłam niewidoma, ale nieustannie opowiadałam o kolorach, ludziach i zwierzętach, że tkwiłam głęboko w

przeszłości mojej rodziny, bawiłam się z niewidzialnymi przyjaciółkami i że te zabawy zaczęły się stawać niebezpieczne.

– Co mówi pańska żona? – spytała Mira nieśmiało.

– Wszystko lekceważy. Zaprzecza temu, co mówię, i twierdzi, że zachowuję się jak wariat. Starałam się ją przekonać, ale nie chce słuchać, po prostu nie chce... – Dalsze słowa znikły w westchnieniu.

Patrzyłam, jak na twarzy Miry pojawia się lekki uśmiech. Zrozumiałam, że ta wiadomość ją ucieszyła. Potem ukazały mi się ich kolejne spotkania, ciche kolacje i randki w hotelikach. Mieli romans? Zrobiło mi się niedobrze. Mira przez cały czas okazywała mi przyjaźń i pomoc, ale ani słowem nie wspomniała o znajomości z ojcem.

W końcu zobaczyłam, jak pewnego dnia matka Julie Sutton przywozi córkę do naszego domu. Ojciec znalazł nas w pokoju na drugim piętrze. Siedziałyśmy na podłodze, bawiąc się w przyjęcie. Ja nalewalam nieistniejącą herbatę z wyobrazonego imbryka i gawędziłam z Julie i pluszowymi misiami, które grały gości.

– Jak ładnie się bawicie, skarbie. – Tata uśmiechnął się z ulgą, że przynajmniej raz zachowuję się jak normalne dziecko. Potem zszedł na dół.

Raptem rozległ się straszny, przeraźliwy pisk. Ojciec wpadł do pokoju i ujrzał mnie z krwawiącymi rankami na twarzy, walczącą z niewidzialnym dla niego przeciwnikiem. Ale ja dobrze wiedziałam, z kim się szarpię.

Oslaniałam się z krzykiem przed dziewczynką w białej sukience – Patience. Jej twarz nie przypominała tej, do której się przyzwyczaiłam. Zmieniła się w groteskową, toczoną przez robaki czaszkę z odchodzącymi od niej strzępami ciała. Jej oczy znikły, czarne oczodoły ziały czernią.

– Nie zaprosiłaś nas! – krzyczała Patience. – Nie zaprosiłaś nas na przyjęcie!

Julie płakała, kuląc się w kącie. Wtedy rzuciła się na nią Persephone, drapała ją i popychała, szarpała za sukienkę. W końcu zacisnęła drobne paluszki na jej szyi.

Patrzyłam na to jak w transie. Scena rozgrywała się przed moimi oczami, a ja niczego nie pragnęłam bardziej, niż zerwać się z ławki i uciec. Ale nie mogłam się ruszyć. To właśnie te obrazy wymazałam z pamięci.

Walczyłam z upiornym przeciwnikiem. Przewracałam lampy, zdzierałam narzuty z łóżek, tarzałam się po podłodze, wrzeszczałam. Ojciec stał jak skamieniały, aż Penelope wpadła na niego. Wtedy wreszcie zdał sobie sprawę z jej obecności.

Przyskoczył do mnie, usiłując złapać niewidzialną istotę, która mnie dręczyła. Wówczas Penelope zwróciła swój gniew przeciwko niemu. Rzuciła się na tatę. Podrapała mu twarz i rozdarła koszulę, aż w końcu pchnęła go pod ścianę koło otwartego okna.

Obserwowałam scenę i nie mogłam złapać oddechu. Czułam się jak w kolejce górskiej na chwilę przed zjazdem...

W tym zamieszaniu, gdy ja walczyłam z Patience, a tata z Penelope, Persephone dostrzegła dla siebie okazję do działania i wykorzystała ją – wypchnęła Julie z otwartego okna. Rzuciłam się do niego. Dziewczynka spoglądała mi w oczy, spadając. Wypowiedziała bezgłośnie moje imię. Patrzyłam w jej przerażoną twarz, kiedy z mdlącym chrupnięciem uderzyła głową o kamień.

Ojciec nie widział, co dokładnie się wydarzyło. Wyrzął na zewnątrz i zobaczył leżącą na ziemi Julie Sutton, a potem mnie, ze wzrokiem utkwionym w przyjaciółce.

– Boże – szepnęłam. – Myślał, że ja to zrobiłam!

Wypadł z pokoju, zbiegł po schodach i popędził na zewnątrz do Julie. Usiłował ją reanimować. Na próżno, chwilę później umarła. Zadzwoił na policję i do Suttonów.

– To dziewczynki – szepnęłam. – To one zabiły Julie. Ale mój ojciec sądził, że to ja. Dlatego zabrał mnie z wyspy.

Znowu przed oczami stanęła mi wizja. Matki nie było w domu, więc ojciec poprosił Mirę, żeby tego wieczora do nas przyszła. Opowiedział jej o zajściu. Do tego czasu, oczywiście, cała wyspa wiedziała o śmiertelnym wypadku w domu Hillów. To Mira obmyśliła plan ucieczki i namówiła tatę do opuszczenia wyspy. Uznała, że to dla niej szansa, by dostać to, czego chciała.

– Wezmę na siebie winę – powiedział ojciec. – Byle tylko nikt nie tknął Hallie.

Mira pokręciła głową.

– Twoja córka znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie – oznajmiła podstępnie. – Czuję to. To nie koniec tej sprawy. Musisz ją stąd zabrać. Kto będzie czuwać nad Hallie, kiedy cię zamkną? Twoja żona?

Noah usiadł ciężko na krześle, pokonany.

– Słuchaj – dodała cichym, konspiracyjnym tonem. – Znam na drugim brzegu pewnego człowieka. Może załatwić nowe dokumenty – dla ciebie... i dla mnie. Uciekniemy razem i zaczniemy od nowa, udając, że nic się nie wydarzyło.

Oparłam głowę na rękach, czując zbliżającą się migrenę. A może migrenę mojego ojca? Jakoś widziałam to w jego oczach. Nie zamierzał zabierać Miry ze sobą, jedynie pomagała mu w ucieczce.

– Madlyn miała parę okazji, żeby dostrzec, co się dzieje –wymamrotała, przytakując. – Hallie nie jest tu bezpieczna, to jaśniejsze niż kiedykolwiek. Ale Madlyn nie chce tego przyjąć do wiadomości. Mówi tylko, że jej nigdy tu nic nie groziło. A przecież naszej córce może się stać coś strasznego.

Noah załatwił wszystko ze specjalistą z drugiego brzegu jeziora: prawo jazdy, akt urodzenia, dyplom. I czekał na odpowiedni moment. Tymczasem dochodzenie policyjne przybrało niepomysłny obrót, podobnie jak nastrój na wyspie. Śmierć Julie Sutton wstrząsnęła ludźmi. Opinia publiczna znalazła tylko jednego winnego: Noaha Crane'a. A on pozwolił policji sądzić, że zabił tę biedną małą. Nikt nigdy mnie nie podejrzewał.

Zobaczyłam, jak ojciec i Mira dopracowują szczegóły ucieczki. Ona miała sprowadzić motorówkę w umówione miejsce, a potem znaleźć nasz przewrócony kajak, by zasugerować, że utonęliśmy. Noah obiecał do niej zadzwonić po przybyciu do miasta, które wybrali.

Jednak ojciec zwlekał z wprowadzeniem planu w czyn. Czy wyjazd to naprawdę najlepszy pomysł? Decyzja zapadła, gdy Madlyn pokazała mu ostatnie zdjęcie, które mi zrobiła – to na huśtawce na podwórku. Noah zobaczył to jasno i wyraźnie – niemą córkę wołającą do niego: „Ratunku!”. Po raz ostatni spróbował przekonać mamę:

– Nie widzisz, że grozi jej niebezpieczeństwo? Nie dostrzegasz tego?

Ale Madlyn okazała się tak ślepa jak ja w pierwszych latach życia.

Nadszedł ten dzień. W środku nocy Mira zakotwiczyła motorówkę we właściwym miejscu, schowawszy w niej ubrania na zmianę i trochę jedzenia.

Następnego dnia pocałowałam matkę na do widzenia i popłynęliśmy z tatą dwuosobowym kajakiem na północną stronę wyspy. Siedziałam nieruchomo z przodu, tak jak mnie nauczył. Choć byłam mała, wiedziałam już, że zachowanie równowagi to najważniejsza rzecz w pływaniu kajakiem. Jeśli się ją straciło, wywrotka stawała się nieunikniona.

Tylko minuty dzieliły nas od śmierci. Śmierci, którą ojciec tak starannie zaplanował. Płynął w stronę oddalonej, niewidocznej z brzegu części wyspy, tam, gdzie zapuszczało się niewiele osób. Umieranie okazało się niełatwe. Piękna pogoda zwabiła wielu amatorów wodnych sportów. Gdyby w okolicy pojawili się jacyś ludzie – na kajaku, żaglówce albo po prostu pływacy – musiałby się wycofać z akcji i spróbować następnego dnia.

Tata miał zaciętą, poważną twarz. Niewiele brakowało do sukcesu. Plan rozwijał się prawidłowo. Wokół, jak okiem sięgnąć, nie widzieliśmy nikogo. Jeszcze tylko parę pociągnięć wiosłami... Ojciec dokładał wysiłków, jakby walczył o życie. I w pewnym sensie walczył. Ramiona zaczęły go boleć, opadał z sił. Ale nie mógł przestać. Wóz albo przewóz!

Gdyby Madlyn nie uwierzyła w jego śmierć, na pewno by nas odnalazła i sprowadziła mnie na wyspę. Ojciec trafiłby do więzienia. Ale on nie martwił się niepowodzeniem. Jako człowiek metodyczny, wszystko skalkulował. Jego plan miał szanse powodzenia.

Wizja zmieniła się nieco. Zobaczyłam ojca kilkakrotnie wybierającego pieniądze z konta (sumy na tyle nieduże, żeby nie zwróciło to niczyjej uwagi). Odkładał je, a potem udał się na drugi brzeg, gdzie otworzył konto na nazwisko Thomasa Jamesa. Udało mu się zebrać niemal sześciocyfrową sumkę. Miał w kieszeni kurtki parę tysięcy gotówką. Żadna fortuna, choć wystarczyło na nowy początek.

Widziałam w jego oczach, że ta sytuacja go przygniatała. Odważył się na coś nielegalnego, nie wspominając już o okrucieństwie zabrania matce dziecka. Nadal kochał Madlyn i wiedział, że nigdy nie przestanie. Ale miłość zeszła na drugi plan wobec mojego bezpieczeństwa. Powtarzał to sobie raz po raz, aż ta myśl zakorzeniła się w jego sercu.

Wiedziałam, że tata zastanawia się nad tym wszystkim, wiosłując w stronę ogromnego kolistego tworu skalnego, zwanego w okolicy Pierścieniem. Miejskowa legenda głosiła, że to wrota do świata duchów. Dla nas miały się stać wrotami do wolności.

– Widzisz?! – zawołałam bezgłośnie z mojego niemego świata. (Z powodu wstrząsu miałam milczeć przez dwa lata). Spojrzałam za siebie, a potem – ze strachem – na ojca. Nie mógł wiedzieć, że na brzegu wyspy widzę rozgniewane dziewczynki. Noah usiłował coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Jeśli choć przez chwilę wątpił w słuszność swojej decyzji, to właśnie przestał. Dzięki Bogu, zabierał córkę z tego przeklętego miejsca.

Przeplłynął Pierścień i znalazł to, o co mu chodziło: motorówkę zakotwiczoną przy kamieniu na piaszczystej łasze, z pełnym bakiem benzyny, gotową do drogi. Mira dotrzymała słowa. „Proszę, Boże – modlił się Noah – pozwól nam uciec”. Zwolnił i pod dnem kajaka zgrzytnął piasek.

– Hallie, zrobimy dziś coś zabawnego – odezwał się nieswoim głosem. – Chcesz?

Skinęłam głową z uśmiechem, zawsze gotowa na przygody z moim tatą.

– Dobrze. Wyjdź teraz ostrożnie z kajaka i stań na piasku Dasz radę?

Oczywiście! Byłam bardzo dumna, że powierzył mi tak ważne zadanie. Do tej pory nie pozwalał mi samej wysiadać, dopóki nie znaleźliśmy się na

brzegu. Ale ja się nie bałam. Wiedziałam, że potrafię. Stałam na piasku i poruszałam palcami w sandałach.

Potem tata zrobił coś bardzo dziwnego. On także wysiadł, odwrócił kajak i wypchnął go na wodę. Następnie wrzucił do jeziora portfel i czapkę. Patrzyłam, jak unoszą się na falach.

– Oto nasza nowa łódka – oznajmił, wskazując motorówkę. – Patrz. Mamy tu dla ciebie parę rzeczy.

Ciekawe jakich? Podeszłam i spojrzałam. Na dnie leżały dwa plecaki, czapka, stara kurtka i koc.

– Wskakuj – polecił Noah. – To właśnie ta niespodzianka, o której ci mówiłem. Czeka nas wspaniała przygoda. Wybierzemy się na wyprawę, tylko ty i ja. A teraz połóż się pod kocem i nie wychodź, dopóki ci nie powiem. To taka zabawa w chowanego. Zrobisz to dla mnie?

Pewnie! To nic trudnego. Potrafiłam się ukrywać pod kocem. Posłuchałam taty, drżąc z niecierpliwości, ciekawa, co jeszcze się wydarzy.

Noah odcumował motorówkę i włączył silnik. Gdy ruszyliśmy, włożył rybacki kapelusz z szerokim rondem i starą kurtkę. Wyjął wędkę i położył ją obok siebie. Każdy, kto by go obserwował z brzegu, zobaczyłby samotnego wędkarza, nie ojca i córkę.

Dokonało się zatem. Utonęliśmy, a raczej utoniemy za parę godzin, gdy Madlyn zacznie się zastanawiać, dlaczego nie wracamy. Noah wyobrażał sobie gorączkowe poszukiwania, krzyki na widok kajaka, pogrzeb ojca i córki. Odsunął od siebie te myśli i skupił się na następnym zadaniu: znalezieniu odosobnionego miejsca, w którym zostawi motorówkę, wezwaniu taksówki i dotarciu na lotnisko.

Thomas James cieszył się, że córka tak posłusznie chowa się pod kocem. Nie widziała łez w jego oczach, gdy płynął w stronę drugiego brzegu.

Potem wizja się zamgliła i usłyszałam płacz niemowlęcia. Zrozumiałam, że historia jeszcze się nie skończyła. Zobaczyłam Mirę trzymającą noworodka. Czy to dziecko mojego ojca? Obraz się rozwiął. Czy Mira coś ukrywała? Nie powiedziała nic o dziecku. Nie wiedziałam, co je spotkało. Czyżbym miała gdzieś brata lub siostrę? Czy tata o tym wiedział?

Potrząsnęłam głową, opędzając się od ostatnich strzępów wizji. Raptem znów byłam w ogrodzie. Iris siedziała obok mnie na ławce. Wyglądała na niewiarygodnie zmęczoną, jakby ta opowieść wysssała z niej życie. Pogodny listopadowy dzień zdążył się zmienić w szary i nieprzyjazny, co często się działo na wyspie. Chmury wisiały nisko nad naszymi głowami, ciemne i złowrogie, wiatr zmienił kierunek. Nadciągała burza. Powinnyśmy wracać.

– Iris – odezwałam się, biorąc zimną dłoń gospodyni. – Pomogę ci dojść do domu.

Ale ona pokręciła głową.

– Moje zadanie na dziś skończone, panienko. – Zaczęła wstawać z ławki, ostrożnie opierając się na obolałej nodze, ale nagle przypomniałam sobie, o co chciałam ją spytać.

– Czy możesz mi powiedzieć coś jeszcze? – zagadnęłam łagodnie, podtrzymując ją.

– O co chodzi? – Naprawdę była śmiertelnie zmęczona.

– Ojciec zabrał mnie stąd z powodu dziewczynek – zaczęłam pospiesznie. – Nie znikły z domu i skrzywdziły Willa – zepchnęły go ze schodów i podrapały. Chciałabym mieszkać tu do końca życia. To moja posiadłość, siedziba rodu. Nie wiem, jak ci dziękować za to, co mi

opowiedziałaś. Ale teraz muszę się dowiedzieć jeszcze jednego: jak się ich pozbyć?

Iris uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– To tylko dzieci, w dodatku z tamtego świata. Ty jesteś dorosła. Dlatego masz większą moc niż one. Wiesz już, jak używać swojego daru. Musisz im po prostu powiedzieć, co mają zrobić.

– Czyli?

– Odejść. Już zbyt długo pozostają na ziemi, gdzie od pokoleń odbierają życie i szerzą zniszczenie. Bez rodziców całkiem się pogubiły. Nowych przybyszy – zwłaszcza dzieci – uważają za intruzów, obcych, których należy się bać. Jane, Charles, Amelia, wszystkie biedne maleństwa, Julie Sutton. A teraz twój Will. Musisz im powiedzieć, że rodzice na nie czekają. W przeciwnym razie nadal będzie ci grozić niebezpieczeństwo. One nie rozumieją, że umarły. Pora im wytłumaczyć, gdzie ich miejsce.

– Wydaje się to bardzo łatwe – mruknęłam bez przekonania.

Iris objęła mnie i przytuliła do mojej twarzy policzek o skórze cienkiej jak bibułka. Musnęła mnie wargami.

– Zrobiłam, co miałam uczynić. Strzegłam w moim sercu rodzinnych legend aż do twojego przybycia. Pokazałam ci twarze przodków, przekazałam ich historie, a robiąc to, pomogłam ci przebudzić twój dar. Masz rację, dziecko. Przynależysz do tego domu. Te trzy dziewczynki, nawet jeśli mają na sumieniu morderstwa, nie mogą ci tego odebrać.

Odniosłam wrażenie, że Iris jakimś cudem przeniosła nas poza prawdziwy czas i przestrzeń, jakbyśmy w trakcie jej opowiadania stały się widmowymi postaciami, unoszącymi się gdzieś w eterze.

Gdy wreszcie się z nią pożegnałam, zauważyłam, że śnieg sięga mi do łydek. Jak długo stałam w jej uścisku? Obróciłam się wokół własnej osi. Wszędzie widziałam tylko biel. Ani domu, ani drzew, ani ogrodu, ani Iris. Tylko zadymka, która nagle mnie otoczyła.

TTLR

Dlaczego nie zauważyłam, że zaczął padać śnieg? Czy po prostu przestałam dostrzegać, co się wokół mnie dzieje? Nie miałam pojęcia, w którą stronę powinnam pójść. W podobnej zawierusze straciły życie dziewczynki. Na tę myśl żołądek mi się ścisnął, ale wiedziałam, że muszę nad sobą panować, jeśli zamierzam wrócić do domu i bezpiecznie odstawić do niego moją gospodynię.

– Iris! – zawołałam, szukając jej na oślep. Powoli, bardzo powoli ruszyłam przed siebie, wciąż wykrzykując jej imię. Roztarłam nagie ramiona. Jeszcze tego brakowało, żebym tu zamarzła. Stanę się postacią z dziwnych opowieści mojej gospodyni. Ale komu będzie je opowiadać, gdy ostatnia z rodu Hillów umrze?

Nagle dobiegł mnie z oddali cichy głos:

– Hallie! Hallie, gdzie jesteś?

Will! Nagle przypomniałam sobie, że mieliśmy się spotkać na klifie na pikniku. Chyba nie sądził, że w tę pogodę... Ale znowu go usłyszałam:

– Hallie! Hallie!

– Tutaj! – odkrzyknęłam. – W ogrodzie!

– Hallie? – Jednak jego głos się oddalał. Will szedł w niewłaściwą stronę

Pobiegłam w ślad za nim, ale zaraz stanęłam, przypomniałszy sobie o bliskości klifu.

– Will! – zawołałam, a potem: – Iris!

Musiałam znaleźć w tej zawierusze dwie osoby. Ale żadna mnie nie słyszała. Przed sobą widziałam tylko wirującą biel. Nie miałam pojęcia, gdzie się znalazłam ani jak wrócić do domu. Naprawdę się zgubiłam.

– Will! – krzyknęłam jeszcze raz. – Will!

Śnieg tańczył bezgłośnie wokół mnie i tworzył coraz większe zaspę. Siegał już niemal do kolan. Z trudem brnęłam przez puchową warstwę. Zaprażyłam osunąć się na ziemię i pozwolić, by mnie zasypał. Padłam na kolana, bliska kapitulacji.

I wtedy usłyszałam głos.

– Zimno! – zawołał ktoś. – Hallie! Lodowato! Nie miałam wątpliwości. To dziewczynki.

– Chodź! Nie możesz tam zostać. Zimno! Chodź i najdź nas!

Chciały mnie zwabić na krawędź klifu? Chyba nie. Pamiętałam, jak Hannah wierzyła, że uratowały jej życie podczas tamtego sztormu. Głosy zbliżały się, miałam wrażenie, że ktoś wykrzykuje mi prosto do ucha. Ruszyłam ciężko, noga za nogą.

– Ciepłej! Ciepłej, Hallie! – Parę kroków i: – Zimniej! Zimniej! Zawróć, bo zamarzniesz!

Zmieniłam kierunek.

– Ciepłej! Gorąco! – A po chwili: – Parzy! Ukrop!

Dotknęłam czubkiem buta czegoś twardego i wysokiego: kamiennej podmurówki przy schodach. Dotarłam do domu. Byłam uratowana. Po omacku wchodziłam po stopniach, sprawdzając każdą nogą, zanim oparłam na nim ciężar ciała.

– Hallie! – Głos brzmiał głośnie.

Należał do Willa.

– Will! Jestem na schodach! Idź za moim głosem! – wołałam, aż wpadł na mnie.

Dzięki Bogu! Przez chwilę staliśmy, trzymając się w objęciach.

– Iris została na dworze – powiedziałam. – Musimy po nią wrócić.

– Idziemy do domu, natychmiast. Prawie zamarzłaś.

Will wprowadził mnie powoli po schodach. Na widok drzwi niemal rozplakałam się z radości. Otworzyłam je i wpadłam do kuchni, dygocząc. Will pobiegł do salonu i przyniósł koc, którym mnie natychmiast otulił.

– Boże, ile czasu spędziłaś na zewnątrz?

– Nie mam pojęcia – wykrztusiłam, szcękając zębami. Zauważyłam garnek z gulaszem na piecu i poczułam zapach świeżego chleba. – Ty to zrobiłeś? – spytałam, choć wiedziałam, że nie. Pokręcił głową. Więc pewnie Iris. Bo kto, jeśli nie ona? Widać jakoś dotarła do domu. Jak inaczej to wytłumaczyć?

Dużo później, gdy wzięliśmy prysznic, zjedliśmy i rozgrzaliśmy się, opowiedziałam Willowi historię Halcyon Crane. Słuchał, kręcąc głową i mamrocząc „niewiarygodne” i „kurczę”. Nie wiem, czy mi uwierzył. Zwłaszcza w tę część o dziewczynkach, które mnie uratowały. Może dalej sądził, że Iris ponosi fantazja.

Ja też do końca nie miałam pewności, ale w tamtej chwili mnie to nie obchodziło. Wróciłam do domu z ukochanym mężczyzną i oboje uratowaliśmy się przed zawieją. Iris także zdołała wrócić, o czym świadczył przygotowany posiłek. Tego wieczora poszłam spać z silnym poczuciem, że wszystko zmierza w dobrym kierunku.

Po śnieżycy porozmawiałam szczerze z Mirą. Chciała przyjść, żeby pomóc mi się pozbyć duchów dziewczynek – nazywała to fazą drugą – ale nie mogła się przedrzeć przez zasy. Dlatego przybyła parę dni później, gdy drogi stały się przejezdne.

–Dzięki za propozycję, ale sędzę, że sama dam radę się z nimi rozprawić – oznajmiłam.

– Sama? Na pewno?

– Nie, nie na pewno. Możliwe, że poproszę cię o pomoc. Ale w tej chwili nie uważam dziewczynek za jedyne upiory przeszłości. Trzeba się też zająć innymi sprawami.

Mira spojrzała na mnie z niepokojem.

– Chyba nie rozumiem.

A zatem opowiedziałam jej, czego się dowiedziałam.

W pierwszej chwili usiłowała się wyprzeć, udając obrażoną – jak mogłam o tym choćby pomyśleć? – ale nie dałam się zbić z tropu i w końcu Mira ustąpiła.

– Przepraszam, Hallie – powiedziała, osuwając się z rezygnacją na kuchenne krzesło. – Od lat szukałam ciebie i twojego ojca. Człowiek, który wyrobił wam fałszywe dokumenty, zniknął w tym samym czasie, więc nie wiedziałam, jakie nosicie teraz nazwisko. Nie mogłam was znaleźć, a potem dotarło do mnie, że Noah wcale tego nie chciał. Od tej pory chowałam do niego urazę. Ale wtedy naprawdę uważałam, że robię to wszystko dla jego dobra. Musiał cię stąd zabrać.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Mira skrzywiła się z zakłopotaniem.

– Nie miałam się czym chwalić. Nie znam się na prawie, ale mogłam zostać oskarżona o współudział w zabójstwie. Czy jak to się tam nazywa, kiedy pomaga się mordercy.

Dziwne, ale zrobiło mi się jej żal. Nie wiem, czy jej współczułam, czy tylko się nad nią litowałam, ale była tak zrezygnowana, że po prostu nie potrafiłam jej nienawidzić. Rzeczywiście pomogła mojemu tacie, nieważne, że z egoistycznych pobudek, a robiąc to, prawdopodobnie uratowała mi życie. Przebaczyłam jej bez trudu.

– A co z dzieckiem? Urodziłaś dziecko mojego ojca?

Mira zbladła. – Kto ci to powiedział?

– Nieważne. Chcę wiedzieć, czy to prawda. Koniec kłamstw. Żyłam wśród nich do tej pory. Teraz chcę prawdy, raz na zawsze.

Mira pokręciła głową.

– Trzymałam to w tajemnicy od trzydziestu lat. Nikt na wyspie nie wie, czyj to syn.

– Syn? Więc jednak masz dziecko!

Mira uśmiechnęła się smutno.

– Myślałam, że o tym wiesz. Znają go wszyscy. Prowadzi kawiarnię.

Zastygłam z otwartymi ustami.

–Jonah? – wykrztusiłam. – Żartujesz? Jonah to twój syn? Syn mojego ojca?

Skinęła głową.

Oślupiałam. W głowie wirowały mi myśli. Jonah to mój przyrodni brat? To by wyjaśniało, dlaczego wydawał mi się tak bliski, pod wieloma względami podobny do taty.

– Niedawno mu powiedziałam – dodała Mira. – To, co Jonah przeżywa od paru tygodni, przypomina twoją sytuację. Przez te lata sądził, że jego ojciec nie żyje. Teraz okazało się, że mieszkał pod Seattle. Jeśli się zastanowić, mój syn czuje dokładnie to, co ty, kiedy dowiedziałaś się o matce.

– Nie całkiem. Mógł poprosić cię o wyjaśnienie.

– A kiedy to zrobił, powiedziałam mu prawdę. Od lat szukałam Noaha. Dokonywałam cudów, ale on jakby zapadł się pod ziemię. Tak, syn początkowo się na mnie pogniewał. Ale chyba już rozumiał, że ucierpiałam tak samo jak on.

Przyszła mi do głowy przykra myśl.

– Czy mój ojciec wiedział o twojej ciąży? – spytałam ostrożnie. – Czy cię zostawił, wiedząc, że urodzisz jego dziecko?

Mira pokręciła głową.

– Sama o tym nie wiedziałam. Na pewno bym go powiadomiła. Kochałam twój tatę. Chciałam z nim spędzić resztę życia.

Nadal nie mogłam opanować gonitwy myśli. Więc to chciał mi powiedzieć Jonah. Wspomniałam nasz wieczór w winiarni i nagle zrozumiałam, dlaczego tak mnie wypytywał o dzieciństwo. Usiłował zrozumieć, co go ominęło.

Westchnęłam i spojrzałam na Mirę. Ogarnęło mnie przygnębienie.

– Ale się poplątało – mruknęłam.

Uśmiechnęła się blado.

– Masz coś do picia? Mocniejszego od herbaty?

Otworzyłyśmy butelkę wina i usiadłyśmy nad kieliszkami, rozmawiając o tym, co się wydarzyło i co mogło się wydarzyć. Obie rozumiałyśmy, że nie ma tu winnych. Nie można oskarżać ani mojego ojca, ani jej, ani mnie, a już

na pewno nie Jonaha. Wszyscy mieli najlepsze intencje, a wyszło, jak wyszło. Nasze życie stanęło na głowie z powodu burzliwych losów mojej rodziny. Po trzydziestu latach, gdy parę osób już umarło i doszło do kilku nadprzyrodzonych zjawisk, historia zatoczyła koło i znalazłam się w miejscu, w którym to się zaczęło.

Ku uldze Miry Jonah nie chciał jeszcze wyjawić innym tożsamości ojca. Przez jakiś czas mieliśmy to zachować dla siebie. Ale świadomość, że łączą nas więzy krwi, wszystko zmieniła. Zaczęliśmy się częściej widywać, zaprzyjaźniliśmy się, a nawet pewnego dnia postanowiliśmy, że gdy ochłonę po ostatnich przeżyciach, poszukamy mieszkających na drugim brzegu jeziora krewnych ojca. Opowieści o naszych przodkach unosiły się na wietrze, czekając na odkrycie.

Niedługo potem spotkałam w mieście Suttonów. Nabrałam tchu, podeszłam do nich i powiedziałam, że niedawno odwiedziłam policję, by przejrzeć akta sprawy Julie.

– Chciałam się przekonać na własne oczy, jakie dowody świadczyły przeciwko mojemu ojcu. Wiem, że wyglądało to na zabójstwo – wyjaśniłam. – Ale mogę tylko zapewnić, że nie wierzę, by mój ojciec umyślnie skrzywdził państwa córkę. Żałuję, że nie potrafię wyjaśnić, co wydarzyło się tego dnia.

Przyjęli przeprosiny – co mieli zrobić? – i rozeszliśmy się w swoje strony. Podejrzewam, że na wyspie rozeszła się pogłoska, iż usiłowałam przeprowadzić własne dochodzenie, bo wkrótce po spotkaniu z rodzicami Julie atmosfera odtajała. Ludzie przestali się gapić i szeptać, uznali mnie za kogoś w rodzaju córki marnotrawnej, która wróciła w końcu do domu. Sądzę, że do zmiany nastawienia przyczyniła się też decyzja o tym, co będę robić podczas sezonu turystycznego.

Pewnego śnieżnego dnia, gdy Will był jeszcze w pracy, stanęłam pod drzwiami galerii mojej matki. Nie otwierano ich od jej śmierci. Will i Jonah powiedzieli, że w lecie pojawiała się tu mnóstwo klientów, kupujących nie tylko zdjęcia, lecz także dzieła miejscowych rzemieślników: biżuterię, naczynia, akwarele, czasem rzeźbę. Myśl, która od jakiegoś czasu kiełkowała w mojej głowie, nie dawała mi spokoju. Ledwie obróciłam klucz w zamku i weszłam do zakurzonego pomieszczenia, zrozumiałam, że wiem, czym się zajmę w lecie.

– Zamierzam otworzyć na wiosnę galerię – oznajmiłam Willowi przy kolacji.

– Fantastycznie! – Uniósł kieliszek z uśmiechem. – Ludzie na pewno zastanawiali się nad jej losem. Za nowy rozdział w życiu!

Parę dni później pracowałam nad mnóstwem szczegółów, które należało opanować przed nadejściem wiosny. Sprzątałam, odkurzałam i dzwoniłam do artystów (wielu na zimę wyniosło się z wyspy), których prace się tu znajdowały, by ich powiadomić, że galeria zostanie otwarta, gdy przybędzie pierwszy prom z turystami.

Na zapleczu, gdzie mama miała swoje studio, znalazłam kilka pudeł z napisem: „materiały mozaikowe”. Wypełniały je kawałki ceramiki, płytek i starych zamglonych luster. Wzięłam jeden szklany odłamek i na jego zwierciadlanej powierzchni dostrzegłam zarys twarzy. Całkiem jakby fragment lustra zachował odbicie swojego właściciela. Czy to możliwe? Czy utrwaliły się w nim obrazy z przeszłości? Przypomniałam sobie, co zobaczyłam pierwszej nocy spędzonej w domu matki – jej odbicie w lustrze w sypialni. Po plecach przeszedł mi dreszcz podniecenia.

Zacząłam układać odłamki na małym stoliku. Ani się obejrzałam, a nastał wieczór, a ja patrzyłam na stworzoną przez siebie kolorową mozaikę. Przez następne tygodnie robiłam ich więcej. Ustawianie lusterek we właściwych miejscach zupełnie mnie pochłonęło. Will uważał moje dzieła za piękne i niepokojące, choć nie rozumiał, o co mi chodzi, kiedy mówiłam o odbitych wizerunkach. Może tylko ja je widziałam. Czy odnalazłam swój dar? Nie wiedziałam. Ale zaczęłam wierzyć, że gdy na wiosnę otworzę podwoje galerii, znajdą się w niej prace kolejnej kobiety noszącej nazwisko Crane.

Pewnego wieczora, gdy zgasłam światło, zobaczyłam przed sobą dziewczynki w białych sukienkach i ze wstążkami we włosach. Wyglądały ślicznie i słodko. W niczym nie przypominały upiorów, które widywałam. Były zwyczajnymi dziećmi.

– Chodź się z nami pobawić – odezwała się Persephone, wyciągając do mnie rączkę. Pozostałe siostry uśmiechnęły się nieśmiało, patrząc na mnie z odrobiną lęku.

Złożyłam koc i rzuciłam go na szezlong.

– Nie pora na zabawę – oznajmiłam.

– Już nas nie lubisz – naburmuszyła się Penelope.

Dziewczynki zmrużyły oczy.

Od siły ich spojrzenia przeszedł mnie dreszcz. Odezwałam się lekko drżącym głosem: – Bo pora, żebyście odeszły.

– Kto tak powiedział? – rzuciła Patience, wyzywająco unosząc głowę.

Wzięłam się pod boki i stawiałam czoła siostronom.

– Ja. Pora, żebyście wróciły do domu.

Duchy uśmiechnęły się lodowato.

– Jesteśmy w domu – wycedziła Patience i cała trójka rozplynęła się w powietrzu jak dym.

A potem poczułam na twarzy, rękach i nogach uszczypnięcia i szturchańce niewidzialnych palców. Trzy pary rączek pchnęły mnie w plecy. Upadłam na kolana.

– Przestańcie! – krzyknęłam w pustkę, zakrywając twarz dłońmi. Atak ustał równie nagle, jak się rozpoczął. Powietrze w pokoju zrobiło się lżejsze, świeższe, jak po wiosennym deszczu. Wstałam. Czy to możliwe, że tak po prostu znikły? Odetchnęłam i zamknęłam oczy. Sądziłam, że to koniec.

Pomyliłam się. Siostry pojawiły się w drzwiach salonu, ale nie wyglądały jak przed chwilą. Ukazały mi się takie jak w chwili swojej śmierci, zamarznęte razem, z ustami rozchylonymi w bezgłośnym krzyku przerażenia. Odwróciłam się szybko. W pokoju rozległ się chichot.

Teraz powoli ruszyły ku mnie. Z ich pozbawionych oczu, toczonych przez robactwo twarzy zwisały strzępy ciała, niegdyś białe sukienki zmieniły się w brudne, przegniłe łachmany, jakby dziewczynki wstały z grobu.

– Nie przestraszycie mnie! – krzyknęłam z przekonaniem, choć nogi się pode mną ugięły. Co zrobią, kiedy do mnie dotrą? Jak się zachowam? Chciałam uciec, ale nie potrafiłam przemóc bezwładu. Czy to lęk, czy coś innego nie pozwalało mi się ruszyć z miejsca?

Zastanawiałam się gorączkowo. Iris powiedziała, że mogę zmusić dziewczynki do odejścia, ale jak? Pomyślałam o jej opowieściach. O Hannah i Simeonie, o starej wiedźmie Martine, o Jane, nieszczęsnej kuzynce Iris, którą te małe diablęta strąciły w przepaść. Pomyślałam o Charlesie, którego strzegły zwierzęta, o Amelii i jej nienarodzonym dzieciach, utraconych podczas upadków. Pomyślałam o rodzicach, których drogi musiały się rozejść, bo

mama nie potrafiła zrozumieć strachu ojca przed dziewczynkami, i w końcu o biednej Julie, która w ostatnich chwilach życia tak strasznie bała się niewidzialnych wrogów. Wypowiedziałam głośno imiona moich krewnych:

– Hannah, Simeon, Charles, Amelia, Madlyn, Noah! – a potem jeszcze raz, jakby one same stanowiły zaklęcie. Albo modlitwę.

Odwróciłam się w stronę dziewczynek, których upiorne twarze zajrzały mi z bliska w oczy.

– To już koniec! – rzuciłam, przyzwawszy na pomoc wszystkie siły.

Wtedy ich zobaczyłam. Moich przodków, stojących obok mnie. Ich sylwetki falowały jak odbicie w jeziorze albo w którymś z tych starych luster z galerii. Hannah i Simeon, Charles i Amelia oraz... serce zabiło mi mocniej... moi rodzice. Siostry także ich dostrzegły, bo natychmiast porzuciły upiorną postać i znowu stały się słodkimi dziewczynkami.

– Teraz stąd odejdziecie – rozkazałam. – Od dawna zachowywałyście się bardzo niegrzecznie i przysporzyłyście tej rodzinie wiele smutku.

– Ale... – zaczęła Penelope.

– Żadnych „ale” – przerwałam, wskazując naszych przodków. – Patrz. Rodzice na ciebie czekają.

Hannah i Simeon otworzyli ramiona.

– Chodźcie, dziewczynki! – zawołała moja prababka. – Pora do domu! Robi się zimno!

– Mama! – krzyknęła Penelope i siostry rzuciły się do nich. – Gdzie byłaś? Tak długo cię szukałyśmy!

I zjawy zniknęły, wyparowały jak mgła w promieniach słońca. Wszystko naprawdę się skończyło.

Nadeszła wiosna. Pewnego dnia zawędrowałam z psami na cmentarz po drugiej stronie wyspy. Chciałam uporządkować groby moich krewnych, wyrwać chwasty, wytrzeć nagrobki i porozmawiać ze zmarłymi. Złożyć im wizytę. Opowiedzieć o sobie. Will i ja byliśmy zakochani. Może niedługo pojawi się nowe pokolenie, którego dzieje splecą się ze starymi historiami.

Tej nocy miałam dziwny sen. Znowu znalazłam się na cmentarzu. Zauważyłam nagrobek kuzynki Iris, Jane Malone. Kiedy pochyliłam się, żeby odgarnąć wyschnięte liście, poczułam podmuch chłodnego powietrza.

– Porządki, panienko?

Odwróciłam się i nie całkiem zrozumiałam, co widzę.

– Iris? Boże! Gdzieś ty się...

Chciałam ją spytać, gdzie się podziewała, bo nie widziałam jej od czasu śnieżnej zawieruchy, ale słowa ugrzęzły mi w gardle. Rysy Iris zaczęły się zmieniać. Po chwili ujrzałam przed sobą obcą kobietę.

– Uznałam, że zasługujesz na poznanie prawdy – oznajmiła z wyraźnym francuskim akcentem.

Nadal do mnie nie docierało, co się dzieje.

– Iris, ja... – zaczęłam, ale mi przerwała.

– Nie Iris, *cherie*. Pora porzucić przebranie. Mam na imię Martine. – Uśmiechnęła się i nagle zaczęła młodnieć, głębokie zmarszczki znikły, skóra stała się gładka i różowa. Kobieta przesunęła ręką po włosach, ścierając z nich siwiznę. Stały się długie, falujące i kasztanowe. Zakołysała biodrami. Jej sukienka, teraz soczyście zielona, zafalowała. – Cudownie wreszcie pozbyć się tej skóry!

Martine? Oparłam się o nagrobek z obawy, że zaraz się przewrócę. Usiłowałam coś powiedzieć, ale nie potrafiłam wykrztusić ani słowa. Niczego bardziej nie pragnęłam, niż uciec stąd ile sił w nogach. Ale dokąd?

– Gdy tamtego dnia Iris spadła w przepaść wraz ze swoją biedną kuzynką, zrozumiałam, że muszę wykorzystać tę okazję – oznajmiła kobieta z uśmiechem.

– Słucham? – wychrypiałam.

Martine wygładziła fałdy sukienki.

– Hannah źle wychowała moje córki. Popelniłam błąd, dając zaklęcie komuś tak słabemu.

Zrobiło mi się zimno. – Tw o j e córki?

– O, *cherie*, jakaś ty naiwna. Oczywiście, że moje. Przecież to ja ją nimi obdarzyłam. Należały do mnie tak samo jak do niej. Ale kiedy zobaczyłam, co z nimi zrobiła – z moimi maleństwami! – musiałam wkroczyć, zanim zdołałaby skrzywdzić następne.

Pokręciłam głową.

– Jak to „wkroczyć”?

– Po prostu wkroczyć. Zamierzałam odejść z wyspy. Miałam dość tych bogaczy, którzy wyśmiewali się ze mnie głośno, by chyłkiem zakradać się do mojego domu, gdy czegoś potrzebowali. Ale zrozumiałam, że Hannah nie radzi sobie z wychowaniem dzieci – dziewczynki zginęły z jej winy! – a zioła, które jej ofiarowałam, pozwalały dać życie kolejnym pokoleniom. Należało coś z tym zrobić. Ktoś musiał ochronić te przyszłe nienarodzone istoty. Dlatego gdy biedna Iris spadła z klifu...

– Umarła?

– Nie, Hallie. Spadła z klifu, tak jak jej kuzynka, ale ją uratowałam. Wiedziałam, że mogę ją wykorzystać, by dostać się do domu i czuwać nad moimi dziećmi i wnukami, więc otuliłam się jej ciałem jak płaszczem. Wkroczyłam w nią, tak jak powiedziałam.

– Jak... – zaczęłam. Włosy mi się zjeżyły.

Martine roześmiała się i potrząsnęła głową. Jej długie włosy zafalowały na wietrze.

– Jestem wiedźmą z Letniej Polany. Taka drobnostka nie sprawiła mi kłopotu.

Osunęłam się na zimną ziemię koło grobu, nie potrafiąc sformułować logicznej myśli. W końcu spytałam:

– Więc przez cały ten czas grałaś rolę Iris?

Martine przytaknęła.

– Musiałam się nimi zająć: Charlesem, Maddie, nawet dziewczynkami, choć tak się zachowywały. W pewnym sensie to ja je sprowadziłam na ten świat. Miałam wobec nich zobowiązania.

Powoli zaczął się we mnie budzić gniew.

– Niewiele zrobiłaś, żeby ochronić mnie!

– Ciebie? – Martine znowu parsknęła śmiechem. – Nie potrzebujesz mojej ochrony. Jesteś silniejsza niż one wszystkie. Tak jak ja. Dlatego potrafiłaś wypędzić te niegrzeczne trojaczki z domu. Wkrótce po twoim zniknięciu z wyspy ja także odeszłam. Spójrz na nagrobek, kochanie.

Wzdrygnęłam się, sądząc, że zobaczę na nim moje imię. Tymczasem zauważyłam niewielki kamień z napisem: „Iris Malone, 1905–1976. Wierna córka, służąca i przyjaciółka”.

– Zaraz. Iris umarła? Ale...

Martine wzruszyła ramionami.

– Wypełniłam swoje zadanie. I miałam już dość tej okropnej czarnej sukni.

– Więc... – Nie całkiem do mnie docierało to, co mówiła.

– Kiedy dowiedziałam się, że wracasz na wyspę, postanowiłam znowu włożyć to paskudztwo. Nie znałaś historii swojej rodziny. Mojej rodziny. Musiałam ci ją opowiedzieć, *ma chere*, żebyś zachowała w pamięci losy przodków. A także mnie. Powinnaś znać prawdę. I tylko jedna osoba mogła ci ją przekazać. Ja.

Otworzyłam oczy i usiadłam na łóżku. Obok mnie leżał oddychający spokojnie Will. W pokoju panował mrok. Tylko promień księżycowego blasku wpadał przez okno.

– Co się stało? – wymamrotał Will niewyraźnie.

– To tylko sen – szepnęłam. – Dziwny sen.

– Przytul się do mnie. – Wyciągnął do mnie rękę.

I tak zrobiłam. Okryłam się kołdrą i położyłam obok mężczyzny, którego kochałam.

Podziękowania

Pochodzę z rodziny gawędziarzy. W najwcześniejszych wspomnieniach widzę, jak siedzę przy kuchennym stole, słuchając rodziców, dziadków, kuzynów, ciotek i wujków opowiadających o dawnych czasach. Nic zatem dziwnego, że ze snucia historii uczyniłam swój zawód. Stąd też pierwsze słowa podziękowań kieruję do moich bliskich: rodziców – Joan i Toby'ego Webbów, moich braci – Jacka i Randy'ego, oraz babci Elmy Maki. Wiem, że cieszycie się, iż spełniłam moje życiowe marzenie. Osiągnęłam to dzięki waszej niezłomnej wierze we mnie.

Wszystkim, którzy kiedykolwiek siedzieli przy kuchennym stole moich rodziców i czarowali mnie gawędami, dziękuję za natchnienie.

Teraz zwracam się do mojej uroczej, zabawnej i wspaniałej agentki Jennifer Weltz. Wdzięczności, którą do ciebie czuję, za twoją przyjaźń, wiarę i ciężką pracę na mój rachunek, nie da się wyrazić. Bez ciebie nie dotarłabym tak daleko. Pisarz może stworzyć bestseller, ale bez świetnego agenta ma tylko ryzę zapisanego papieru. Dziękuję też pracownikom Jean Naggar Agency za niezachwiane wsparcie.

Mojej utalentowanej redaktorce Helen Atsmie dziękuję za wiarę w debiutującą pisarkę. Za to, że książka podobała ci się tak bardzo jak mnie oraz za mądre, wnikliwe i uważne poprawki, które uczyniły tekst dużo lepszym. Praca z tobą była czystą przyjemnością.

Do moich zaprawionych w bojach przyjaciółek: Sarah Fister Gale, Kathi Wright, Mary Gallegos, Bobbi Voss i Barb Smith Lobin, które znosiły mnie, gdy bezczelnie poważylałam się napisać książkę i ją wydać. Spodziewam się, że kupicie całą paczkę mojego dziełka i rozdacie je w prezencie. (Żartuję, choć to

nie taki zły pomysł). Tak naprawdę chcę wam podziękować za słowa zachęty i za codzienne poprawianie mi humoru.

Powiernikowi, pomocnikowi w rozplątywaniu wątków i pokrewnej literackiej duszy Randy'emu Johnsonowi dziękuję za to, że tak się ucieszył, kiedy moje marzenie się spełniło. Teraz kolej na ciebie.

I wreszcie kilka słów do mojego męża Steve'a Burmeistera i syna Bena. Wiem, że mieszkanie z pisarką, zwłaszcza z tą pisarką, bywa niełatwe. Wasza miłość jest dla mnie najważniejsza. Cieszę się, że idę przez życie razem z Wami, tworząc opowieści, które przełożymy innym przy naszym kuchennym stole.

Ostatnie słowa dotyczą samej książki. Choć pisząc o wyspie Grand Manitou, wzorowałam się na Mackinac Island, jest ona tylko wytworem mojej – a teraz i waszej – wyobraźni. Przedstawione tu wydarzenia są fikcją, z wyjątkiem jednego: sztormu, który w 1913 roku zabił trojaczki Hillów. Był to najstraszniejszy kataklizm w historii Wielkich Jezior.